Browning Dixie

Nazwij mnie jak chcesz

„Nie *była przygotowana na opowiadanie o ojcu. O człowieku, którego nazwiska nie znała, który nie ożenił się z jej matką, który nawet nie chciał uznać własnego dziecka."*

WSZYSTKO ZDOBYŁA WŁASNYMI SIŁAMI

Po śmierci matki odziedziczyła pełen bolesnych wspomnień dom. Nie chciała w nim mieszkać, więc postanowiła go odnowić i wynająć. I wtedy pojawił się on. Stwierdził, że dom należy do niego. W jaki sposób oboje mogą być właścicielami tego samego domu? Kim jest on, i kim właściwie jest ona?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Słońce zaszło i w domu szybko zrobiło się zimno. Brianna Fields spojrzała krytycznie na stojącą pod drzwiami łazienki puszkę. Czy farba lateksowa zamarza? Ogrzewanie jest wyłączone i w nocy będzie w domu lodownia. Przewidując to. spuściła nawet wodę z rur. Byłoby fatalnie, gdyby cała harówka poszła na marne z powodu głupiej puszki, która pękła od mrozu. Uznała, że najrozsądniej będzie zabrać tę farbę ze sobą. Nie miała ochoty po raz drugi cyklinować i lakierować podłogi. Do odnowienia został jeszcze jeden pokój, a potem będzie można przekazać domek agentowi, zajmującemu się wynajmem nieruchomości.

Po raz ostatni przyjrzała się swemu dziełu i uznała, że słusznie pomalowała nawet te miejsca, które jeszcze tego nie wymagały. Anna lubiła białe ściany, ale dom był już stary i jasne kolory podkreślały tylko nierówności tynku. Zresztą odnowienie pozwalało zapomnieć o niedawnym wyglądzie i nastroju tego wnętrza - o półkach zapełnionych kolorowymi mot-kami wełny i o gobelinach Anny wiszących w każdym pokoju, czekających, żeby Bree je wyceniła i wysłała do Gatlinburga, Asheville czy do ich własnego butiku.

Bree nie mogłaby wynająć tego domu obcym, gdyby pozostało w nim cokolwiek, co przypominałoby jej matkę. Wyprowadzała się stąd z ciężkim sercem, lecz

nie miała innego wyjścia. Dalsze mieszkanie w domu po matce przerastało jej możliwości, zarówno emocjonalne jak i finansowe.
Ich dawna, wspólna sypialnia miała teraz odcień różowego melona, salon zaś - szarawej ostrygi. W łazience dominowała stonowana zieleń, i taki też kolor przybrały włosy Bree. Stwierdziła to ze zdumieniem gdy natrafiła palcami na swój sztywny od farby koński ogon, pierwotnie mający odcień rudoblond.
Przynajmniej pasuje do moich oczu, powiedziała do siebie, wywołując echo w pustych pokojach. Drugą, większą sypialnię Anna zaadaptowała niegdyś na pracownię. Odkąd Bree sięgała pamięcią stały tam trzy krosna, a słońce wpadało przez okna' nasycając barwami pokój wypełniony radosnym śmiechem Anny. Nucąc nie kończące się piosenki bez słow, matka przebiegała zręcznymi palcami po krosnach, wyczarowując wizje swojej marzycielskiej duszy, tkając zwiewne, bajkowe suknie, szale i gobeliny o niepowtarzalnych barwach, takich jakie mają surowe, postrzępione szczyty Smoky Mountains czy tez łagodne, zielone wzgórza Tennessee.
Bree zaplanowała pomalowanie pracowni na końcu. Miała to zrobić dopiero następnego dnia. Już wybrała kolor - żółty, słoneczny, mający rozjaśnić smutek wspomnień. Jeśli nowym właścicielom się nie spodoba, niech sami go zmieniają, pomyślała, wycierając ręce w starą, pochlapaną farbami bawełnianą bluzę. W zamyśleniu spojrzała na kilka kartonów których nie zdążyła zabrać w czasie wyprowadzki Krosna i zapasy przędzy oddała na przechowanie najbliższej przyjaciółce Anny, Lindzie Redd z Gatlin-burga, która również zajmowała się tkactwem Nie była jednak w stanie przejrzeć starych listów, wycin-

ków prasowych i fotografii, które zostały po matce. Nawet teraz, po siedmiu miesiącach, gdy porządkowała je i wkładała do pudeł, przeżyła wiele niespodziewanych wzruszeń. Anna była jej matką, ale Bree często wydawało się, że mogłaby być jej siostrą, a czasami nawet córką.
Wzdrygnęła się, z niechęcią wracając do rzeczywistości. Trzeba było jechać. Zaczęła się mocować z ciężkimi okiennicami, aby zamknąć je od wewnątrz na haczyk. Uporawszy się z oknami, chwyciła pierwszy ze stosu karton i niosąc go przed sobą ruszyła do samochodu, po drodze otwierając sobie drzwi wejściowe łokciem i zamykając je kopnięciem. Na dworze ściemniało się i robiło coraz chłodniej. Przeszedł ją dreszcz. Kiedy jechała tu rano, nie wzięła nawet kurtki, gdyż zapowiadał się słoneczny dzień.
Niepotrzebnie zamknęła samochód. Musiała teraz postawić ciężkie pudło na masce i wrócić do domu po kluczyki. Szybko wbiegła na ganek i szarpnęła zimną klamkę. Szarpnęła raz, drugi, trzeci, aż wreszcie zaklęła soczyście. Jak mogła zapomnieć o zatrzaskowym zamku! Teraz zamknięty był i dom, i samochód. Na domiar złego było ciemno i zimno, a miała na sobie tylko bluzę i tenisówki. Nie mogła też liczyć na pomoc sąsiadów. Zaniedbane domy naokoło stały puste. Kiedy zlikwidowano zakłady włókiennicze, pracownicy, dla których osiedle zostało zbudowane, stopniowo się wyprowadzali. Tylko ich dom zawsze był zadbany i świeżo pomalowany, głównie dzięki staraniom Bree. Pilnowała, by każdej wiosny posadzić kwiaty w skrzynkach za oknami i starannie pielęgnowała maleńki trawnik. Ostatnio pojawiła się szansa, by okolica znów ożyła.

5

Dixie Browning

Niskie czynsze zaczęty przyciągać studentów i yuppies - młodych, prężnych ludzi dopiero zaczynających karierę w biznesie.

Może niedługo mieszkałoby się tu inaczej - ale Bree straciła serce do tego miejsca, gdy zabrakło Anny. Matka i córka żyły w niepowtarzalnej symbiozie cudownie się uzupełniając. Anna była bardzo utalentowana, lecz stawała się zupełnie bezradna, gdy chodziło o zarabianie pieniędzy i codzienne bytowe problemy. Za to Bree była niesłychanie praktyczna. To ona zajmowała się wysyłką dzieł matki do sklepów w Gatlinburgu i Asheville, a potem do artystycznego butiku, który otworzyła w niedalekiej Chattanoodze. Wzrastała w otoczeniu mistrzów przeróżnych artystycznych rzemiosł i zdobyła nawet kilka umiejętności, nigdy jednak nie miała pasji tworzenia i prawdopodobnie byłaby tylko zwykłym wyrobnikiem. Miała natomiast duże zdolności menedżerskie i potrafiła je znakomicie wykorzystać, zajmując się promocją i sprzedażą wyrobów sztuki użytkowej, na której sie znała.

Teraz jednak, trzęsąc się z zimna przed własnymi drzwiami, głęboko żałowała, że nie ma talentu włamywacza.

- Cholera, że też musiałam najpierw zamknąć okiennice! - klęła patrząc na niedostępny jak forteca . dom, majaczący w słabym świetle nielicznych latarni. - Nie mam nawet karty kredytowej - mruknęła z żalem. Zresztą, nawet gdyby miała ten sztywny plastykowy kartonik, który, jak zapamiętała z filmów, świetnie nadawał się do podważania wszelkich zamków, i tak tkwiłby on teraz w torebce za zatrzaśniętymi drzwiami.

- Do licha ze starymi ruderami! - zaklęła jeszcze

raz, wymierzając drzwiom wściekłego kopniaka. W chwilę później skakała na jednej nodze, sycząc z bólu. Miękkie tenisówki wyraźnie nie nadawały się do tego celu.
- Zaraz, przecież zostawiłam tu gdzieś szpachel-kę! - prawie krzyknęła, poczuwszy nagły przypływ nadziei. Ostatnio nabrała zwyczaju mówienia do siebie. Koniecznie musi się go pozbyć, jeśli nie chce, by ktoś ją posądził o zaburzenia psychiczne.
- Dobra, później się za siebie wezmę - mruknęła i zaczęła szperać na werandzie w poszukiwaniu szpa-chelki, którą rano wygładzała kit w kuchennym oknie.
Rawls Smith był zmęczony, głodny i wściekły, co stanowiło fatalne połączenie. Już od dwóch dni tkwił w Chattanoodze i był w tym samym punkcie, w jakim znajdował się, kiedy wyjeżdżał z Atlanty. Teraz żałował, że najpierw nie pojechał do Memphis. Nie widział matki i sióstr od czasu pogrzebu ojca, a i wtedy nie wytrwał do końca ceremonii. Nie uczestniczył też w odczytywaniu ostatniej woli Briana Partridge'a Smitha III, który już dziesięć lat temu zapomniał, że ma syna. Majątek podzielił pomiędzy żonę, córki i wnuki. Rawls nie chciał mieć nic wspólnego z człowiekiem, który widocznie darzył go mniejszym uczuciem niż majordomusa, służącego w rodzinie od lat, o którym nie zapomniał w swoim testamencie.
Do licha, jak dręczące było poczucie winy! Sądził, że udało mu się wyprzeć ze świadomości tę niepotrzebną, emocjonalną rupieciarnię, lecz wystarczył jeden telefon od matki, by zachwiać jego pozornym spokojem. Błagała go, by zajął się sprawą tej cholernej Chattanoogi.

10

Dixie Browning

- Rawls, proszę, ktoś musi to zrobić. Przecież nie wyślę tam George'a. Wiesz, że jest niekompetentny, a poza tym nie można mu ufać.

George Flynn przejął kierownictwo Partridge Textiles, kiedy Brian Smith miał pierwszy zawał - i od tego czasu praktycznie zarządzał firmą.

- Jest gorzej niż źle, Rawls. Mało znam się na interesach, ale wiem przynajmniej, komu można ufać. Możesz nazwać moje postępowanie nepotyzmem, ale wierz mi, wcale nie mam zamiaru wpychać do rady nadzorczej kuzynów i pociotków. Jeśli chcesz, możesz objąć kierownictwo. Nic nie może bardziej zaszkodzić firmie, niż ci wszyscy karierowicze po szkołach zarządzania, których ściągnął George. Oskubali nas do czysta, a potem, kiedy zrobiło się źle, szybko poszukali sobie innych naiwnych. - Nie, mamo, dziękuję - odparł spokojnie Rawls, nie przejmując się formą, w jakiej została mu przedstawiona propozycja. Od czasu, gdy wyniósł się z Memphis, rzadko kontaktował się z matką, ale ich wzajemne uczucia nie osłabły. Był najmłodszym z rodzeństwa; między nim a najstarszą siostrą była różnica kilkunastu lat. Doprawdy, cudem nie został zapieszczony na śmierć jako mały brzdąc.

- Czy wiesz, jak ogromny był w zeszłym roku import bawełny z samych tylko Chin? Naprawdę, kochany, ci politycy nas zrujnują, jeśli dalej będą forsować taką strategię gospodarczą! - perorowała ze złościa matka.

- Cóż, trudno jest o zdolnych ludzi – stwierdzi sucho RAWLS, pomijając jej ostatnią uwagę. Większosc problemów firmy wynikała nie tyle z ogólnej sytuacji gospodarczej, ile z konserwatywnego stylu zarzadzania Briana Smitha**,** który uważał, że należy

prowadzić interes tak, jak robili to jego dziad i ojciec. Nic dziwnego, że zakłady tekstylne Partridge'a przegrywały z konkurenacją.
- Dobrze, zostawmy te przykre tematy - westchnęła Rebecca Massingail Smith. - Co do wieści rodzinnych, mogę ci powiedzieć, że Peggy jest znów w ciąży, a Deanna uparła się wrócić na studia dziennikarskie. Wyobrażasz sobie? Mało jej jeszcze, mimo że ma trójkę dzieci w szkole podstawowej!
- A może właśnie dlatego, że ma trójkę dzieci? -poddał z uśmiechem Rawls. - Ilu ty właściwie masz wnuków, mamo?
- Troje Peggy i Sama, troje Deanny i Willisa, dwoje Susan i Marka, pięcioro Elaine i Marshalla. Boże, mam nadzieję, że ty na razie niczego nie planujesz. Z każdym wnukiem starzeję się o kilka lat. Rawls zapewnił matkę solennie, że nie ma zamiaru przyczyniać się do powiększenia klanu. Pomyślał zgryźliwie, że gdyby nawet do tego doszło, i tak by tego nie zauważyła. Nie miał zamiaru wracać do Memphis. Od czasu ukończenia politechniki w Georgii mieszkał w Atlancie. Tam miał pracę, przyjaciół i perspektywy na przyszłość. - Zamierzam sprzedać wszystko, co mam w Chat-tanoodze, Rawls. - Miękki, wystudiowany kontralt matki wyrażał determinację, która po śmierci męża stała się cechą jej charakteru. - Moje dobre dni w Memphis minęły bezpowrotnie i nie sądzę, bym mogła liczyć na łaskę niebios. Niedługo będę potrzebowała każdego grosza.
Dokonawszy pobieżnej inspekcji nieczynnych zakładów tkackich, Rawls wracał do hotelu, jadąc powoli wzdłuż rzędu identycznych domków. Myślał o tym, że jego inżynierskie doświadczenie wystarczy

tylko do pewnego momentu. Później będzie musiał zmienić się w likwidatora, menedżera, ba, nawet w jasnowidza, by ocenić, czy zakłady należy modernizować, czy też po prostu zrównać z ziemią. Choćby te domki dla pracowników... Niektóre wyglądają jak rudery ze slumsów, ale kilka jest w całkiem niezłym stanie. O, na przykład ten na rogu, gdzie ktoś... ktoś usiłuje się włamać!
Szybko wygasił reflektory i przystanął za starą, odrapaną furgonetką. Jeden karton z łupami został już przygotowany do załadowania. Złodziej najwyraźniej miał zamiar włamywać się po kolei do pustych domów. Bóg jeden wie, dlaczego uważał, że mu się to opłaca. Co można było ukraść w takim miejscu?
Rawls cicho wysiadł z samochodu i chowając się za żywopłot ostrożnie skradał się po suchej, łamiącej się trawie. Znalazłszy się na ganku, jednym skokiem dopadł ciemnej postaci, majstrującej przy drzwiach.
Bree wrzasnęła przestraszona. Ktoś jakby w żelaznym uchwycie trzymał ją, za kark, bezlitośnie uciskając kręgi szyjne. Poczuła paraliżujący ból. Niech to diabli, że też musiało ją coś takiego spotkać! Dwadzieścia pięć lat mieszkała tutaj bezpiecznie, a teraz, na koniec, kiedy się wyprowadza, może znaleźć się w krzakach z dziurą w głowie!
Rozpalona wyobraźnia natychmiast podsunęła jej sposoby obrony. Instynkt samozachowawczy, w połączeniu z zapamiętanymi scenami z niezliczonych filmów, kazał jej z całej siły chwycić przeguby przeciwnika i gwałtownie wyszarpnąć się z jego uścisku. Bree zaczęła się cofać, szorując plecami o ścianę, obronnym gestem wysuwając przed siebie szpachelkę

i pilnie wpatrując się w wysoką sylwetkę, majaczącą przed nią w słabym świetle ulicznych lamp.
- O, nie, nędzna kreaturo, nie wymkniesz mi się
- syknął mężczyzna, groźnie wyciągając ku niej ręce. - Oddasz grzecznie wszystko, co ukradłaś, a potem...
- Ja nie... ja nic nie ukradłam. A ty, kim jesteś?
- zapytała Bree. Jej chęć ucieczki nagle osłabła. Coś w postawie napastnika sprawiło, że bała się trochę mniej. - Kim jesteś? - powtórzyła.
Zignorował pytanie i zrobił szybki ruch, by odciąć jej drogę ucieczki. Znów nie mogła się ruszyć, ale tym razem napastnik przytrzymał ją za ramiona. Teraz ryzykowała już tylko siniakami, a nie uszkodzeniem kręgów.
- Mam zamiar zawieźć cię na policję, razem z rzeczami, których jakoby nie ukradłaś. Być może cię zwolnią, ale to już ich sprawa. Ja w każdym razie ostrzegam: jeśli zbliżysz się choć na kilometr do jednego z moich domów, związę cię i zostawię na pastwę szczurów.
- Spróbuj tylko dotknąć mnie palcem, a oskarżę cię o napad i pobicie - ostrzegła piskliwym głosem, drżąc z zimna i lęku. - Jeśli chcesz wiedzieć, to jest mój dom! - uderzyła się w pierś, okrytą poplamioną bluzą.
- Tak, jasne, twój. I dlatego włamujesz się do niego po ciemku!
Teraz już Bree trzęsła się nie tylko z zimna, ale i z bezsilnego gniewu.
- Słuchaj, supermanie, zatrzasnęły mi się drzwi. A to, co robię, to nie twój interes - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Może byś tak zmył się stąd i dał mi spokój, co? Ścigaj sobie przestępców gdzie indziej.

11

Dixie Browning

- Kim ty właściwie jesteś? Pod tymi łachami nawet nie widać, czy jesteś mężczyzną czy kobietą. I po co się tu włamujesz? Przecież na całej tej nędznej ulicy nic nie jest warte więcej niż kilka centów.

Choć najgorszy strach minął, Bree dygotała. Mężczyzna nie wydawał się już tak groźny, ale nadal trzymał ją w potrzasku. A wokół nie było żywej duszy.

- Jeszcze raz ci mówię, że to jest mój dom i niczego nie ukradłam. Jeśli koniecznie chcesz odstawić mnie na policję, to proszę, jedźmy. Ja łatwo udowodnię swoją niewinność, ale ty możesz mieć kłopoty. Oni tutaj nie lubią obcych mężczyzn, którzy atakują bezbronne kobiety na progu ich własnego domu.

- Ty i niewinność? Nigdy nie podniósłbym ręki na niewinną damę, a poza tym nie jestem tu obcy. Występuję jako właściciel nieruchomości. I wcale cię nie zaatakowałem, tylko złapałem na gorącym uczynku. A swoją drogą, czy ty się kiedykolwiek kąpałaś?

Oniemiała ze złości Bree patrzyła na groźny, osaczający ją cień. Od czasu ostatniej kąpieli zdążyła zedrzeć tapety, pomalować ściany w łazience, wyszlifo-wać podłogę i wczołgać się pod werandę w poszukiwaniu szpachelki. Była brudna, i to jeszcze jak!

- Co ja mam z tobą zrobić? - zastanawiał się mężczyzna. Ton jego głosu wyraźnie złagodniał. - Jeśli ta furgonetka na ulicy jest twoja, radzę, żebyś wsiadła do niej i szybko odjechała, zanim nie zmienię zdania. A swój łup zostaw tutaj - dodał surowo.

- Nie mogę jechać - jęknęła Bree. - Zatrzasnęłam' w domu kluczyki.

Mężczyzna poruszył się lekko i blask latarni wydobył z mroku jego wysokie czoło, kształtny nos **i** wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Resztę twarzy zasłaniał podniesiony kołnierz płaszcza.

Nazwij mnie jak chcesz
15
- Tylko mi nie mów, że nie umiesz otworzyć zamkniętego samochodu - zaśmiał się kpiąco. - Takie rzeczy to dla ciebie nie nowina.
- Kluczyki są w domu, do cholery!
- Ejże! Nie pozwolę, żeby jakiś uliczny lump mi podskakiwał! Kto się właściwie ukrywa pod tymi łachami, co?
Bree rozegrała tę scenę w wielkim stylu. Wyprostowawszy się na całą imponującą wysokość swoich stu sześćdziesięciu centymetrów spiorunowała intruza wściekłym spojrzeniem, i odepchnęła go od siebie. Na schodach odwróciła się z podniesioną głową i powiedziała lodowatym tonem: - Pod łachami, jak je nazywasz, kryje się właścicielka tego domu, kobieta biznesu, która do tego jest wściekła jak szerszeń. Masz minutę, żeby wsiąść do samochodu i zniknąć za zakrętem. A jeśli kiedykolwiek postawisz stopę na moich schodach, załatwię ci wyrzucenie z miasta. Przypadkiem mam paru przyjaciół w sądzie.
Ostatnia groźba była mocno naciągana. Bree nawiązała kiedyś znajomość z pewną sekretarką, która ułatwiła jej przebrnięcie przez papierkowe formalności, wymagane przy zakładaniu firmy i przejmowaniu lokalu po sklepie z częściami samochodowymi.
Wyraźna nuta rozbawienia pojawiła się w twardym głosie mężczyzny.
- Ho, ho! Chyba znaleźliśmy się w patowej sytuacji. Na wszelki wypadek spytam o twoje nazwisko.
- Pozwól, że najpierw ja spytam o twoje - rzuciła-Bree wyniosłym tonem, który dziwnie kontrastował z jej brudnym ubraniem i szczękającymi zębami. Stopy w zniszczonych tenisówkach zmarzły na sopel lodu, a zaciśnięte pięści nie chciały się rozewrzeć.
- Smith.

- Ach, oczywiście - prychnęła. - Ja nazywam się Jones.
Tajemniczy Smith powiódł uważnym spojrzeniem po jej obszarpanej postaci i napiętej twarzy. Bree z trudem powstrzymywała drżenie. Sytuacja stawała się nie do zniesienia.
- Słuchaj, jest mi obojętne, czy nazywasz się Smith, Brown czy jeszcze inaczej. Chcę tylko, żebyś zostawił mnie w spokoju. Jeśli nie otworzę tego zamka, zamarznę tu na śmierć!
Jeszcze nie skończyła mówić, a już Rawls pociągnął ją za rękę i sprowadził z ganku w krąg światła latarni. Tam chwycił dziewczynę za ramiona i obrócił ku sobie, by się jej wreszcie dokładnie przyjrzeć.
Domyślał się już wcześniej, że ma do czynienia ze stworzeniem rodzaju żeńskiego, ale brud i luźne ubranie nie pozwalały określić jej wieku ani prawdziwego wyglądu. Jasnorude włosy, związane kawałkiem kolorowej włóczki, były gęsto usiane odpryskami farby. Kilka zielonych kędziorków zalotnie opadało na brudną szyję. Oczy były również zielone i płonące wściekłością. A mały dołeczek nie był w stanie ukryć bojowego zarysu podbródka.
Rawls omal się nie uśmiechnął, widząc oskarżycielską minę dziewczyny, i spokojnie kontynuował oględziny. Usta, choć nieco szerokie, miały zapewne ładny wykrój, choć teraz były zaciśnięte twardo jak stalowa pułapka. Nos, malowniczo usiany zielonymi kropkami farby, wyróżniał się przede wszystkim ' czerwonym kolorem.
Kiedy spojrzał w gniewne, zielone oczy, zdumiał się ich głębią i wyrazistością. Zasłaniały je obłoczki pary. Było piekielnie zimno, a to stworzenie miało na sobie tylko bluzę.

Nazwij mnie jak chcesz

14

Dżinsy, opinające smukłe nogi dziewczyny, były również brudne i pochlapane. Skorupa zielonej farby pokrywała kolana. Rawls zatrzymał wzrok na postrzępionych tenisówkach.

- Nie jest ci zimno w nogi?

- Uuch! - Bree wyswobodziła się z jego rąk i zmęczonym ruchem oparła o samochód. Nagle, w porywie bezsilnej furii, odwróciła się i zaczęła walić pięściami w maskę, aż zadudniła blacha. Furgon miał jedenaście lat i zmatowiały, pomidorowego koloru lakier zaczynał odpadać od przerdzewiałych błotników. A jednak sprawował się dzielnie, palił mało i nie zamieniłaby go na żaden inny.

- Malowałaś coś? - indagował dalej Rawls, nie zwracając uwagi na jej wybuch. Teraz, kiedy podekscytowanie minęło, poczuł ciężar ostatnich dwunastu męczących godzin. W hotelu czekał go prysznic, drink i stek. A potem... może jeszcze kilka drinków - i łóżko.

- Co za wspaniała zdolność dedukcji! - skrzywiła się z pogardą. - Oczywiście, że malowałam, w wolnej chwili pomiędzy wyciąganiem biżuterii z sejfu i wykradaniem rodowej zastawy.

Rawls z zakłopotaniem pogładził dłonią podbródek, który wyraźnie domagał się golenia. Bliższe oględziny wykazały, że dziewczyna nie wygląda na zawodową włamywaczkę. Nawet warstwa brudu nie była w stanie ukryć osobowości całkowicie przeczącej podejrzeniom.

- Dobrze, przyznaję, że się pomyliłem. Chcę panią bardzo przeprosić, pani...

Bree uniosła brwi i rzuciła mu pełne niedowierzania, lekceważące spojrzenie - dokładnie takie, jakim jeszcze przed chwilą sam na nią patrzył. Już nabie

rała oddechu, by zrobić mu mary wykład o zasadach dżentelmeńskiego zachowania, ale jej zamiary zniweczyła seria potężnych kichnięć. Znając siebie wiedziała, że będzie teraz kichać bez przerwy, dopóki nie wejdzie do gorącej kąpieli.
- Boże, ty tu zamarzniesz! - Rawls szybko zdjął płaszcz i zanim zdążyła zaprotestować, zarzucił jej go na ramiona.
- Nie... tak! - już miała go odepchnąć, kiedy poczuła miłe ciepło w przemarzniętym ciele.
- Teraz lepiej? - zapytał z nagłą troską.
Bree wreszcie ochłonęła na tyle, by móc dokładnie mu się przyjrzeć. Doznała wrażenia, jakby gdzieś w jej duszy zatrzasnęły się ciężkie drzwi.
Ten facet był oszałamiający! Miał smagłą twarz o wyrazistych rysach, oczy błyszczące jak dwa agaty, gęste brwi, szlachetny nos i bujne, ciemne włosy. Pod wytworną koszulą, krawatem i doskonale skrojonym garniturem kryło się wysportowane ciało o szerokich ramionach, wąskich biodrach i długich nogach. Stopy w wytwornych mokasynach z wytłaczanej skóry stały pewnie na suchej trawie. Bree mimowolnie zerknęła na swoje obszarpane, pochlapane farbą tenisówki. Cała ta farsa dziwnie przypominała jej historię księcia i żebraka. A może raczej Kopciuszka?
Z trudem powstrzymywała absurdalną chęć, by się roześmiać, i ukryła twarz w miękkim wełnianym kołnierzu płaszcza. Pachniał subtelną wonią wody kolońskiej, która przywodziła jej na myśl zielone leśne polany.
Wreszcie zaczęła przychodzić do siebie. Z żalem pomyślała, że będzie musiała oddać ten cudowny płaszcz. Gdyby naprawdę miała w sobie złodziejską żyłkę, chętnie by go ukradła.

- Hmm, może byśmy tak… dokończyli tę rozmowę w bardziej przytulnym miejscu - mruknął nieśmiało Rawls. Marznięcie na tym ziąbie w cienkiej bluzie groziło zapaleniem płuc. Z drugiej strony nie miał serca zabierać okrycia dziewczynie. Płaszcz będzie się pewnie nadawał do pralni, pomyślał mimochodem.
Bree niechętnie zaczęła wysuwać ramiona z rękawów.
- Wydaje mi się, że nie mamy już o czym dyskutować - stwierdziła sucho.
- Co masz zamiar teraz zrobić? - zagadnął, krzyżując ramiona na piersi.
Bree wreszcie zdołała zdjąć płaszcz.
- Muszę jakoś podważyć zamek i dostać się do środka, a jutro rano koniecznie wezwać ślusarza. A niech to, jutro niedziela!
- Musisz mieć dzisiaj te kluczyki?
- Owszem, bo chciałabym dojechać do domu -wyjaśniła zniecierpliwiona, podając mu płaszcz.
-Mieszkam kilka kilometrów stąd i nie mam ochoty na spacer.
- Ach, więc to nie jest twój dom?
- To nie jest dom, w którym mieszkam, ale należy do mnie. Bierzesz ten płaszcz czy mam go sobie zatrzymać jako prezent na przeprosiny?
Rawls wypuścił z ust gęsty kłąb pary.
- A zatem oboje jesteśmy właścicielami tej pięknej nieruchomości. Koniecznie musisz włamywać się tu dzisiaj? Wiesz, właśnie jechałem do hotelu na kolację, kiedy złapałem cię na…
Zdesperowaną Bree ogarnął wisielczy humor.
- Czy to ma być zaproszenie? - wyzywająco wysunęła podbródek. - Umieram z głodu. Tyrałam tu

17

Dixie Browning

bez przerwy od jedenastej rano i zdążyłam zjeść tylko kanapkę z masłem orzechowym.

- W takim razie chodźmy - niecierpliwie rzucił Rawls, chwytając ją za rękę i ciągnąc do swojego samochodu. Uprzejmie otworzył jej drzwiczki i zaprosił do wnętrza ciemnej, lśniącej limuzyny. - Następnym razem, kiedy zauważę włamywacza, dodam gazu i zniknę jak najszybciej - mruknął sadowiąc się za kierownicą.

Bree poczuła się dziwnie urażona.

- Nikt cię nie prosił, żebyś się wtrącał. Tylko mi przeszkodziłeś w robocie.

- W porządku, najpierw postawię ci kolację, potem podwiozę do domu, i na tym na dzisiaj skończymy. Nie mam ochoty dyskutować teraz o problemach własności.

Bree wtuliła się głębiej w pachnące skórą siedzenie i okryła płaszczem, który nadal trzymała w rękach.

- Nie ma żadnego problemu własności. Dom należy do mnie. Urodziłam się tutaj i tu mieszkałam z matką przez całe życie, a kiedy umarła, odziedziczyłam go. To dość naturalna kolej rzeczy, prawda?

Rawls z zakłopotaniem przygryzł wargę.

- Nie wątpię, że mieszkałaś tu przez całe życie -powiedział, wprawiając ją ponownie w agresywny nastrój. Z takim wyglądem na pewno sprawiała na nim wrażenie typowego lumpa z tej dzielnicy, ale nie musiał, do licha, robić przytyków!

- Jest jednak różnica pomiędzy wynajmowaniem, dzierżawieniem, a posiadaniem domu na własność. Sam fakt zasiedzenia, o którym mówisz, nie daje praw - kontynuował. - Właścicielem tych parceli jest

firma Partridge Textiles, a ja dostałem od niej wszelkie pełnomocnictwa.
Była zbyt zmęczona, by nadal się z nim spierać.
- W porządku, Panie Tekstylny, jeden zero dla pana. Ale tylko chwilowo. Jako właściciel jest pan odpowiedzialny za stan domów, prawda? Ciekawe, czy pan wie, że tu nie ma żadnego systemu ogrzewania, a kanalizacja...
- Już mówiłem, że nazywam się Smith.
- Uparty jesteś... Ja w każdym razie nazywam się Brianna Fields i zaręczam ci, że kiedy zaczniesz grzebać w swoich kartotekach, dowiesz się, że moja matka, Anna Fields, mieszkała przy Milledge Road 94 przez dwadzieścia pięć lat. Mam nadzieję, że wtedy nie zapomnisz mnie przeprosić.
Mężczyzna mruknął tylko coś w odpowiedzi i wyprzedzając nieliczne o tej porze samochody jechał przez Market Street Bridge, kierując się ku hotelowi w centrum. Nagle, kilka przecznic dalej, zahamował gwałtownie przy krawężniku.
- Co za idiota ze mnie! - wykrzyknął. - Przecież nie wpuszczą cię do hotelu!
Bree, choć rozgniewana, poczuła zakłopotanie, a w chwilę później dziwną wesołość.
- Chyba nie masz zamiaru zameldować nas jako państwa Smith, co? - zapytała ze śmiertelnie poważną miną. - Chciałabym tylko zjeść kolację. Mam dziwną ochotę na homara. Ty też?
Znad eleganckiego jedwabnego krawata dało się słyszeć nieartykułowane chrząknięcie.
- Brianna...
- Tak? - zamruczała uwodzicielsko, przeciągając się w cieple dobrze ogrzanej kabiny. Cała ta historia zaczęła się jej nawet podobać.

19

Dixie Browning

- Słuchaj, a może byśmy zjedli coś na mieście? Na przykład w barze dla samochodziarzy, co?
- Nie chcesz, żebym wysiadała z samochodu i kompromitowała cię, tak?
- Nie... to znaczy niezupełnie tak, ale...
- Widzę, że próbujesz się wymigać. Jak na faceta który rządzi całą fabryką tekstylną i napastuje w ciemnych ulicach nieznajome kobiety, jesteś dziwnie małostkowy - powiedziała kpiąco. Nie miała zamiaru iść mu na rękę.

Rawls zaklął pod nosem i z piskiem opon oderwał wóz od krawężnika.

- Dokąd mnie wieziesz? - zapytała z nagłą obawą widząc grymas złości, wykrzywiający jego przystojne rysy.
- Do hotelu, a gdzieżby indziej? - warknął.
- Wiesz, może darujemy sobie tego homara, co? - zaproponowała pojednawczym tonem. - Miałam dzisiaj taki męczący dzień.... Prawdę mówiąc, najchętniej znalazłabym się już w domu. Ty oczywiście możesz sobie zamówić homara, jeśli masz ochotę -dodała.
- Dzięki za łaskawe pozwolenie - prychnął, ostro hamując przed światłami.
- Może wysiądę teraz - powiedziała z wahaniem. Ostatecznie wolała pomaszerować ze śródmieścia do domu, niż ryzykować rozbicie nosa o szybę.

Rawls pochylił się ku niej i szybko sięgnął do klamki. Był tak blisko, że poczuła jego oddech na policzku i mimo woli zadrżała. Na miły Bóg, chyba nie ma zamiaru wypchnąć jej z samochodu na środku ulicy?

Jeśli nawet miał taki zamiar, musiał z niego zre-

zygnować. Z westchnieniem cofnął rękę do dźwigni biegów, gdyż światła właśnie się zmieniły.
- Gdzie mieszkasz, Brianno? - zapytał zmęczonym głosem.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Moje pudło! - zawołała Bree wysiadając z samochodu. W popłochu zerknęła na mężczyznę, niecierpliwie bębniącego palcami w kierownicę.
- O co ci znowu chodzi? - mruknął wrogo.
- O karton, który zostawiłam na masce swojego samochodu! Ktoś może go zabrać. Błagam, wróćmy tam - jęknęła, zapominając o dumie. W pudle były bezcenne pamiątki: listy, fotografie i wycinki prasowe, dokumentujące różne wystawy Anny.
- To jest tak cenne, że nie możesz zaczekać do jutra?
- Dla mnie bardzo cenne - stwierdziła z absolutnym przekonaniem.

Rawls znów zaczął niecierpliwie bębnić palcami w kierownicę.

- Do licha, czy ty uważasz, że jestem taksówkarzem? - powiedział, ogarniając znużonym spojrzeniem oświetloną ulicę.
- Oczywiście, że nie, ale odzyskanie tego pudła jest dla mnie naprawdę ważne. Czy możemy już jechać? - powiedziała prosząco. - Rzeczy zostawione przy Milledge Road lubią szybko znikać.

Rawls uruchomił silnik z westchnieniem pełnym rezygnacji. Przez całą drogę panowało milczenie. Serdecznie żałował, że w ogóle usłyszał o miejscu zwanym Osiedlem Partridge'a i o ulicy Milledge Road Wreszcie zahamował przy zderzaku starej furgonetki.

Pudło było na miejscu. Zdjął je i szybko wsadził do bagażnika, z hałasem zatrzaskując pokrywę. Bree siedziała skulona w zacisznym, wytwornym wnętrzu samochodu, wpatrując się w dom. Sprawiał wrażenie samotnego i opuszczonego. Jej stary, zardzewiały grat zaparkowany przed gankiem znakomicie pasował do tego posępnego widoku.
- Co pani teraz każe, panno Fields? - zapytał Rawls służbiście, ponownie sadowiąc się za kierownicą.
„Do domu, Janie", miała ochotę odpowiedzieć w pierwszym odruchu, ale ugryzła się w język.
- Będę wdzięczna, jeśli odwieziesz mnie do domu - odparła.
- Jak masz zamiar się tam dostać, skoro klucze są zatrzaśnięte w moim domu?
- W moim!
- Powiedzmy, że w naszym - uległ. - No więc, jak?
- Klucz jest pod...
- Tylko mi nie mów, że pod wycieraczką - mruknął. - Skoro tak, dlaczego nie zastosowałaś tego samego chwytu tutaj? Dawno już siedziałbym sobie w hotelu, po dobrej kolacji, z drinkiem w jednej ręce, a cygarem w drugiej.
Bree schyliła głowę i z uwagą zaczęła studiować zieloną plamę na czubku prawej tenisówki. Niestety, miał rację. Gdyby zostawiła zapasowy klucz na zewnątrz, nie musiałaby się włamywać, a niejaki Partridge Textiles Smith nie złapałby jej i nie byłoby tej głupiej komedii omyłek, i... Bez sensu to całe myślenie, skonstatowała Bree, zanim doszła do jeszcze głupszych wniosków. Kiedy samochód zatrzymał się w wąskiej, wyboistej zatocz-

ce przed sklepem, rzuciła posępne spojrzenie na ciemną przybudówkę, przerobioną na mieszkanie, i z dziwną niechęcią sięgnęła do klamki.
- Wyniosę twoje rzeczy - zaproponował zerkając na wystawę, gdzie plecione koszyki, ceramiczne naczynia i fantazyjna drewniana misa rozstawione były w artystycznym nieładzie wśród ręcznie tkanych szali i kilimów.
Wymamrotała coś w rodzaju podziękowania i otworzyła drzwiczki samochodu. Wzdrygnęła się, kiedy owionął ją zimny wiatr. Boże, ależ była zmęczona! Wstała o siódmej, żeby wypakować nową dostawę, a potem pojechała prosto na Milledge Road i do późnego popołudnia malowała łazienkę.
- Czy nie sprawiłoby ci kłopotu otwarcie drzwi? - Niecierpliwy, schrypnięty baryton wyrwał Bree z odrętwienia. Szybko podeszła do framugi, wspięła się na palce, wyjęła obluzowaną cegłę i namacała klucz.
- Trochę lepszy pomysł niż z wycieraczką - mruknął Rawls.
- Wycieraczka to był twój pomysł - parsknęła, mocując się z zamkiem. Za chwilę pstryknął wyłącznik **i** oczom ich ukazało się nader oryginalne pomieszczenie, które było jednocześnie kuchnią, salonem **i** Jadalnią. Smutek surowych ścian Bree usiłowała zamaskować farbą w odcieniu terakoty, malowanymi ekranami oraz całą galerią rozmaitych ozdobnych przedmiotów.
Rawls badawczo wciągnął nosem powietrze.
- Coś się gotuje - stwierdził, zerkając z zainteresowaniem w głąb pokoju. Mimo to czujnie pozostał na progu, trzymając przed sobą pudło i nie zważając, że kura brudzi mu koszulę. To mieszkanie zupełnie

nie pasowało do obszarpanej włamywaczki, z którą nawiązał przymusową znajomość, a już z pewnością było o niebo przytulniejsze niż jego bezosobowy, nowoczesny apartament w Atlancie.
- Postaw je tam, gdzie znajdziesz wolne miejsce - Bree zrobiła nieokreślony ruch ręką, szybko podchodząc do zagraconego stołu. Stał tam podgrzewacz do potraw, który włączyła rano. - Jeszcze nie skończyłam inwentaryzować nowej dostawy i mam tu straszny bałagan - usprawiedliwiała się, unosząc pokrywę naczynia.
Rawls po namyśle postawił karton na szafce na buty, oklejonej tapetą. Teraz już swobodnie mógł się rozejrzeć, ale jego wzrok zatrzymał się na podobnej do straszaka na wróble postaci, odzianej w kolorowe łachy, ze strzechą zakurzonych, upstrzonych farbą włosów.
- Cóż, to chyba wszystko - powiedział z nagłym skrępowaniem.
Bree zamieszała w garnku. Zapachniało ostro chili.
- Tak, to już chyba wszystko - zerknęła na niego z uśmiechem. - Dziękuję za odwiezienie do domu, panie Smith.
- To chyba nie homar?
- Nie.
- A myślałem, że miałaś apetyt na homara -Rawls zwlekał z odejściem, stojąc z ręką na klamce. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego czuje się tu tak dobrze. Niemal namacalnie czuł ciepło emanujące z tego przytulnego wnętrza. Z pewnością nie była to sprawa temperatury, gdyż mieszkanie nie było zbyt dobrze ogrzane.
- Chciałam po prostu zrobić panu test, panie Smith. Kiedy mam pusty żołądek, bywam złośliwa -

zachichotała, rzucając łyżkę do malutkiego zlewozmywaka i myjąc ręce. Dziwna biel czystych dłoni zaczęła się wyraźnie odcinać od brudnych przegubów. - A tak naprawdę nigdy w życiu nie jadłam homara - dodała tonem wyjaśnienia.
- Mam na imię Rawls i nie bardzo mogę uwierzyć w to, co powiedziałaś, Brianno.
- Och, przyznaj, że nie sprawiam wrażenia kogoś, kto jada homary. I powiedz, jak dokładnie się nazywasz - Rawls Textile-Smith? A może Rawls to twój kolejny pseudonim?
Mężczyzna włożył ręce do kieszeni i uśmiechnął się leniwie.
- Wystarczy Rawls Smith. Tekstylia możemy sobie darować.
Spojrzenie Bree powędrowało ukradkiem ku jego silnej sylwetce i białym zębom. Może był spod znaku Strzelca, gdyż na koszuli miał drobniutkie szarawe prążki. Słyszała gdzieś, że Strzelcy lubią równe, proste linie.
Zakłopotana podeszła do podgrzewacza i podkręciła termostat. Dziwny facet, pomyślała. Jeszcze niedawno chciał się jej za wszelką cenę pozbyć, a teraz marudzi w drzwiach. Czy powinna go zaprosić i odwdzięczyć się za przysługę?
- Słuchaj, jeśli jesteś głodny...
- Nie przypuszczałem, że zapytasz - Rawls oderwał się od framugi, z nadzieją zerkając na garnek.
- Wybacz, ale zanim wezmę się do robienia sałatki, muszę najpierw zmyć z siebie brud. Poczekaj chwilę, dobrze? Może zrobisz sobie kawy?
- A mógłbym zrobić i kawę, i sałatkę? - zaproponował z ożywieniem, które zdziwiło nawet jego samego. Zapach jedzenia podziałał na niego jak nowy za-

strzyk energii. - Ale czy mogę najpierw się rozejrzeć? - zapytał, wodząc wzrokiem po artystycznie udekorowanych ścianach.
- Czuj się jak u siebie w domu - uśmiechnęła się Bree. Ktoś, kto tak jak ona wyrastał w twórczym środowisku, potrafił niemal odruchowo upiększyć każde wnętrze. Gorzej, jeśli się miało do dyspozycji tylko kilka maleńkich pomieszczeń. Na całe szczęście obok był butik, mogła więc tworzyć nowe kompozycje, przynosząc jedne dzieła, a inne zabierając do sklepu.
Bree wycofała się do sypialni i zaczęła ściągać z siebie warstwy brudnych łachów. Ubrana była „na cebulę" - w podkoszulek, koszulkę, koszulę i bluzę. Idąc do łazienki w szlafroku, spojrzała w lustro i jęknęła ze zgrozy. Nic dziwnego, że jej wygląd wzbudził podejrzenie. Gdyby spotkała samą siebie na Milledge Road, również miałaby ochotę wezwać policję.
Stojąc pod strumieniem gorącej wody, doznała nagle podniecającego i bolesnego zarazem wrażenia, jakby była kimś innym; jakby obudziła się z długiego, bardzo długiego snu.
Od dnia, kiedy doktor Kagan oznajmił im, że Annie zostało tylko kilka miesięcy życia, Bree nie mogła otrząsnąć się z szoku. Były związane ze sobą bardziej niż większość matek i córek, miały bowiem tylko siebie. Bree tłumiła rozpacz, pozwalając matce do samego końca udawać, że ta ciężka choroba nic między nimi nie zmieniła. Tuż przez pójściem do szpitala Anna planowała jeszcze urządzenie wystawy autorskiej na Targach Rzemiosł Artystycznych w Pied-moncie.
Od tego czasu minęło już siedem miesięcy. Dla Bree sklep okazał się błogosławieństwem. Kiedyś za-

27

Dixie Browning

łożyły go razem z Anną i teraz, patrząc na jej dzieła, miała poczucie, że matka nie opuściła jej całkiem. Jednak przez długi czas była w stanie zasnąć tylko dzięki wyczerpującej harówce.

I oto nagle ta dziwna przygoda sprawiła, że lodowaty ucisk rozpaczy zelżał. Bree poczuła, że zaczyna budzić się do życia. Bez względu na to, jakie zamiary żywił wobec niej Rawls, nieświadomie zdołał wyrwać ją ze stanu otępienia, w którym trwała tak długo.

Dlaczego właśnie on? Może dlatego, że był tak inny niż znani mężczyźni? Była w nim jakaś hardość, a nawet agresywność. Jej adoratorami bywali przeróżni artyści i ludzie z branży - osobnicy raczej niegroźni i bujający w obłokach. Rawls Smith stanowił dla niej zupełnie nowe doświadczenie. Było w tym człowieku coś, co kusiło, by zedrzeć tę gładką maskę i przekonać się, co za nią się kryje.

W pół godziny później wyłoniła się z sypialni ze lśniącymi, gładko uczesanymi włosami bez jednej plamki farby, ze starannym, choć prostym makijażem, ubrana w spódnicę z surowej wełny i obcisły czarny golf, podkreślający miękkie linie ciała. Gdyby miała więcej czasu, mogłaby się zaprezentować jeszcze lepiej, ale i tak uznała, że może być z siebie zadowolona.

W kuchni apetyczna woń chili zmieszała się z aromatem świeżo zaparzonej kawy, na blacie zaś pyszniła się w drewnianej misie sałatka ze szpinakiem, czerwonymi papryczkami i pieczarkami. Rawls chrapał cicho na kanapie, okryty ręcznie tkanym afgańskim kilimem w odcieniu morwy. Początkowo wahała się, czy go obudzić, doszła jednak do wniosku, że oprócz snu potrzebuje również jedzenia.

Nazwij mnie jak chcesz

31

W trakcie kolacji znów wypłynął temat domu przy Milledge Road 94.

- Posłuchaj, Brianno, nie będziemy się na razie spierać o to, kto jest właścicielem tej nieruchomości, ale powinnaś wiedzieć, że mojej firmie konsultingowej zlecono ekspertyzę fabryki i osiedla pod kątem ich szans rynkowych - oświadczył.

Bree nałożyła mu do miseczki kolejną porcję wegetariańskiej potrawy. Każda znikała równie szybko jak poprzednia.

- Jasne, czego się nie robi dla zysku - oznajmiła z ironią. - Z tych samych przyczyn postanowiłam właśnie wynająć mój dom, dlatego robię co mogę, żeby szybko doprowadzić go do porządku. Im szybciej zacznie zarabiać na siebie, tym bardziej będę się nim cieszyć.

Widząc, jak marszczy czoło, dodała szybko:

- Nie, nie mam nic przeciwko właścicielom fabryki. Może opłacać się im sprzedaż zakładów, a może nawet zrównanie ich z ziemią, zamiast zabawy w kosztowną wymianę tych pordzewiałych i przestarzałych instalacji. Co innego dom... Widzisz, nawet gdybym go sprzedała i zainwestowała pieniądze, procenty będą mimo wszystko niższe niż miesięczne dochody z tytułu wynajęcia - perorowała z zapałem.

- Dokładnie to sobie wszystko przekalkulowałaś, tak? - Rawls spojrzał na młodą kobietę z niechętnym uznaniem. Trudno było uwierzyć, że ma przed sobą kogoś, kto jeszcze niedawno wyglądał jak lump. Wystarczyło mydło i woda, by dokonać cudu. Brianna Fields bardzo go intrygowała. Nie był w stanie zaliczyć jej do żadnej z kategorii stworzonych przez jego ścisły umysł. Była zupełnie inna niż kobiety, z którymi miał do czynienia.

32 *Dixie Browning*

Jako jedyny syn Briana Partridge'a Smitha III, nigdy nie był pewien, czy kobiety interesowały się nim samym czy też jego towarzyską i finansową pozycją. Wszystko zmieniło się, gdy przeprowadził się do Atlanty. Tam był tylko jednym z tysięcy Smithów. Kobiety, które spotykał, nie znały jego pochodzenia albo ich to nie interesowało. Po raz pierwszy w życiu Rawls był zadowolony, że ojciec zerwał z tradycją, przynajmniej jeśli chodzi o podawanie nazwiska rodowego w pełnym brzmieniu.

Znów pomyślał o Briannie Fields. Najwyraźniej nie domyśliła się jeszcze, że nie jest zwykłym pracownikiem firmy Partridge Textiles - i nie miał na razie zamiaru się ujawniać. Zresztą nie sądził, by po załatwieniu formalności z domem miał z nią jeszcze kiedykolwiek do czynienia. Z drugiej strony ta zadziorna Zosia Samosia niezwykle go intrygowała. Choć nie żałowała sobie pudru i tuszu, i tak pozostała w niej dziewczęca świeżość i zapał, które dziwnie go pociągały.

- Ile ty masz lat, Brianno?

- Dwadzieścia sześć - wyznała odruchowo.

- Jestem zaskoczony - przyznał, gładząc dzbanek z herbatą długimi, kościstymi palcami.

- Nie rozumiem, przecież nie jest to zbyt zaawansowany wiek.

Uśmiechnął się sceptycznie kącikiem ust i Bree po raz kolejny uległa fascynacji tym mężczyzną - jego wyglądem, osobowością oraz dziwną pewnością siebie, która z niego emanowała. Gdyby wiedziała, że w Atlancie są tacy faceci, nie skazywałaby się na prowincjonalną Chattanoogę.

- Opowiedz mi o sobie - powiedział zachęcająco Rawls, odchylając się swobodnie na oparcie krzesła.

Uznał, że łatwiej będzie mu rozwikłać trudny problem własności domu w atmosferze towarzyskiej, spokojnej rozmowy, która powinna uśpić czujność Bree. Ale, do licha, ta dziewczyna wymyka się jego ustalonym pojęciom. Jest w niej coś dziwnie niekonwencjonalnego i pociągającego zarazem - może szczerość? Miło zaskoczyło go również jej poczucie humoru, które wyczuwał pomimo poważnego, smutnego spojrzenia dużych szarozielonych oczu. Patrzyła na niego tak, jak gdyby zastanawiała się, do jakiego gatunku go zaklasyfikować.
Bree, czując na sobie badawcze spojrzenie mężczyzny, udała, że najważniejszą w świecie czynnością jest zbieranie naczyń ze stołu. Nie sposób było domyślić się, co kryje spojrzenie tych oczu, ciemnych i nieprzeniknionych jak agat.
Drgnęła, dosłyszawszy ciężkie westchnienie, które wyraźnie świadczyło o zmęczeniu i przygnębieniu. Aż nadto dobrze znała to uczucie.
- Słuchaj, nie musisz się martwić o ten dom - powiedziała, dając wyraz tajonej potrzebie uspokojenia Rawlsa. - Moja matka naprawdę miała prawo własności. Nigdy nie płaciłyśmy nic na rzecz fabryki. Wiem o tym, ponieważ zarządzałam naszymi finansami.
- Ludzie, jak wiadomo, mogą się mylić.
- Przez całe dwadzieścia pięć lat? - wzruszyła ramionami. - Nie bądź takim formalistą. Kiedy pokażę ci papiery, przekonasz się, że miałam rację.
- Przez cały ten czas płaciłaś podatek?
Bree w zakłopotaniu przygryzła wargę. Istniały tematy tabu, o których Anna nie chciała dyskutować; jednym z nich było utrzymanie domu. Domyślała się, że świadczenia opłacane były z jakiegoś funduszu powierniczego.

31

Dixie Browning

- Nie robiłam tego sama, ale zapewniam cię, że podatek gruntowy był płacony - oświadczyła.

Rawls zaklął cicho pod nosem. Teoretycznie mógłby przekazać tę podejrzaną sprawę sądowi, ale wiedział, że tego nie zrobi. Bez względu na okoliczności, nie miał ochoty sprawiać Briannie Fields więcej kłopotów, niż to było konieczne.

Wstał i zaczął się żegnać. Brianna przyglądała mu się, podziwiając wysportowaną sylwetkę o płaskim brzuchu i wypukłej piersi. Z zażenowaniem musiała przyznać, że ten mężczyzna zrobił na niej duże wrażenie, a jego krótki pobyt w tych okolicach podziałał na nią jak trzęsienie ziemi.

Tej nocy prześladowały ją sny. Słyszała ciche terkotanie starych krosien z twardego drewna wiązu, widziała ciemną jak świerkowe gałęzie zieleń osnowy, przeplatającą się z niebieskawym, snującym się jak pasemko dymu wątkiem. Kiedy Anna nie mogła już podnieść się z łóżka, wyplatała gobeliny na prostej ramie. Bree ocknęła się i niechętnie spojrzała za okno. Skrzywiła się, widząc ciężkie, deszczowe chmury. Cholera, jeśli zacznie padać, parking przed domem znów zmieni się w bajoro!

To spostrzeżenie kazało jej pomyśleć o właścicielu posesji, Ebbenie Wilcoxie. Z pełnym irytacji westchnieniem zaczęła się ubierać, przygotowując się w duchu na niemiłą przeprawę. W piątek oznajmił, że chce porozmawiać w sprawie miejsca do parkowania. Wczoraj nie było jej przez cały dzień, ale znając Wilcoxa, mogła przypuszczać, że wybierze na rozmowę moment, kiedy jego małżonka będzie w kościele.

Starannie ubrana i odświeżona, postanowiła zaczekać na właściciela w sklepie. Pragnęła uniknąć

wpadki, jaka zdarzyła się ostatnio. Gospodarz zaszedł do niej wieczorem, do domu, pod pretekstem błahej sprawy, która równie dobrze mogła zostać załatwiona rano, i zastał ją w szlafroku, przebraną do snu, pijącą swoją porcję kakao przed położeniem się do łóżka. Bardzo nie podobał jej się błysk w jego oczach ani przymilny ton głosu, choć pozornie jego zachowanie było bez zarzutu.
Właśnie usiłowała umieścić pomiędzy podłogą a sufitem suchy cedrowy pień z gałęziami, który miał stanowić element ekspozycji, kiedy za szybą wystawy zobaczyła Ebbena Wilcoxa. Zanim zdążyła się wyplątać z konarów, otworzył drzwi i wszedł, rozsiewając wokół mocną woń wody kolońskiej i tanich cygar.
- Nie wiedziałam, że ma pan klucz od mojego sklepu - zauważyła z pretensją.
- No cóż, gospodarze zwykle mają zapasowe klucze do swoich lokali, moja miła.
- Co nie znaczy, że mają ich używać w każdej sytuacji. Uważam, że powinien pan mi go oddać, panie Wilcox.
- Ależ nie denerwuj się, Brianno. Nie wszedłbym tutaj, gdybym nie wiedział, że jesteś w środku. Ładne pocieszenie! Najlepiej byłoby, gdyby się tu w ogóle nie pojawiał; niestety, jako właściciel miał swoje prawa.
- W takim razie ja powinnam zatrzymać sobie klucz do domu przy Milledge Road, nawet kiedy go wynajmę? - zapytała z ukrytą kpiną.
- Niech się twoja urocza główka o to nie martwi. Ja go przechowam - zapewnił ją ochoczo Wilcox. Był to niski, żylasty mężczyzna około czterdziestki, który lubił kolorowe koszule i złotą biżuterię.

33
Dixie Browning

- Powiedz no mi, kochana, kto będzie tak naiwny, żeby wykosztować się na kawałek spróchniałego drewna? - zapytał, wodząc palcem po nierównym obrębie drogiej, ręcznie struganej misy z drewna wiązu. - I w dodatku to jest krzywe - stwierdził z niesmakiem.
Bree z trudem powstrzymała się, by nie wyrwać pięknego przedmiotu z jego rąk.
- Jeśli chodzi o moje miejsce do parkowania, panie Wilcox, to od strony murku robi się...
- Panno Fields, czy ma pani pojęcie, ile pieniędzy włożyłem już w tę ruinę? - przerwał bezceremonialnie. Ton jego głosu stał się nagle dziwnie oficjalny.
- Właściwie tracę na wynajmowaniu.
- Nie powiedziałabym tego, wziąwszy pod uwagę czynsz, jaki panu płacę - mruknęła z irytacją Bree. Będzie musiała sama wyrównać ten parking, inaczej furgonetka zacznie grzęznąć w błocie po każdym deszczu. - Może pan jeszcze powie, że nie płacę za utrzymanie posesji, co? - zapytała zaczepnym tonem.
- Cóż, jeśli nie odpowiadają pani warunki umowy, możemy jakoś dojść do porozumienia i zmienić je -stwierdził z obleśnym uśmiechem, odstawiając cenną misę na wystawę. Bree wzdrygnęła się.
- Nie, panie Wilcox, w zupełności mi odpowiadają
- zapewniła pośpiesznie. - Ach, byłabym zapomniała
- dorzuciła z udanym zapałem. - Proszę przekazać Celii, że mam dla niej ten serwis do kawy po irlan-dzku, po który zapisała się na listę.
- Akurat! Tak jej potrzeba kawy po irlandzku, jak mnie karety - prychnął Wilcox. - W całym domu mam już pełno durnostojek, które ciągle jej sprzedajesz. Niedługo będzie mogła otworzyć własny sklep.

***Nazwij mnie jak chcesz* 37**

Bree stłumiła triumfalny uśmiech. Przynajmniej raz udało się jej odegrać! Musiała znosić tego typa tylko dlatego, że był właścicielem budynku. Co gorsza, uważał za oczywiste, że Bree zleci mu opiekę nad domem Anny, kiedy zdecyduje się go wynająć. Nie-doczekanie!

Na razie jednak, korzystając z chwilowej przewagi, powinna załatwić, co tylko się da.

- A wracając do parkingu, panie Wilcox... - zaczęła wyczekująco.

- Dobrze, zobaczę, co się da zrobić - obiecał pośpiesznie, wycofując się do drzwi. - Przepraszam, ale już muszę iść - tłumaczył się zakłopotany. - Nabożeństwo zaraz się kończy, a w niedzielę zawsze jemy obiad z rodziną Celii.

Bree nadal walczyła z opornym pniem, kiedy znów ktoś zastukał w szybę wystawową. Tym razem był to Rawls. Niezdolna ukryć nagłego przypływu radości, rzuciła się do drzwi, zaczepiając o sękate, opiłowane gałęzie.

- Proszę, wejdź i ogrzej się - zaprosiła go z uśmiechem. - Pogoda jest iście arktyczna.

- Być może uznasz, że jestem tępy, ale przyznaję, że nie rozumiem, co chcesz zrobić z tym drzewem? - zapytał, niedbałym ruchem rozpiąwszy płaszcz i wsadziwszy kciuki za pasek spodni. Stał przed nią, wysoki i przystojny, w miękkiej flanelowej koszuli i sztruksowych spodniach, z wyraźnie prowokującą miną. To ostatnie niezbyt podobało się Bree. Zawsze szczyciła się swoim swobodnym i szczerym sposobem bycia, ale nie pochwalała przesady. Mężczyźni w typie Rawlsa Smitha najwyraźniej oczekiwali hołdów od znajomych dam.

35

Dixie Browning

- Drzewo należy do wystroju wnętrza - odparła cierpko.
- Handlujesz uschłymi drzewami? - zakpił.
- Nie, są mi potrzebne do wieszania.

Widząc, jak ze zdziwieniem uniósł brwi, dodała szybko:

- Do wieszania eksponatów. Dzbanków, pasków, kilimków i temu podobnych drobiazgów. A co, na Boga, miałeś na myśli?
- Wiesz, z tobą nigdy nie wiadomo - mruknął wzruszając ramionami. - W każdym razie pomysł jest oryginalny. - Czy to wszystko jest twoje? - rozejrzał się po sklepie z niekłamanym zainteresowaniem.
- Częściowo. Resztę przekazali mi w komis znajomi oraz znajomi znajomych - wyjaśniła, nadal stojąc z ręką na klamce. Czy przyszedł tu z zamiarem dalszego dociekania, kto jest prawdziwym właścicielem domu, czy też dlatego, że chciał się z nią zobaczyć?

Ze wstydem musiała przyznać, że wolałaby tę drugą możliwość. Spotykała już w swoim życiu mężczyzn, którzy ją interesowali, ale żaden nie pociągał jej do tego stopnia. Nie potrafiła sobie racjonalnie wytłumaczyć, co było takiego w tym człowieku, że zdołał wywołać w niej nieznaną, pierwotną potrzebę, że wzbudził tyle pożądania.

Rawls podszedł do cedrowego pnia i oparłszy rękę na srebrnej korze, powiódł spojrzeniem po suficie.

- Jak masz zamiar to przytwierdzić? - zapytał z fachowym zainteresowaniem.
- Jest przycięty dokładnie tak, żeby można go było wcisnąć między sufit a podłogę. Wszystko mam wymierzone - poinformowała go rzeczowo.
- Najbardziej mnie ciekawi, skąd w ogóle przy-

szedł ci do głowy pomysł z tym drapakiem. Przecież mogłaś sobie kupić specjalne regały czy stojaki.
- Jasne, tylko najpierw trzeba mieć forsę. A ten drapak, jak mówisz, kosztował grosze.
Niedaleko, koło Soddy Daisy, zobaczyłam uschnięty żywopłot i szkoda mi się zrobiło, że takie piękne drzewo porąbią na opał. Dałam za nie facetowi koszyk na jajka i starą lampę naftową, a on nie tylko mi je ściął, ale jeszcze przypiłował gałęzie i pomógł przy transporcie.
- A jak wniosłaś to do sklepu?
- Jeszcze trochę przycięłam gałęzie, a potem jakoś udało mi się wymanewrować. Mam w tym wprawę. Wiesz, przez całe życie musiałam przenosić z miejsca na miejsce i układać różne rzeczy. Moja matka zajmowała się tkactwem artystycznym - dodała tonem wyjaśnienia. - Nie masz pojęcia, ile trzeba wykonać każdego dnia przeróżnych manewrów, żeby żyć w domu, w którym w kilku pokojach muszą się zmieścić trzy duże krosna, kołowrotek, przędzarka domowej roboty, kotły do farbowania wełny, suszarka, no i dwie kobiety.
No tak, a w zamęcie całego tego manewrowania, pomyślał Rawls, pewne rzeczy mogły ujść uwadze -takie jak na przykład czynsze czy uporządkowanie spraw własności domu. Bóg jeden wie, w jaki sposób przez te lata administrowano domami fabryki. Będzie jeszcze musiał zbadać te sprawy, ale nie teraz. Teraz potrzebował wytchnienia, chwili luzu. Poza tą dziewczyną nie znał w Chattanoodze nikogo.
- Czy nie poszłabyś ze mną na lunch?
Bree poczuła, jak radosny uśmiech rozjaśnia jej twarz. Pożałowała, że nie zdążyła się lepiej umalować. Rawls był dzisiaj niespodziewanie miły, tak zu-

pełnie inny od groźnego stróża porządku, który trzymał ją wczoraj za kołnierz. Patrzyła, jak z zaciekawieniem sięgnął po tę samą misę, którą wcześniej skrytykował Ebben Wilcox.
- Chętnie z tobą pójdę, tylko poczekaj jeszcze chwilę, muszę wstawić to drzewo. Nie chciałabym, żeby ktoś zobaczył przez szybę bałagan i pomyślał, że wkrótce zrobię wyprzedaż z powodu upadłości.
Rawls skinął głową. Miał czas. Już wcześnie rano pojechał na Milledge Road, by dokładnie przyjrzeć się domkom. Niemile zdziwił go fakt, że większość z nich była opuszczona i zrujnowana. Widać uznano, że nie warto się o nie troszczyć, skoro fabryka popadła w ruinę. A jednak, do licha, ktoś brał pieniądze za zarządzanie tymi terenami, i zapewne także za nie wykonywane prace remontowe!
Zaparkował pod numerem dziewięćdziesiąt cztery i z nachmurzoną miną przyglądał się jasnym, kremowym ścianom, dobrze utrzymanym czarnym okiennicom i świeżo pomalowanemu dachowi. Owe stare, ale solidne blaszane dachy stanowiły prawdopodobnie jedyny argument przeciwko wyburzeniu tych ruin. Wolał nie myśleć, w jakim stanie znajdują się kominy - nie czyszczone, nie konserwowane, z wypalonymi, wykruszonymi cegłami. Skończywszy oględziny, pojechał do sklepu Bree, kierowany dziwną ciekawością.
Ciche przekleństwo wyrwało go z zamyślenia. Odwróciwszy się zobaczył, jak dziewczyna nieporadnie szamoce się z rosochatym pniem.
- Nie tak! - syknął z irytacją, odstawiając misę. - Wybrałaś najgorszy sposób.
- Być może jest lepszy, ale mi o nim nie powiedziałeś.

Rawls z pełną wyższości miną ocenił sytuację.
- Zrobimy tak - nakazał. - Ty zablokujesz stopą dół drzewa i przytrzymasz je, a ja będę manewrował.
Po chwili nieporęczny drapak został ustawiony we właściwej pozycji. Rawls kilka razy kopnął w podstawę, aż pień wklinował się mocno między podłogę a sufit. Bree odstąpiła kilka kroków do tyłu, z podziwem oceniając efekt.
- Doskonale - stwierdziła. - Najpierw chciałam zrobić postument z kartonów i skrzynek po owocach, ale to wygląda o wiele lepiej. Tak to jest, Rawls, kiedy się ma za duże pomieszczenie - płacisz za każdy metr kwadratowy, ale żeby go naprawdę wykorzystać, trzeba dodatkowo wykosztować się na specjalne stojaki i półki - mówiła z werwą i przejęciem.
- Świetnie, zatem ten suchy drapak wypełnia ci cenną przestrzeń - uśmiechnął się kpiąco. - Nadal nie jestem przekonany, czy to się opłaca. Teraz możesz już iść na lunch?
- Zaraz, jeszcze chwila...
Bree otworzyła stary kufer, ozdobiony szalonymi niebiesko-zielono-miedzianymi wzorami. Rawls byłby przysiągł, że jeszcze niedawno musiał zajmować zaszczytne miejsce w jej mieszkaniu. Widząc, że Bree wyciąga ręcznie tkane barwne szale i drapuje je na gałęziach, przysiadł na małej ławeczce i patrzył. Tymczasem, skończywszy z szalami, Bree z zapałem zaczęła krążyć po sklepie i zdejmować z półek różne cuda, by umieścić je na drzewie, a na ich miejsce postawić inne, wyciągnięte z kolejnych zakamarków. Po chwili Rawls musiał przyznać, że w jej szaleństwie jest metoda. Ta osoba o artystycznej duszy wyraźnie wiedziała, co robi. Słabo znał się na sztuce i wystawiennictwie, ale nagle stwierdził, że

cedrowy pień zaczyna wyglądać coraz bardziej intrygująco.
- Skąd będziesz wiedziała, kiedy trzeba skończyć? - zapytał łagodnie po dwudziestu minutach.
Bree, obarczona naręczem plecionych pasków i sznurami drewnianych korali, zatrzymała się przed mm z miną świadczącą o wyrzutach sumienia.
- Hmm, tak... chyba muszę kończyć.
- Ależ nie przejmuj się. Pytałem tylko dlatego, że nie wiem, czy mam zapaść w zimową drzemkę, czy raczej udać się do twojej kuchni w poszukiwaniu zimnego chili.
Miękki, nasilający się szmer zwrócił jednocześnie ich uwagę. Bree odwróciła się i zerknęła na ulicę.
O, nie - jęknęła. - Śnieg z deszczem! Tego tylko brakowało!
- Nic takiego, za chwilę zmieni się w deszcz.
- Widzę, że nie rozumiesz. Planowałam dziś po południu zabrać narzędzia i iść na Milledge Road Muszę przecież odzyskać torebkę i kluczyki.
- To prawie cztery kilometry stąd.
- I co z tego?
- Kobieta nie powinna chodzić sama po takiej okolicy - stwierdził z troską.
- Rawls, to bardzo miłe, że się o mnie martwisz ale naprawdę jestem już dużą dziewczynką. Wierz mi, umiem sobie radzić. Zresztą to twoi klienci są winni, że okolica jest taka podła. Gdyby lepiej dbali o domy, więcej ludzi chciałoby w nich zamieszkać Mam nadzieję, że swój wynajmę za więcej niż kilka nędznych dolarów - oznajmiła nie bez złośliwej satysfakcji.
- Słuchaj, jadłem dziś bardzo nędzne śniadanie - powiedział z naciskiem Rawls, zniecierpliwionym

gestem przeciągając ręką po ciemnych włosach. - Jeśli nie boisz się jechać ze mną po tej śliskiej brei, z chęcią wyruszyłbym na poszukiwanie czegoś do jedzenia.
Tym razem Bree już nie zwlekała. Resztki wegetariańskiego chili z pewnością nie mogłyby wystarczyć dla głodnego mężczyzny.
Do wieczora deszcz ze śniegiem zmieniał się kolejno to w deszcz, to w śnieg. Zrezygnowali z szukania restauracji. Rawls kupił ogromne hamburgery i podwójne porcje frytek. Zjedli je w zagraconym salonie Bree. Zamarzający deszcz bębnił o szyby, lecz w zacisznym wnętrzu było miło i ciepło. Bree postanowiła tego wieczoru nie myśleć o rachunkach za ogrzewanie.
- No, ten skarb chyba będzie ostatni - mruknął Rawls, nalepiając metkę z ceną na toczonym drewnianym świeczniku. - Co robimy dalej?
Bree siedziała po turecku na podłodze. Rozpuszczone włosy spływały na spis jak złoty welon.
- Zostały jeszcze wyroby garncarskie, ale mogą poczekać. Marzę o kawie. Kłopot polega na tym, że kiedy się jest szefem, trudno zrobić sobie nawet małą przerwę - uśmiechnęła się przepraszająco.
- A jeśli ja, jako pracownik, zarządzę przerwę na kawę, przyłączysz się do mnie? - zapytał wstając i przeciągając się. - I żadnych rozmów o sklepie, dobrze?
- Dobrze, dobrze...
Po chwili zasiedli nad dużymi filiżankami kawy ze śmietanką i kieliszkami brandy. Bree westchnęła z zadowoleniem. Po raz pierwszy od miesięcy czuła się naprawdę odprężona. Dopiero teraz zdała sobie

sprawę, jak puste i jałowe było jej życie od czasu śmierci matki.
- Opowiedz mi o Briannie Fields - poprosił cicho Rawls. Jak na człowieka, który jeszcze wczoraj chciał ją zaprowadzić na policję, był w dziwnie ugodowym usposobieniu.
- Mmm... A co chciałbyś wiedzieć? - zapytała, oblizując górną wargę. - Nazwisko, data urodzenia, numer prawa jazdy, tak? Jak w formularzu urzędowym? A może informację w stylu rubryk towarzyskich - ulubione potrawy, muzyka, aktorzy?
- I to, i to - powiedział z roztargnieniem, nagle zdając sobie sprawę, że od dłuższej chwili wpatruje się w zarys jej piersi pod różowym sweterkiem. Leżała na futrzaku w niedbałej, dziecinnej pozie. Obcisłe dżinsy uwydatniały smukłe uda. Kiedy zrzuciła z nóg mokasyny, ukazały się szczupłe stopy.
- Moje imię i nazwisko znasz, wiek też. Nie znam na pamięć numeru swojego prawa jazdy. Przepadam za marynowanym melonem, naprawdę dobrym *barbecue,* puddingiem ryżowym, muzyką country w dawnym stylu i melodyjnymi kawałkami, takimi jak „Jezioro Łabędzie" i „Dziadek do orzechów". Nie mam ulubionych aktorów - być może za mało oglądam filmów. Poza tym od pół roku mój telewizor stoi zepsuty.
Jeszcze nie skończyła tej tyrady, a już Rawls zaczął się uśmiechać. Wyciągnął rękę i żartobliwie połaskotał ją w bosą stopę.
- Jestem pewien, że na liście twoich ulubionych potraw musi być też homar.
- Już ci mówiłam, że nigdy tego nie jadłam - zachichotała Bree. - Teraz twoja kolej - spojrzała na niego wyczekująco.

- Mam trzydzieści cztery lata, a co do reszty, trudno mi coś konkretnego powiedzieć. Pewne upodobania się zmieniają. Nie można przecież ciągle zajadać się marynatami i słuchać stale tej samej muzyki, nie? - powiedział z uśmiechem, ogarniając ją ciepłym i jednocześnie pełnym pożądania spojrzeniem. Kiedy znów pochylił się i ujął ją za kostkę, Bree poczuła, jak jej ciało przenikają przyjemne dreszcze.
- To nie jest gra fair - mruknęła.
- Zależy od reguł - odparł swobodnie. Nagłe zwężenie źrenic, subtelna zmiana jego głosu i ruch ręki, wsuwającej się pod nogawkę dżinsów, wywołały w niej dziwne poczucie bliskości z tym mężczyzną.
Wszystko przez alkohol, pomyślała. Rawls Smith plus brandy to mieszanka piorunująca, której trudno się oprzeć.
Nerwowo odsunęła się od niego udając, że musi zmienić pozycję. Sytuacja rozwijała się stanowczo zbyt szybko, ona zaś zbyt długo żyła na emocjonalnej pustyni, by mogła sobie ufać. Jeszcze chwila, a zrobi coś głupiego...
- Może coś jeszcze zjemy albo napijemy się kawy? Tym razem ja się tym zajmę - zaproponowała.
- Lepiej pojedźmy do miasta na homara. Ale najpierw chciałbym jeszcze coś usłyszeć o tobie. Wspominałaś, że twoja matka zajmowała się tkactwem. Czy ojciec również miał coś wspólnego z rzemiosłem artystycznym? A może pracował w zakładach?
Bree poczuła, jak pocą jej się ręce i odruchowo ścisnęła filiżankę. Nie była przygotowana na opowiadanie o ojcu. O człowieku, którego nazwiska nie znała, który nie ożenił się z jej matką, który nawet nie chciał uznać własnego dziecka. Dawno już pogodziła

się z tym bolesnym faktem i musiała z nim żyć, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby się zwierzyć obcemu człowiekowi, takiemu jak Rawls Smith. W tych okolicach bycie nieślubnym dzieckiem nadal uważane było za hańbę.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Czy ktoś tu wspominał o homarze? - zapytała z ożywieniem, choć bynajmniej nie była głodna. Niebezpieczne poczucie bliskości, jakie przed chwilą odczuwała, mogło skłonić do niepotrzebnych zwierzeń. Jeszcze chwila, a zdradziłaby wszystkie sekrety -tymczasem sprawa jej ojca była przede wszystkim tajemnicą Anny.

- Chcesz wychodzić w taką pogodę? - jęknął Rawls, wyraźnie rozleniwiony.

- Tylko wtedy, kiedy skuszę samą siebie perspektywą dobrego jedzenia. Poza tym trzeba wreszcie zabrać samochód, a jeżeli tak dłużej popada, wydostanę się stąd tylko łodzią. Popatrz, w zatoczce do parkowania zaraz będzie jezioro.

Rawls wstał i przeciągnął się powoli. Zafascynowana obserwowała jego płynne, kocie ruchy. Kiedy wciągnął płaski, twardy brzuch, by poprawić koszulę w spodniach, umknęła spojrzeniem w bok, czując wyraźnie erotyczny dreszcz. Co się' z nią dzieje? Jeszcze niedawno potykali się o siebie na podłodze, wypakowując pudła pełne świeczników, misek, dzbanków i innych artystycznych cude-niek, które sztuka po sztuce trzeba było sprawdzać na listach, a potem metkować, i nie przeskoczyła między nimi żadna iskra. Owszem, kiedy zerkała na niego od czasu do czasu, nieodmiennie stwierdzała, że jest bardzo przystojny. Nie przypusz-

czala jednak, że wkrótce zacznie myśleć o nim z pożądaniem.
- Mam propozycję - oznajmił niskim, wibrującym
glosem, również zajęty potajemnym studiowaniem jej
ciała. - Zjemy wcześniej kolację, a potem pojadę
z tobą do domu matki i pomogę ci otworzyć drzwi
Pokusa była wielka i Bree oparła się jej z trudnością.
- Rawls, nie chcę cię wykorzystywać. I tak harowałeś już dla mnie przez całe popołudnie. Nie mogę dopuścić, żebyś fundował mi kolejny posiłek i jeszcze pomagał we włamaniu.
- Ty o nic nie prosiłaś. Sam to zaproponowałem
- Wystarczy, że poruszyłam ten temat.
- Och, daj spokój. Jestem głodny i nie mam ochoty jesc sam. Zresztą, żebyś miała czyste sumienie powiem ci, że jeśli czegoś naprawdę nie chcę zrobić' nie pomogą żadne prośby. Taki już jestem
Bezceremonialnym ruchem ujął ją za rękę i poprowadził ku drzwiom. Drepcząc za nim posłusznie uzupełniła w myślach jego charakterystykę: jeśli Rawls Smith miał ochotę coś zrobić, nic nie było w stanie go od tego odwieść.
O dziwo, jakoś jej to nie przeszkadzało. Po latach podejmowania samodzielnych decyzji z ulgą pozwoliła, by choć raz ktoś inny przejął inicjatywę.
Uhce obeschły nieco i jazda nie była już tak niebezpieczna. Zgodnie z ustaloną przez Rawlsa kolejnością przed włamaniem należało się porządnie najeść. Nie rozmawiali przez całą drogę do restauracji Bree nastawiła jakąś kasetę i pogrążyła się w myślach. Nadal czuła się tak, jakby nagle obudziła się na środku niebezpiecznie kruchej lodowej tafli Zapewne postępowała nieroztropnie, decydując się spę-

dzić kolejne kilka godzin z mężczyzną wysyłającym tak silne impulsy. Z drugiej strony miała już serdecznie dosyć bycia rozważną, praktyczną i ostrożną. Coś, czym się zawsze szczyciła, nagle wydało jej się nudne i małostkowe.
Kolację jedli w eleganckiej kolejowej salonce z przełomu wieku. Bree z zainteresowaniem rozglądała się po luksusowym wnętrzu. Wagon nie należał do pociągu wsławionego w piosence „Chattanooga Choo Choo", ale z pewnością był autentyczny. Może stanowił własność jednego z wielkich królów bawełny? Z westchnieniem stwierdziła, że minął już rok od czasu, gdy była na kolacji z mężczyzną. Zresztą tamci panowie wybierali raczej pospolite i o wiele tańsze lokale, a najczęściej miejscem spotkań bywały ciasne kuchnie na zatłoczonych prywatkach.
- Podoba ci się tutaj? - zaniepokoił się Rawls. -Podają tu naprawdę dobre homary, ale jeśli życzysz sobie, żebyśmy poszli gdzie indziej, to...
Z uśmiechem pokręciła głową. Całe szczęście, że zdążyła się przebrać w różową wełnianą sukienkę i najlepsze pantofle. Rawls nadal miał na sobie flanelową koszulę i sztruksowe spodnie. Uznał, że przy tej pogodzie nie warto tracić czasu na jazdę do hotelu. A jednak kelner we fraku uwijał się koło nich z zapałem. Bree nie była tak naiwna, by sądzić, że sprawiła to jej czteroletnia, niemodna już sukienka. Mężczyzna pokroju Rawlsa Smitha mógł pokazać się w najlepszym lokalu nawet w roboczych drelichach, a i tak wzbudzałby respekt.
- Tu jest fantastycznie! - Płomień świecy podkreślał blask zachwytu w jej oczach.
- Tylko dlatego, że ty jesteś fantastyczna - sprostował, ciesząc się jej radością. Ciągle zadziwiała

go czymś nowym. Nie pamiętał już. kiedy po raz ostatni spotkał kobietę, która nie usiłowała go kokietować. - Ślicznie wyglądasz, Brianno - powiedział szczerze.
- Dzięki. Czy nie uważasz - uśmiechnęła się łobuzersko - że jestem zbyt elegancko ubrana, jak na złodziejską robotę?
- I dzięki Bogu. Gdyby nie to, już dawno wyproszono by nas z tej sali.
- Och, nie przesadzaj, nie wyglądałam tak źle jako niedoszła włamywaczka. Po prostu twój jedwabny krawat i koszula w prążki były zbyt eleganckie. A swoją drogą, czy jesteś Strzelcem? Gdzieś czytałam, że Strzelcy lubią paski, prążki i w ogóle linie proste. Chociaż ja sama jestem spod znaku Strzelca, a nie mam nic w paski.
- Jestem Skorpionem i wcale nie chcę wiedzieć, co wyczytałaś w moim horoskopie - odparł szorstko. - W każdym razie Skorpion nigdy by nie wpadł na pomysł podważania zatrzasku szpachelką, do tego oblepionej zaprawą. Dlaczego nie próbowałaś użyć karty kredytowej? W wielu filmach można było zobaczyć, że one świetnie nadają się do otwierania zatrzaskowych zamków.
Bree westchnęła, udając rozpacz.
- Już nie wiem, czy sobie żartujesz, czy znów uruchomiłeś ten swój precyzyjny umysł inżyniera? Po pierwsze nie mam karty kredytowej, a po drugie, nawet gdybym ją miała, byłaby w torebce zostawionej w domu.
Tak przekomarzali się dłuższą chwilę, z apetytem pałaszując sałatki, kiedy na podium pojawiła się mocno umalowana wokalistka i przy akompaniamencie elektrycznych organów zaczęła coś szeptać

schrypniętym głosem do mikrofonu. Bree słuchała jej rozanielona. Jak dobrze było znowu się śmiać, nie myśleć wreszcie o pustce, smutku i codziennej walce o byt. Dziś chciała się tylko bawić i zapomnieć o reszcie świata.
Rawls pokazał jej, jak się je homara. Tymczasem piosenkarka, ognista blondynka, odrobinę przypominająca słynną gwiazdę country z Tennessee, zaczęła drugą część występu. Bree delektowała się śpiewem, muzyką i cudownym smakiem kolacji.
- Zastanawiam się, jak Dolly Parton radzi sobie z roztopionym masłem - mruknęła, przełknąwszy ostatni kęs. - Wiesz, pomyślałam po prostu, że serwetka na kolanach może niektórych peszyć.
- Ciekawe, dlaczego zastanawiasz się akurat nad tym?
- Zawsze miałam skłonność do rozważania takich szczegółów. Dlatego świetnie wychodzą mi różne manewry - po prostu wcześniej przewiduję ewentualne problemy.
- A, tak, zauważyłem.
- Nie licząc oczywiście sytuacji, których nie mogę przewidzieć, na przykład obluzowanej framugi i...
- ... zatrzaskujących się zamków czy mało poręcznych pni cedrowych - dokończył z chichotem.
- Nigdy nie twierdziłam, iż jestem wszystkowiedząca - oznajmiła z tak poważną miną, że Rawls odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośnym, zaraźliwym śmiechem. Bree kątem oka dostrzegła uśmiechy gości przy sąsiednich stolikach. Nie uszły też jej uwagi spojrzenia kobiet - oceniające albo zazdrosne - ale zawsze pełne nieskrywanego podziwu.

Kelner podtoczył cicho do stolika wózek i Bree dosłownie zaparło dech na widok egzotycznej rozmai-tosci deserów.
- Muszę ci powiedzieć. Rawls. że robisz dywersię pokazując mi. jak wygląda luksusowe życie. Zaraz znikniesz i zostawisz mnie sam na sam z chudymi zupkami i bezmięsną chili.
- Poważnie wątpię, czy jeden przerośnięty skorupiak zdoła zmienić cię w zagorzałą wielbicielkę luksusu - stwierdził z rozbawieniem, patrząc jak Bree zamyka oczy i na chybił trafił wskazuje smakołyki na wózku.
W pół godziny później Bree, pławiąc się w poczuciu nasycenia i błogości, wsparta o opiekuńcze ramię Rawlsa, dała się zaprowadzić do samochodu Jeśli groziło jej niebezpieczeństwo uzależnienia się na pewno nie dotyczyło ono homara czy czekolady z francuskim koniakiem. Jak narkotyk działało na nią teraz silne, męskie ramię.
Oczywiście, nie każde męskie ramię. Ten sam gest w wykonaniu Billy Almondsa, twórcy cudownie udziwnionej ceramiki, nigdy nie był w stanie sprawie, by jej serce przyśpieszyło swój rytm choćby o jedno uderzenie.
Z zażenowaniem musiała przyznać, że nawet jazda z Rawlsem do Milledge Road wydawała jej się podróżą z marzeń. Jak gdyby czas zatrzymał się w miejscu
i została tylko myśl o mężczyźnie, który oczarował ją jednym dotknięciem. Od kiedy Annę zabrano do szpitala, Bree ani na moment nie pozwoliła sobie na emocjonalne odprężenie. Teraz miała wrażenie, że sama obecność Rawlsa zmuszają do biegu, kiedy jeszcze me nauczyła się dobrze chodzić. W niebezpieczny sposób osłabiał jej czujność i, co gorsza, zapewne

świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Och, czy musiał być tak piekielnie przystojny! Wybij go sobie z głowy jak najszybciej. On jest poza twoim zasięgiem - pomyślała.
Opowiadał jej trochę o swojej pracy szefa inżynierskiej firmy konsultingowej. Określił swój apartament w Atlancie jako wygodny, ale ascetyczny. Rawls Smith nie wyróżniał się niczym szczególnym pod względem ubioru czy sposobu wysławiania się - a jednak za tą fasadą bezpretensjonalności wyczuwało się niewidzialny polor, dostępny tylko tym, którzy od pokoleń należeli do towarzyskiej i finansowej elity. Ten człowiek był „kimś", niezależnie od tego, za kogo chciał uchodzić w jej oczach. Tym bardziej dziwne wydawało się, że ktoś jego pokroju zaangażował się w sprawy prowincjonalnego fabrycznego osiedla.
Kiedy w lejącym deszczu zajechali na Milledge Road, dom pod dziewięćdziesiątym czwartym wydał jej się jeszcze bardziej smutny i opuszczony. Kiedyś ożywiało go ciepło, śmiech, smakowite zapachy i dźwięki dobrej muzyki. Ale już w zeszłym roku większość jej znajomych z sąsiedztwa wyprowadziła się. Linda miała teraz nową galerię w Gatlinburgu, Billy osiadł w Spruce Pine, a Motsingerowie skończyli studia, kupili opuszczoną stodołę w Pigeon Forge i jak wynikało z kartki, którą ostatnio dostała, mieli zamiar rozkręcić produkcję, jak tylko gotowy będzie piec garncarski.
- Znów ten smutny cień - zauważył Rawls współczująco, widząc jej spojrzenie skierowane ku domowi.
Szybko odrzuciła melancholijne myśli, zawstydzona, że przyłapał ją na chwili słabości.

54

Dixie Browning

- No, *teraz* nastąpi chwila prawdy - zaśmiała się. - Moja szpachelka przeciwko twojej karcie kredytowej.

Otuliła się ciaśniej kołnierzem płaszcza, szykując się do wyskoczenia z auta. Deszcz bił w szybę szarą, lodowatą falą.

- Poczekaj, zostań w samochodzie. Nie ma sensu, żebyśmy oboje mokli.

- O, nie. Jeśli ktoś ma się włamywać do mojego domu, muszę być świadkiem. No, chodź, zobaczymy, kto pierwszy będzie na ganku!

- Uważaj na błoto - ostrzegł, ale Bree już skakała przez kałuże. Nie miała żadnych szans. Tuż przed schodami dogonił ją i złapał w ramiona. Śmiejąc się radośnie wpadli na ganek.

Rawls nie wypuścił jej z objęć i z błyskiem w oczach przypatrywał się drobnej postaci. Kropelki wilgoci drżały na rzęsach dziewczyny i jak lśniące klejnoty zdobiły włosy. W lodowatym powietrzu rozwinęła się jak delikatny pierwiosnek subtelna woń perfum i ciepłego kobiecego ciała.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. Daj spokój, chłopie, ta mała żyje w innym świecie niż twój, upomniał się w duchu.

A jednak, lekceważąc głos rozsądku, pochylił głowę ku jej twarzy. W ostatniej chwili chciał się wycofać, ale było już za późno. Z cichym pomrukiem wziął to, co tak chętnie mu dawano.

Gdyby tylko zawahała się, tak jak i on, gdyby odwróciła głowę, udałby, że nic się nie stało. Lecz nie zrobiła tego. Do licha, taki stary koń, a dał się skusić! Widział, że przez cały dzień dojrzewała do tej chwili -i musiała być albo niesłychanie szczera, albo tak niedoświadczona, że nawet nie umiała ukryć

swoich pragnień. O ile w ogóle zdawała sobie z nich sprawę... Jeszcze chwila nieuwagi i on sam wpadnie po uszy. Z trudem bronił się przed tą dziewczyną -a przecież nie był ani naiwny, ani niedoświadczony!
Bree całowała go zachłannie i żarliwie. Pocałunek upajał ją jak najlepsze wino. Już nie wystarczył jej dotyk silnych ramion, zapragnęła być bliżej. Musnęła ręką jego zimny, mokry policzek i dotknięcie rozpaliło jej ciało. Nieświadomie przylgnęła do Rawlsa, jakby pragnęła schronić się przed chłodem pod jego płaszcz, bliżej ciepłego ciała.
Robię coś złego, pomyślała z roztargnieniem, kiedy zaczął scałowywać kropelki deszczu z jej twarzy. Coś złego, ale tak miłego, tak słodkiego, och, jak bardzo...
- Czy wiesz, że smakujesz jak czekolada? - wyszeptał jej drżącym głosem do ucha.
I czuła się jak czekolada - gorąca i słodka.
- A ty smakujesz jak wino - odszepnęła. - Musujące, uderzające do głowy... mmm, po prostu cudowne.
Boże, po co tyle mówi! Najwyższa pora, żeby zasłonić się pensjonarską nieśmiałością.
- Rawls, może lepiej spróbowalibyśmy otworzyć zamek.
Czule potarł policzkiem o jej włosy i niechętnie wypuścił ją z objęć.
- Jak mogę cię dobrze całować, kiedy muszę się tak schylać? - mruknął, prostując się na całą wysokość.
- Może powinnam stanąć na skrzynce po farbach - zasugerowała, łapiąc oddech.
- Mam lepszy pomysł - odparł z uwodzicielskim uśmiechem. - W pozycji poziomej różnica wzrostu nie będzie tak odczuwalna.

56

Dixie Browning

Bree po raz drugi doznała dziwnego wrażenia, jakby w głębi jej duszy zatrzasnęły się jakieś drzwi. Nawet zdziwiła się podświadomie, że zamknęły się bezgłośnie.

Rawls tymczasem zabrał się do roboty. Włamanie okazało się dziecinnie proste. Wystarczyło, że podważył zatrzask ostrzem scyzoryka, a drzwi posłusznie stanęły otworem.

Bree weszła do ciemnego przedpokoju. Od progu gonił ją donośny śmiech Rawlsa.

- Mówiłem ci, że tą twoją kielnią nic byś nie wskórała - triumfował. - Następnym razem, jak będziesz chciała się zabawiać we włamywacza, używaj właściwych narzędzi!

- Nie będzie następnego razu - odburknęła, zapalając światło. Zimno na zewnątrz było niczym w porównaniu z lodowatym ziąbem, jaki panował w środku domu. Ich kroki rozlegały się głośnym echem.

- Ładna robota - pochwalił, rozglądając się po niewielkim salonie. - Chociaż nie wiem, dlaczego oczekiwałem, że będzie zielony.

- Łazienka jest zielona. Chodź, pokażę ci.

Z dumą demonstrowała mu kolejne pomieszczenia. Była świetnym malarzem i wiedziała o tym. Warstwy farby położone były równo i starannie. Szczególnie dobrze wyszły okna.

- Został jeszcze ten pokój. Zrobię go w tym tygodniu. Chyba na żółto. A to jest...

Stłumiony okrzyk wyrwał jej się z ust, kiedy z przerażeniem dojrzała strumień zielonej farby, ciągnący się po podłodze aż do korytarza. Łzy napfynęły jej do oczu na widok zmarnowanej, ciężkiej pracy. Zaklęła, pociągnęła nosem i opadła bezsilnie na jedyny mebel w domu, koślawy stołeczek o trzech nogach.

- Brianno, nie martw się, przecież nic takiego się nie stało - Rawls niezdarnie usiłował ją pocieszać. - Wystarczy trochę papieru ściernego, lakieru i wszystko będzie wyglądało jak dawniej.
- Co ty wiesz - powiedziała płaczliwie, ukrywszy twarz w dłoniach. - Przez dwa dni cyklinowałam tę podłogę wynajętą maszyną!
- To wynajmiemy jeszcze raz - pocieszał, klękając przy niej, aż jego twarz znalazła się na jednym poziomie z zalaną łzami buzią.
- I cały pył osiądzie na świeżo malowanych ścianach, tak? - prychnęła, rozmazując ręką wilgotne smugi na policzkach. - Widać, że nie masz pojęcia o odnawianiu podłóg. Nie wyobrażam sobie, że miałabym robić to jeszcze raz. Ten hałas, kurz i...
Na próżno otoczył ją ramieniem i tulił do siebie. Nie dała się pocieszyć. Powoli jednak uświadomiła sobie, że reaguje histerycznie.
- Przepraszam - wyjąkała, wtulając twarz w jego marynarkę. - Farba zamarzła i puszka pękła. Trudno, świat się od tego nie zawali.
Na próżno jednak usiłowała stłumić łkanie. Koszmar! Nawet po śmierci Anny tak nie płakała. Lecz teraz tama przerwała się i potok popłynął niepowstrzymaną falą.
- Posłuchaj, Bree, wynajmiemy kogoś. Nie kiwniesz nawet palcem - obiecał Rawls, przytulając ją do siebie. To drżące, szczupłe ciało budziło w nim niespodziewane uczucia, choć przecież nie raz w życiu pocieszał płaczące kobiety.
Bree z oburzeniem uniosła głowę. Ostre światło żarówki upiornie uwydatniało jej opuchnięte oczy i czerwony nos.

- W żadnym wypadku tego nie zrobimy! Masz pojęcie, ile kosztuje cyklinowanie i lakierowanie podłogi? - zaprotestowała gwałtownie.
- Kochanie, nie musisz się o nic martwić. Ja...
- Ty? To nie twoja sprawa, a ja nie jestem twoim kochaniem - warknęła. - I proszę cię, Rawls, przestań na mnie patrzeć. Wyglądam okropnie, jak płaczę.
W odpowiedzi czule pogładził ją po głowie i znów przyciągnął do siebie. Nie zamierzał zaprzeczać. Rzeczywiście wyglądała okropnie, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Ogarnęła go fala opiekuńczych uczuć. Znał kobiety, które potrafiły płakać godzinami, nie rozmazując sobie makijażu, ale to stworzenie nie uznawało półśrodków. Bree wypłakiwała się szczerze i z całego serca. Z taką samą impulsywną żywiołowością pochłaniała homara, jak i przepychała rosochaty pień przez wąskie drzwi.
- Posłuchaj, to miejsce jest ponure i zimne jak grób. Dlatego proponuję, żebyśmy spróbowali uruchomić twój samochód, a jeśli ruszy, pojadę za tobą do domu. Nie warto teraz płakać nad rozlaną farbą. Będziemy się o to martwić jutro. Gdzie wyrzucić tę puszkę?
Odepchnęła go i wstała, z determinacją pociągając nosem.
- Zaraz się tym zajmę - oznajmiła ponuro. - A mój samochód zapala bez problemów, więc nie musisz mnie eskortować aż do domu. Poza tym...
Urwała nagle i zamrugała opuchniętymi powiekami.
- Przepraszam, Rawls. Normalnie tak się nie zachowuję, przysięgam. Myślę, że to... uczulenie na homara - zająknęła się, błagając go wzrokiem, by nie wracał już więcej do tego tematu.
- Słyszałem, że owoce morza mogą wywoływać wysypkę, ale łzy?

- Może to wina czekolady - mruknęła wściekła, że się ośmiesza. Ostrożnie wzięła do ręki dużą puszkę, starając się trzymać ją z dala od siebie. Nagle coś wypadło z niej z hałasem na podłogę. Bree pochyliła się i podniosła pędzel, który kupiła za ciężkie pieniądze specjalnie na tę okazję. Niestety, okazał się bezpowrotnie zniszczony.
- A niech to piekło pochłonie! - wybuchnęła. - Tego już za dużo!
I nagle nastąpiło właściwe odreagowanie. Bree wybuchnęła śmiechem, wprawiając Rawlsa w oszołomienie.
- Masz rację, chodźmy stąd - oświadczyła i dziarsko ruszyła do wyjścia. - Dzisiaj wyczerpałam już całoroczny limit łez. Doprawdy, nie mogę zrozumieć, dlaczego przy tobie robię z siebie taką idiotkę. Wierz mi, na codzień jestem zupełnie normalna.
Jedno było pocieszające - silnik starej furgonetki dał się uruchomić bez żadnego problemu. Jechała do domu, mając przed sobą pokrzepiający widok tylnych świateł tamtego wozu. Kiedy ustawiła się na parkingu, podbiegła do samochodu Rawlsa, który zatrzymał się obok. Nim zdążył wysiąść, zabębniła w okno, każąc mu opuścić szybę.
- Rawls, nie wiem, jak mam ci dziękować za to, co dla mnie zrobiłeś. Za drzewo, za kolację z homarem i zajeżdżenie ze mną tam i z powrotem. W ogóle za wszystko!
- Nie dziękuj, tylko biegnij szybko do domu, bo się zaziębisz - skinął jej głową i ponownie uruchomił silnik. Tak będzie lepiej. Żadnych czułych pożegnań.

- Na pewno dobrze się czujesz? - wyrwało mu się wbrew woli.
- Tak, tak. Wyśpię się dobrze i jutro będę znów w swojej dawnej skórze. Mówię ci, naprawdę taka nie jestem. To pewnie przez tę pogodę.
- Właśnie, skoro już mowa o pogodzie, to zwiewaj wreszcie do domu - powiedział stanowczo, podnosząc szybę. Wiedział, że dopóki nie odjedzie, Bree będzie stała w lodowatym deszczu. Westchnął ciężko i ruszył z miejsca.
Przez całą drogę do hotelu przebiegał w myśli ostatnie dwanaście godzin. Brianna Fields stanowiła dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Stanowczo musi mieć się na baczności. Jego inżynierski racjonalizm wyraźnie zawodził przy tej kobiecie.
Pierwotnie planował jak najszybsze załatwienie spraw i powrót do Atlanty pod koniec tygodnia. Ale teraz... Teraz pojawiła się Brianna, a sprawa jej domu urosła do rangi głównego problemu. Matce pilnie zależy na wycenie terenów i będzie nalegała, by jak najszybciej dokonał ekspertyzy. Z drugiej strony szkoda mu było Brianny - dzielnej, samotnie walczącej o byt, z takim nakładem pracy odnawiającej dom, który uważała za własny. Postanowił jak najszybciej sprawdzić sprawę własności, chociaż był przekonany, że wie, co może znaleźć w dokumentach. Czy będzie umiał powiedzieć Bree, że za kilka miesięcy ten dom może być zrównany z ziemią?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bree przerwała pakowanie wazonu z kamionki dla jednej z przyjaciółek Celii Wilcox i czujnie nadstawiła ucha. Czyżby to wreszcie był telefon, na który czekała już od tygodnia?

- Bree, ile to kosztuje? - zawołała Celia z drugiego końca sklepu, pokazując jeden z dwunastu kubeczków, stanowiących komplet z piękną, czerwoną, wypalaną wazą do ponczu.

- Odwróć wazę, Celio, na denku jest cena.

- Och, myślałam, że to tylko numer inwentaryzacyjny. Na pewno nie pomyliłaś metek? - skrzywiła się Celia, odstawiając naczynie na miejsce i przystępując do dokładnych oględzin grubego, ręcznie tkanego ponczo. - Może ta cena będzie bardziej ludzka -mruknęła.

Bree uśmiechając się z przymusem wręczyła jej małą paczuszkę. Nie po raz pierwszy żona właściciela domu czyniła aluzję do zbyt wysokich cen, niedwuznacznie sugerując, że Bree powinna jej się odwdzięczyć za reklamowanie butiku wśród swoich znajomych. Na razie kończyło się tylko na aluzjach, ale Bree wiedziała, że wreszcie będzie musiała wyjaśnić Celii, że nie może już bardziej obniżyć cen, gdyż ma najniższą możliwą marżę. Przy słabej lokalizacji sklepiku był to jedyny sposób przyciągnięcia i tak niezbyt licznych klientów.

- Widzę, że twoje miejsce na samochód jest już wyrównane - zauważyła znacząco Celia. - Ach, ten mój mąż! Dla swojej ukochanej lokatorki zrobi wszystko, a ja muszę miesiącami prosić go o najmniejszy drobiazg.
Bree przyjęła kąśliwą uwagę ze stoickim spokojem. Niewiele by osiągnęła, informując swoją najlepszą klientkę, że najchętniej wolałaby już nigdy nie oglądać jej szanownego małżonka. Na szczęście pani Wilcox uznała wizytę za skończoną i wyszła. Bree z ulgą zamknęła za nią drzwi, przygasiła światła i wywiesiła kartkę z napisem „zamknięte".
Jutro sobota, więc otworzy dopiero o jedenastej, co oznacza, że wreszcie ma czas, by pojechać na Mil-ledge Road i dokończyć malowanie. Może tam wrócić po zamknięciu sklepu.
W zamyśleniu zerknęła na milczący telefon. Rawls już nie zadzwoni. Trzeba wreszcie skończyć z tym czekaniem. Tylko dlatego, że zabrał ją na kolację -a właściwie zaprosiła się sama - tylko dlatego, że pomagał jej w pracy przez całe przedpołudnie, tylko dlatego, że...
Tylko dlatego, że byłaś na tyle głupia, by przypisać niesłychanie głębokie znaczenie zwyczajnemu pocałunkowi - szydziła z siebie bezlitośnie - wyobrażasz sobie teraz, że zjawi się tu na białym rumaku i porwie cię ze sobą! Och, Bree, myśl racjonalnie. Facet taki jak Rawls Smith może mieć każdą kobietę w Atlancie. Z jakiej racji miałby wybrać właśnie ciebie?
- Mamo, uwierz mi, gdybym już znał konkrety, pierwsza byś się o tym dowiedziała - mówił z hamowanym zniecierpliwieniem Rawls, zapalając trzeciego papierosa. Przed laty zdołał uwolnić się od nałogu,

ale w momentach takich jak ten przypominał sobie o nim.
- Nie miej mi za złe, że cię naciskam, Rawls, ale Marshall twierdzi, że znalazł dobrego kupca. Chcę, żeby Osiedle Partridge'a również zostało uwzględnione w kontrakcie. A potem będę już mogła spokojnie zapomnieć o istnieniu miasta Chattanooga i skoncentrować się na swoich sprawach.
Jej syn nerwowo zdusił papierosa w popielniczce
i znów zaczął chodzić po pokoju.
- Dobrze, mamo, podsumujmy jeszcze raz to, co wiemy - zaproponował. - O ile mogłem się zorientować na podstawie pobieżnej inspekcji, same zakłady, wziąwszy pod uwagę ich wiek, są w niezłym stanie. Zresztą spodziewałaś się tego. Występują jednak przecieki w sieci kanalizacyjnej. Stosunkowo w najlepszym stanie jest tkalnia. Natomiast kotłownia absolutnie nie odpowiada obecnym wymogom ochrony środowiska, gdyż emitowałaby za dużo pyłów. Z tego samego powodu mogą być kłopoty z odprowadzaniem ścieków. Słowem, nie będziemy mieli zbyt silnej pozycji przetargowej.
- Pamiętaj, że z każdym dniem staje się jeszcze gorsza - przypomniała.
- O, nie byłbym taki pewien - Rawls wyjął świeżego papierosa z paczki i za chwilę włożył go z powrotem. - Może właśnie należy odłożyć przetarg i na razie uruchomić ograniczoną produkcję w tkalni, stopniowo modernizując resztę zakładu? Może w ten sposób zyska na wartości.
Rebecca potrząsnęła głową z determinacją, która zaostrzyła jej zazwyczaj łagodne rysy.
- Rawls, to nie jest żaden interes. Tu, w Memphis, George zwolnił siedemdziesięciu pięciu ludzi w paź-

dzierniku, a ja w zeszłym miesiącu musiałam zwolnić następnych piętnastu. Jest coraz gorzej i nie widzę szans, by miało się polepszyć na tyle, żebyśmy mogli zająć się uruchamianiem nieczynnych zakładów. Obecnie fabryki przynajmniej tuzina krajów startują z takim samym rozpędem, jak nasza czterdzieści lat temu. Po jakimś czasie będą pewnie borykać się z tymi samymi problemami, jakie mamy teraz. Czasu nie da się cofnąć, mój drogi.
- Widzę, że znasz się na tym coraz lepiej, mamo. - Na twarzy Rawlsa pojawił się wyraz miłości i podziwu. - A mimo to myślę, że dobrze byłoby się wstrzymać jeszcze przez kilka lat, choćby dlatego, by zobaczyć, jaki będzie skutek wprowadzenia nowych taryf.
Spojrzenie matki zaczęło odbiegać w dal i Rawls zrozumiał, że nic już więcej nie wskóra. Zbyt wiele razy widywał ten nieobecny wzrok. Przy całym swoim kruchym, łagodnym wyglądzie, Rebecca Smith potrafiła być nieugięta.
- Poważny klient, o którym wspomniałam, to firma japońska. Twój ojciec zapewne przewraca się w grobie - oznajmiła spokojnie.
- Ojciec... - zaczął Rawls, ale natychmiast mu przerwała.
- Twój ojciec odziedziczył kiedyś tę starą ruinę i uczynił ją opłacalną. Wtedy były inne czasy, synu. Słuchaj, jeśli mam zamiar przetrwać w tym biznesie, muszę mocno stanąć nogami na ziemi i odrzucić bagaż zbędnych sentymentów. Nie chcę i nie mogę być Brianem Partridge'em Smithem w spódnicy; mogę być tylko Rebeccą Smith.
Rawls patrzył z rozczuleniem na drobną, siwowłosą kobietę i wyobrażał ją sobie, jak siedzi u szczytu

długiego stołu konferencyjnego i prowadzi zebranie rady nadzorczej. Ta wspaniała kobieta potrafiła po śmierci męża z niewzruszonym spokojem przyjmować kondolencje, załatwiać noclegi licznej rodzinie, która zjechała na pogrzeb, radzić sobie z prasą i przede wszystkim z trzema natarczywymi adwokatami. Przez całe życie pozostawała w cieniu małżonka, by w krytycznej sytuacji podjąć wyzwanie, z odwagą i zdecydowaniem zaprawionego w bojach generała.
Nie mogła nawet liczyć na córki, których wprawa w organizowaniu akcji dobroczynnych i zebrań towarzyskich na nic nie mogła się przydać. Rawls chciał jej pomóc, lecz nie zgodziła się. Wydawało się, że czerpie siły z cierpienia, pragnąc jednocześnie udowodnić sobie, że sama udźwignie ten ciężar.
Tamte momenty Rawls wspominał niechętnie. Po ostatniej kłótni z ojcem wyprowadził się z domu i dopiero pogrzeb zmusił go do powrotu. Męką było udawanie żalu i rozpaczy w obecności tłumu żałobników. Jedynie wspaniała postawa matki podtrzymywała go na duchu - i to stało się jego najlepszym wspomnieniem z pożegnania ojca.
- Wiesz, Brian wspomniał tuż przed śmiercią, że chce podarować część Osiedla Partridge'a miastu, na park zabaw - powiedziała w zamyśleniu Rebecca.
- Choć na koniec okazał się hojny - mruknął i natychmiast pożałował swej niewybrednej uwagi.
- Rawls!
- Przepraszam, mamo. - Odwrócił wzrok ku płonącym na marmurowym kominku głowniom, usiłując nie poddawać się atmosferze tego domu. Czy kiedykolwiek poczuje się swobodnie tu, pod tym dachem, gdzie jeszcze niedawno rozlegał się chłodny,

nie znoszący sprzeciwu głos, bezustannie krytykujący wszystko, co Rawls zrobił czy powiedział - a nawet samo jego istnienie. Poczucie odrzucenia narodziło się w nim na długo przedtem, nim dorósł i zrozumiał, czemu wypiera się nazwiska stanowiącego dumę trzech kolejnych pokoleń. Nie, nigdy nie zgodzi się z matką w ocenie Briana Partridge'a III. Ale przeciwnik już nie żył i nie było z kim walczyć. Dla matki Brian był człowiekiem dynamicznym, odpowiedzialnym obywatelem i społecznikiem. Pozwalała mu się traktować jak miłe, lecz niezbyt rozgarnięte dziecko. Dla Rawlsa był zimnym, pozbawionym uczuć tyranem, który rządził rodziną równie twardo jak swoimi pracownikami. Rawls nie odczuwał najmniejszego dreszczu dumy na widok słynnego nazwiska, wypisanego złotymi literami na brązie i marmurach w Hamilton County. Dziwnym trafem wychwalająca tego świętej pamięci dobroczyńcę prasa nie dostrzegła, że każdy charytatywny gest słynnego Briana Partridge'a III był wynagradzany niewspółmiernie wysokimi odpisami podatkowymi.

- Czy mógłbyś zadzwonić po Andrewsa, synu? -zapytała Rebecca łagodnym głosem, w którym trudno było doszukać się śladów niedawnego napięcia. - Porozmawiamy sobie jeszcze przy kawie, a potem chyba pójdę wcześniej do łóżka. I nie zapomnij o jutrzejszej kolacji u Elaine, dobrze? Obiecałam już Marilyn Hardy, że ją zawieziesz.

Rawls westchnął z rezygnacją. Już od czasów szkoły średniej matka swatała go z córkami swoich przyjaciół.

- Mamo, skoro już wspomnieliśmy o Osiedlu Par-tridge'a, chciałem ci powiedzieć, że większość tam-

tejszych domków to dziś prawdziwe slumsy, zamieszkałe na dziko przez jakichś włóczęgów, sądząc po ilości pustych butelek. Im wcześniej zrówna się je z ziemią, tym lepiej. Natomiast na jednym końcu ulicy zachowało się jeszcze kilka całkiem przyzwoitych budynków. Mieszkańcy starali się dbać o nie i można je doprowadzić do porządku stosunkowo niewielkim kosztem.
Do tej części osiedla należał również domek Brian-ny. Rawls z przykrością pomyślał o własnym tchórzostwie. Bał się skontaktować z nią przed wyjazdem do matki, gdyż za wszelką cenę chciał uniknąć poruszania tematu własności domu. Niestety, prędzej czy później będzie musiał powiedzieć jej wszystko. Wolał nie dociekać, dlaczego nie ma ochoty myśleć o interesach w obecności tej dziewczyny. Miał nadzieję, że wyjazd pozwoli mu o niej zapomnieć, lecz niestety - była w jego myślach ciągle obecna.
- ... lepiej byłoby wszystkie zburzyć i nie zawracać sobie nimi głowy - kończyła swą kwestię Rebecca, znów błądząc wokół niewidzącym spojrzeniem. -Już ci mówiłam, Rawls, że chcę mieć jak najszybciej z głowy sprawę Chattanoogi.
Nagle oboje odwrócili się, słysząc odgłos kroków. Lekko powłócząc nogami pojawił się starszy służący z tacą, na której stał dzbanek z kawą i filiżanki. Rebecca wskazała mu lśniący mahoniowy stolik koło swego fotela. - Dziękuję, Andrews. Czy panna Susan zabrała rzeczy, które przeznaczyłam na loterię fantową?
- Nie, proszę pani, jeszcze są w holu.
- To włóż je z powrotem do garderoby. Nie znoszę robić z domu składowiska!

- Tak, proszę pani. Myślę, że panna Susan przyjdzie trochę później.
W milczeniu patrzyli, jak służący oddala się sztywnym krokiem.
- Andy bardzo się ostatnio postarzał - zauważył Rawls. - Nie wspominałaś mu o przejściu na emeryturę?
- Nie śmiałabym. Brian zapisał mu sporą rentę, ale Andrews uważa, że dom popadłby w ruinę, gdyby nie dopilnował wszystkiego osobiście. I pewnie ma rację.
Rawls odstawił swoją kawę na kominek. Była już zimna. Przypomniał sobie dzbanek u Bree i pomyślał, że ceramiczne naczynia są o wiele praktyczniej-sze niż chińska porcelana. A co do ojca... cóż, o wiele bardziej troszczył się o swoją służbę niż o jedynego syna.
- Jaką akcję dobroczynną organizuje tym razem moja kochana siostrzyczka? - zagadnął.
- Och, zapytaj, jakiej nie organizuje! Zastanawiam się, kiedy moje córki zdążyły obdarzyć mnie tuzinem wnuków. Angażują się wszędzie, gdzie tylko się da.
- Młody Mark już kończy szkołę, tak? - przypomniał sobie Rawls. Lubił te dzieciaki, tak jak i swoje siostry. Ba, tolerował nawet szwagrów. Nigdy jednak nie chciał należeć do ich dusznego, nudnego kręgu towarzyskiego. Zawsze miał wrażenie, że ciśnie go jak za mały kołnierzyk.
W nagłym porywie zniecierpliwienia wstał i po raz kolejny zaczął przemierzać pokój.
- Przestań się miotać jak tygrys w klatce, Rawls - mruknęła Rebecca. - Ten dywan przeżył już trzy pokolenia, ale ty wyraźnie skracasz jego żywot. Tak

źle się czujesz w tym domu, synu? Przecież wiesz, że jest również twój.
- Naprawdę, mamo? - zapytał ponuro Rawls. -Owszem, jestem twoim synem, ale nigdy nie pasowałem do twojego domu. Zresztą, nieważne. Od dziesięciu lat jestem na swoim. Moje miejsce jest w Atlancie i kto wie, może kiedyś zbuduję tam własny dom. Interesowałem się już nawet terenami w północnej części miasta, choć na razie tylko w celach inwestycyjnych.
- Synu, czy jest jakaś kobieta w twoim życiu?
Kobieta... Zabawne, że jego myśli pobiegły natychmiast ku drobnej, energicznej postaci, tak odmiennej od kobiet z jego rodziny.
- Nie, mamo, nikt ważny. A czy wspominałem ci, że w zeszłym miesiącu wybrałem się z Jane Markham na koncert?
- Córką Judy Markham? Ona nadal mieszka w Atlancie? - Rebecca pochyliła się ku niemu, a w niebieskich oczach pojawił się błysk zainteresowania.
- Tak, mieszka i niedługo zasiądzie za stołem sędziowskim. Będzie na pewno dwa razy lepszym prawnikiem niż jej ojciec.
Córka sędziego Markhama była jedną z pierwszych dziewczyn, z którymi swatała go matka. Na szczęście Jane miała inne plany życiowe. Widywał się z nią od czasu do czasu, tak jak z wieloma innymi kobietami w Atlancie. Oboje po trzydziestce, inteligentni i utalentowani, stanowili zgraną parę przyjaciół. Były też w jego życiu kobiety, które zadowalały się niezobowiązującym flirtem, nie wymagając od niego zaangażowania, co bardzo mu odpowiadało.

70

Dixie Browning

- Mamo, jutro wracam do Atlanty. Muszę osobiście przypilnować kilku spraw, zanim pojadę do Chattanoogi.
- Och, Rawls, tak szybko?
- Przykro mi, mamo, ale pod koniec tygodnia chcę przygotować ci raport, żebyś mogła go przedstawić radzie nadzorczej. Właśnie, gdyby ta wiecznie żująca gumę ruda z archiwum mogła wyciągnąć stare dokumenty, dotyczące własności zakładów, byłoby to bardzo pomocne.
- Nie rozumiem, w jakim celu, skoro i tak wszystko ma zostać zrównane z ziemią. A co ja powiem Marilyn?
- Powiedz jej... Och, do diabła, powiedz, co chcesz. Przykro mi, ale Marilyn jest dla mnie równie pociągająca, jak połeć boczku.

Rebecca wstała. Pomimo wieku miała szczupłą, dziewczęcą figurę i trzymała się prosto.

- Czy tego tylko wymagasz od kobiet? - spytała sucho. - Żeby były pociągające?
- W przypadku kobiety, która miałaby mi towarzyszyć na jednym z tych ciągnących się jak makaron przyjęć u Deanny i Willisa, jest to warunek absolutnie konieczny. Cóż, mamo, wybacz, ale nadal odpowiada mi rola czarnej owcy w rodzinie.

Rebecca przymknęła oczy, gdy całował ją na dobranoc. Szczupłą, starczą ręką o wyraźnie zaznaczonych żyłach pogładziła jego twardy podbródek.

- Mój Boże, Rawls, czasami żałuję, że... zresztą, nieważne, synu - westchnęła. - Pozdrów ode mnie Jane.

Rawls, nim ruszył na północ, spędził pracowite półtorej godziny w biurze. Jeśli będzie miał szczęście,

znajdzie się w Chattanoodze o dziesiątej wieczorem. Nie będzie chyba za późno, żeby zadzwonić do Bree?
Bree była zmęczona, ale zadowolona. Warto było narzucić sobie ostre tempo pracy przez cały tydzień. Ukończyła remont domu i załatwiła formalności w agencji wynajmu. Obroty w sklepie były niespodziewanie wysokie i nadrobiła z nawiązką straty po zamknięciu na czas inwentaryzacji.
A najbardziej cieszyło ją, że wreszcie przestała nerwowo wyczekiwać na dzwonek telefonu. Oczywiście, kiedy zadzwonił, tak spieszyła się, by odebrać, że omal nie połamała sobie nóg. Ale tylko odrobinę rozczarowała się, słysząc w słuchawce głos Billy Almondsa. Przyjechał odwiedzić matkę i był na zaimprowizowanym przyjęciu u swoich znajomych. Wyraźnie pragnął jej towarzystwa. Propozycja ucieszyła Bree. Miała już dosyć własnej, nudnej osoby.
- Przyjedziesz sama, czy narazisz mnie na utratę prawa jazdy? - spytał ze śmiechem.
Po przyjęciu postanowiła zaprosić Billa na małą kawę. Wypił trochę i wolała w takim stanie nie puszczać go do matki.
- Och, Billy, jaka szkoda, że się stąd wyprowadziłeś! - westchnęła skręcając w kolejną uliczkę, wiodącą do jej domu. - Wszyscy z naszej dawnej paczki już wyjechali. Gdybym nie miała sklepu, zwariowałabym z nudów. Zaczęłam już nawet mówić do siebie.
- Wcale się nie dziwię, bo fajnie się z tobą rozmawia.
- Dzięki za pocieszenie - mruknęła, hamując przed skrzyżowaniem. Czekając na zmianę świa-

teł kątem oka obserwowała znajomy, brodaty profil siedzącego obok towarzysza. Kiedy Billy miał około trzydziestki, Bree chodziła jeszcze do liceum. Anna spotkała go, gdy wykładała na letnich kursach w Arrowmont. Bardzo szybko stał się przyjacielem rodziny. Bree podejrzewała, że bardziej zainteresowany był matką niż nią. Zawsze jednak ją adorował, zwłaszcza, gdy wypił za dużo wina.

Anna, tak jak i jej córka, była drobna i jasnowłosa, ale na tym podobieństwo się kończyło. Matka była krucha i filigranowa, córka - szczupła i silna. Jedna była niepoprawną romantyczką, druga - osobą trzeźwą i praktyczną. Przez całe lata Bree obserwowała, jak Anna odrzuca propozycje kolejnych zalotników, którzy nieodmiennie zostawali jej serdecznymi przyjaciółmi. Aż do momentu choroby wyglądała zdumiewająco młodo.

Billy wyprowadził się z miasta w tydzień po pogrzebie Anny i dziś pojawił się tu po raz pierwszy od tamtego czasu.

- Jak długo zostaniesz w mieście? - zagadnęła.

- Przyjechałem na chwilę, żeby prosić starego o pożyczkę. Mam na oku pewną inwestycję, ale potrzebne są duże pieniądze. Rano wracam z powrotem. Chcesz się zabrać ze mną? - zaproponował z na wpół nieśmiałym, na wpół pożądliwym uśmiechem. Bree odmownie pokręciła głową, choć nie bez pewnego żalu. Billy, bez względu na to, kim mógł zostać w jej życiu, był dobrym i wypróbowanym przyjacielem - a w tym momencie bardzo potrzebowała bratniej duszy.

- O, masz chyba jakiegoś klienta - zauważył w kilka minut później, kiedy zatrzymywała furgonetkę. Bree starannie zaciągnęła ręczny hamulec i zie-

wając otworzyła drzwiczki. Dopiero teraz zauważyła, że obok stoi samochód. Doznała wstrząsu.
- Znasz go, czy mam wezwać gliny? - zapytał rzeczowo Bill.
- Tak, znam... nie wzywaj... Och, Bill, zostań jeszcze, dobrze? - mamrotała Bree, usiłując pokonać drżenie nóg.
Spotkali się w połowie drogi i stanęli, mierząc się wzrokiem z odległości pół metra. Rawls miał na sobie ten sam wełniany płaszcz, czarne spodnie i czarny golf. Wyglądał, jakby nie spał i nie golił się od tygodnia. Z trudem opanowała chęć rzucenia mu się w ramiona.
- Witaj, Brianno - powiedział cicho.
- Witaj, Rawls - szepnęła ze ściśniętym gardłem i włożywszy ręce w kieszenie płaszcza, desperacko obejrzała się przez ramię. - Billy? Chciałabym, żebyś poznał mojego...
Zająknęła się. Kogo? Przyjaciela? Kochanka?
- Billy Almonds - Rawls Smith - dokonała w końcu skróconej prezentacji. - Wpadniesz na filiżankę kawy?
- Chętnie - odpowiedział niskim, ciepłym głosem, który przejął ją drżeniem.
Rawls jednym spojrzeniem otaksował potężną sylwetkę brodatego drągala w dżinsach i przeniósł wzrok na drobną figurkę u jego boku. Czy po to gnał tu na złamanie karku, żeby zobaczyć ją w towarzystwie tej góry mięśni o wielkich czerwonych łapskach?
Miał nieprzepartą ochotę porwać Bree w ramiona i zabrać ją stąd. Przyjechał tu pod wpływem impulsu; nawet nie zarezerwował sobie miejsca w hotelu.

71

Dixie Browning

Marzł przez godzinę, tkwiąc pod jej sklepem i nie wiedząc nawet, kiedy się pojawi.

Sytuacja okazała się jeszcze bardziej niezręczna, niż podejrzewała Bree. Billy kręcił się po ciasnym saloniku, pytając o różne przedmioty, a Rawls po prostu stał i patrzył na nią, jak krząta się przy kuchence szykując kawę. Czuła jego palący wzrok na twarzy, rękach i ciele.

Zaklęła, ze zdenerwowania rozlawszy kawę na blat. Cholera, nie mógł wcześniej zadzwonić! Nie miał prawa tak jej zaskakiwać. Nie była nawet porządnie ubrana!

Rawls przyglądał się jej dżinsom, luźnemu swetrowi i krótkim, obramowanym futrem botkom.

- Znów bawiłaś się we włamanie? - zapytał z uśmiechem.

- Bawiłam się w wiele różnych rzeczy - rzuciła ze złością, sięgając wysoko po filiżanki i ignorując pełne zachwytu spojrzenie mężczyzny, podziwiającego jej figurę. Specjalnie utrudniała sobie dostęp do najpotrzebniejszych rzeczy, gdyż w pełnym zajęć dniu rzadko mogła pozwolić sobie na gimnastykę.

- Hej, Bree, kto zrobił ten drobiazg? Nie jest podpisany - zapytał Bill, podnosząc do góry polewaną miseczkę, wypełnioną suszonymi ziołami.

- Nowa garncarka w Pigeon Forge. Poznałam ją miesiąc temu, kiedy pojechałam do Gatlinburga odwiedzić Lindę. Jaką kawę pijesz?

- Bez śmietanki, cztery łyżeczki cukru. I nie chcę wysłuchiwać żadnych bajeczek na temat dbania o zęby. Muszę jakoś stanąć na nogi przed powrotem do domu.

Podała kawę. Rawls pił powoli i sprawiał wrażenie, jakby miał jej coś ważnego do powiedzenia i czekał

tylko, aż intruz sobie pójdzie. Bree miotała się po pokoju, to poprawiając jakiś drobiazg na ścianie, to zbierając stare gazety. Tchórzliwa część jej natury pragnęła schronić się za niedźwiedziowatą postacią przyjaciela, pozostała zaś marzyła, by jak najszybciej wypchnąć go za drzwi. Wreszcie Billy sam rozstrzygnął ten dylemat, szybko opróżniając swoją filiżankę i sięgając po kapelusz. Pożegnała go serdecznie, obiecała odwiedzić, po czym z ulgą zamknęła za nim drzwi i oparła się o framugę.

Pokój wypełniały tak dobrze jej znane, swojskie odgłosy trzaskania drew na kominku i głośnego cykania starego budzika. W ciszy, która nagle zapadła, nawet jej własny, nerwowy oddech wydawał się nienaturalnie głośny. Na próżno usiłowała go wyciszyć.

- Brakowało mi ciebie - powiedział Rawls głębokim, wibrującym głosem, który oszołomił ją jak narkotyk.

Popełniła błąd. Nie powinna patrzeć mu w oczy.

- Naprawdę? - spytała z drżeniem.

- Miałem zadzwonić, ale...

Przestań kłamać, upomniał się. Wcale nie miał zamiaru dzwonić. Miał zamiar uciąć ich znajomość -o ile ta ledwie odczuwalna świadomość porozumienia, która się między nimi narodziła, mogła być nazwana znajomością - i sprowadzić ją wyłącznie na płaszczyznę interesów. Bo jak, do licha, miałby się tłumaczyć matce? Że jest w Chattanoodze pewna kobieta, której prawie nie zna, a która uważa, że jest właścicielką jednego z domów przeznaczonych do zburzenia - on zaś chciałby, żeby naprawdę uzyskała prawo własności?

Nie ruszając się z miejsca, wpatrywał się w przepastne, szarozielone oczy. Zrobi to! Bóg mu świad-

kiem, zrobi, nawet jeśli matka miałaby pomyśleć, że stracił rozum. Ten dom nie może być wart więcej niż dwadzieścia tysięcy.
- Bree, ja... - zająknął się. Nie był w stanie wyznać jej prawdy. - Bree, czy mógłbym prosić jeszcze trochę kawy?
Napięcie, które przez moment narosło między nimi, ku jego ogromnej uldze nagle minęło. Szybko dopił kawę i wręczył jej filiżankę. Śledził, jak krząta się koło kuchenki. Pod luźnym, długim swetrem zaznaczały się krągłe biodra.
- Zawsze nosisz na sobie worki? - zagadnął ze śmiechem.
- Jestem okropnym zmarźluchem, a pod taką lejbę można włożyć jeszcze kilka bluzek - odparła, wręczając mu parującą filiżankę. - Zresztą to był pierwszy sweter, jaki robiłam i źle obliczyłam oczka.
Uważała, że sama nie jest warta oglądania, ale na tego mężczyznę mogłaby patrzeć godzinami. Ukradkiem przyjrzała się ciemnym włosom, zdecydowanej szczęce i pięknie wykrojonym ustom.
- Czy możemy wreszcie usiąść? - zapytał szorstko. - Strasznie zmarzłem na tym wygwizdowie, który nazywasz swoim parkingiem. Nawet nie zdążyłem zameldować się w hotelu.
Poprowadziła go do kanapy, zgarniając z niej po drodze książkę, którą czytała, kiedy zadzwonił Billy.
- Czemu masz pretensję do mnie? Skąd miałam wiedzieć, że się pojawisz? Nie odezwałeś się ani razu od czasu, kiedy...
Rawls odstawił filiżankę i przysunął się do niej.
- Wiem, Bree - powiedział napiętym głosem, gładząc ręką jej zmierzwione włosy. - Brianno... - Sło-

wa znów uwięzły mu w gardle. Bezradnie odwrócił głowę.
Nie. to nie jest w porządku. Ten facet na cały tydzień zapomina o jej istnieniu, by potem nagle pojawić się u jej progu i w dodatku z pretensjami! A ona... wystarczyło tylko, że go zobaczyła, że wyczuła smużkę tej ekscytującej woni wody po goleniu, a już całkiem straciła swój słynny zdrowy rozsądek.
- Przyjaciele mówią do mnie Bree - zaznaczyła z rezerwą.
- Zauważyłem - stwierdził, zerkając na nią ponuro. - Ten Almonds jest, zdaje się, całkiem zadomowiony u ciebie. Dlaczego nie skorzystałaś z jego zaproszenia i nie pojechałaś z nim?
- Nie mam zwyczaju wypraszać zmarzniętych gości - mruknęła. - Nawet tych nie zaproszonych.
- Jej dobry nastrój wyparował bez śladu. Po tygodniu nerwowego wyczekiwania na telefon nie umiała zdobyć się na miłe słówka.
- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał chłodno i Bree wpadła w panikę.
- Nie, nie, do licha!
Dobry Boże, czy za każdym razem, kiedy Rawls znajdował się o kilka centymetrów od niej, musiała robić z siebie idiotkę?
- Mam wrażenie, że przyszedłeś tu z jakiegoś powodu. Czy chodzi o dom? Czyżbyś zdążył załatwić już wszystko na swoją korzyść? - spytała zaczepnie.
Ciemne oczy mężczyzny zwęziły się w gniewie. A tak chciał dziś uniknąć tego tematu! Sprawa była delikatna i ciągle nie był pewien, jak zareaguje ta impulsywna dziewczyna.
- Chciałam ci powiedzieć, że właśnie skończyłam malowanie i poprawiłam podłogę - oznajmiła z ozy-

wieniem. - Dom jest już gotowy i zgłosiłam go do agencji. Tam zapytano mnie, czy upoważniłabym ich do sprzedaży i wstępnie wyraziłam zgodę.
Siedziała nieruchomo, uważnie mierząc go wzrokiem, jakby z obawą czekała na odpowiedź.
Rawls poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Bree wyraźnie prowokowała rozmowę, na którą absolutnie nie miał ochoty.
- Czy koniecznie musimy o tym rozmawiać dzisiaj? - jęknął.
Z podziwem musiał przyznać, że w tym drobnym ciele mieści się potężny ładunek niezależności, wymieszany w równych proporcjach z pełną uroku kobiecością. Ten koktail okazał się tak wspaniały, że miał ochotę natychmiast go posmakować. To tylko głupie szaleństwa hormonów, zganił się w myśli. Logika inżyniera ostrzegała go, że działa nieracjonalnie. Ta kobieta nie jest w jego typie, a poza tym prawie jej nie zna. Cóż z tego, kiedy pożądał jej bardziej niż jakiejkolwiek kobiety w swoim życiu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bree bez wahania pozwoliła wziąć się w ramiona. Nieważne stało się to, co ich dzieliło; pociąg fizyczny, który ich łączył, był nieodparty. Byli jak stal i magnes, jak krzesiwo i hubka.

Gorący dotyk jego warg rozpalił w niej nagły płomień. Żarliwa, niemal rozpaczliwa pasja, z jaką Rawls przyciągnął ją ku sobie, udzieliła się Bree. Ich uczucia w zdumiewający sposób dopełniały się, jak gdyby szukali siebie od dawna - i wreszcie znaleźli.

- Boże, jak ja tego chciałem - wyszeptał jej do ucha. Poczuła, że układają na kanapie i pochyla się nad nią. Nie padło już ani jedno słowo. Grad drobnych, czułych pocałunków, jakimi okrywał jej twarz, był aż nadto wymowny.

- Ile ty masz tego na sobie! - zaśmiał się nagle niskim, gardłowym śmiechem, błądząc dłońmi po jej ciele. Bezceremonialnie posadził ją z powrotem i szybko ściągnął z niej sweter. Podobny los spotkał bluzę.

- Czy to już ostatnia? - zapytał, dotarłszy do cienkiego podkoszulka.

Bree przełknęła ślinę, z trudnością wydobywając słowa ze ściśniętego gardła.

- Zależy, co zamierzasz. Możesz na tym poprzestać - wykrztusiła błagając w myślach, żeby jej nie posłuchał.

77
Dixie Browning
Rawls, patrząc jej prosto w oczy, powoli sięgnął do górnego guzika swojej czarnej flanelowej koszuli. Bree z drżeniem przymknęła oczy.
- Poczekaj, ja to zrobię - wyszeptała. - Proszę... Zażenowanie walczyło w niej z pożądaniem, kiedy niezgrabnymi palcami zaczęła rozpinać koszulę. Za każdym razem, kiedy muskała twarde włosy na jego piersi, zalewała ją fala ciepła. Narastał w niej także niepokój. Sama się pakuje w coś, czego będzie później żałować. I nie ma siły, by się temu przeciwstawić.
Ostatni guzik został odpięty i Bree wciągnęła oddech w tajonym zachwycie. Ciepły blask lampy podkreślał gładkość opalonej skóry. Powoli uniosła wzrok i wpatrzyła się w twarz Rawlsa. Wstrząsnęła nią głębia jego spojrzenia. Nozdrza zadrgały mu lekko, kiedy sięgał po ostatnią koszulkę Bree.
- Aach, jaka jesteś śliczna - wyszeptał ze szczerym zachwytem, kiedy odsłoniły się kształtne, drobne piersi, a miękkie, różowe brodawki pociemniały i stwardniały pod jego spojrzeniem.
- Nie jesteś rozczarowany? - zapytała, z niepokojem śledząc jego minę. Nigdy nie była tak boleśnie świadoma niedostatków własnej urody.
Gdzieś głęboko w jego podświadomości coś drgnęło, przez ułamek sekundy dręczyło go wahanie, a potem poczuł błogość.
- Czy jestem rozczarowany? - powtórzył łagodnie. - Skądże. Jak mógłbym mieć pretensję do fiołka, że nie jest różą, a do róży, że nie jest orchideą?
Pochylił się powoli i delikatnie ucałował sterczący czubeczek drobnej piersi. Bree patrzyła na pochyloną, ciemną głowę, wstrzymując oddech. Kiedy przejął ją drażniący dreszcz, westchnęła. Nie przerywając pieszczot, Rawls powoli kładł ją na kanapę.

- Znikną, kiedy się położę - wyjąkała ze wstydem. W odpowiedzi uniósł głowę i ujął w dłonie dwie zgrabne okrągłości.
- Ukryte zalety są tym bardziej cenne - powiedział z ciepłym uśmiechem, który wzruszył ją do głębi.
Zwolna opuścił ręce do talii i zgrabnych, opiętych dżinsami bioder. Sunąc wzdłuż ud dotarł do kolan i powoli wrócił w miejsce, które przedtem pominął. Bree śledziła jego rękę rozszerzonymi oczami i z jękiem zwarła uda.
- Jeszcze za dużo ubrania - mruknął, namaca-wszy suwak jej dżinsów.
- Poczekaj, Rawls - dyszała ciężko, jak po wyczerpującym biegu. - To dla mnie za szybko.
Ręka znieruchomiała i na chwilę spoczęła na rozpalonym trójkącie między jej udami.
- Za szybko? Dla mnie za wolno!
Uniosła głowę i spojrzała na niego niepewnie.
- Ja... nie jestem do tego przyzwyczajona - wyznała nieśmiało.
Puścił ją nagle i wyprostował się. Nerwowo przygryzła wargę i w ostatniej chwili powstrzymała się, by przytulić go do siebie.
- Co ty sobie wyobrażasz? - obruszył się. - Że podrywam cię na jedną noc? Na Boga, Bree, przecież powinnaś wiedzieć, że chodzi o coś więcej.
- Naprawdę? - Jej głos zdradzał zwątpienie. Ten człowiek nawet nie stara się udawać, że żywi do niej uczucia inne niż zwykłe pożądanie. - Rawls, przecież my się prawie nie znamy. Nie wiem, co się ze mną dzieje i to mnie przeraża - szepnęła, wzrokiem szukając u niego zrozumienia.
Spojrzał na nią w napięciu. Na opalonej twarzy lśniły kropelki potu.

- Bree, jeszcze będzie czas lepiej się poznać. Znarn świetny sposób - powiedział z zachęcającym uśmiechem.
- A, tak, domyślam się. Najpierw szybka gra w dwadzieścia pytań, a potem do łóżka, tak?
Rawls westchnął z rezygnacją.
- Posłuchaj, przez cały ten tydzień myślałem o tobie, wyobrażałem sobie, jak będziemy się kochać. Chyba wiesz, że cię nie skrzywdzę. - Ujął jej dłonie i gorąco uścisnął.
Słowa obietnicy długo dźwięczały jej w uszach. Tak bardzo chciała mu uwierzyć, ale czy mogła? Właściwie już została skrzywdzona, a to dopiero początek. Jednocześnie czuła, że przynajmniej w tej chwili Rawls mówi prawdę.
- Wiem, że nie zrobiłbyś tego, Rawls. A przynajmniej nie zrobiłbyś tego świadomie.
- Ach, zatem nieświadomie - parsknął krótkim śmiechem. - Cóż, dziękuję za zaufanie - stwierdził z przekąsem, nadal kurczowo ściskając jej dłonie w daremnym wysiłku zapanowania nad sobą.
Bree badała uważnym spojrzeniem jego twarz.
- Przykro mi, Rawls - wyszeptała.
- Tak, zapewne masz rację. Nie mam prawa składać takich obietnic - stwierdził odwracając głowę. Takiej obietnicy nie mógłby dotrzymać, mimo najlepszych chęci. Wystarczyło, by matka podjęła ostateczną decyzję o sprzedaży tych terenów, a nie miałby słowa do powiedzenia. Mało tego, sam musiałby oznajmić tej uroczej dziewczynie, że nie ma prawa wynająć domku, nie mówiąc już o jego sprzedaży. Co gorsza, nie mógłby jej nawet zapewnić, że odstąpi od ściągania zaległych czynszów.
Uśmiech na twarz, Smith, upomniał się w myśli.

Nie czas rozmawiać o interesach. Z wysiłkiem, starając się nie poddać narastającemu bólowi głowy, uśmiechnął się do zdenerwowanej Bree.
- Hej, chyba nie masz zamiaru się przeziębić? A może siedzisz tak bez koszulki, żeby pochwalić się swoim ślicznym ciałem, co?
Bree przygryzła wargę i wsparła głowę na jego ramieniu. Chciała się roześmiać, ale dźwięk, który wydobył się z jej ust, podejrzanie przypominał łkanie. Och, nie, dosyć tych fontann, pomyślała z niesmakiem. Czuła lekki dotyk rąk mężczyzny, okrywającego ją koszulą. Pozwalała się ubierać jak bierna, szmaciana lalka.
- No, teraz już lepiej - ocenił, odsuwając ją na odległość ramienia.
- Nie zapniesz mnie?
- Nie kuś losu - mruknął ostrzegawczo. Ani ból głowy, ani ponure myśli nie były w stanie stłumić pożądania. Nie mógł oderwać wzroku od krągłych, gładkich piersi, rysujących się pod rozpiętą koszulą i znów poczuł dręczące ssanie w dole brzucha.
Bree włożyła guzik w złą dziurkę.
- Na szczęście nie mam skłonności do zapalenia płuc - skomentowała, znów rozpinając koszulę.
- A może na wszelki wypadek zrobię ci okład z gorczycy? - zapytał.
- No tak! I masz nadzieję, że od bąbli będę miała większe piersi?
Rawls wybuchnął głośnym śmiechem i serdecznie ją przytulił.
- Widzisz, znów mnie skusiłaś - szepnął, pieszczotliwie całując krawędź jej ucha.
- Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać - zachichotała, przechylając głowę.

81
Dixie Browning
- Musimy porozmawiać. - Teraz dotknął językiem wnętrza delikatnej muszli i Bree gwałtownie drgnęła.
Łagodnie skłonił ją, by położyła się i oparła głowę na jego kolanach.
- Brianno, jest kilka rzeczy, o których powinnaś wiedzieć - zaczął, nakrywając ręką jej piersi. Z trudnością formułował zdania, walcząc z bólem głowy i przenikającym ciało, równie dojmującym bólem niespełnienia.
- Jest wiele rzeczy, których nie wiem, Rawls, ale na pewno... - nieposłuszne myśli Bree rozproszyły się nagle pod dotknięciem męskiej ręki, która znów uparcie sunęła po jej brzuchu ku suwakowi dżinsów. Kiedy palce zaczęły zręcznie go rozpinać, chwyciła Rawlsa za ręce obronnym gestem. W tym samym momencie nieświadomie rozsunęła uda, zdradzając swoje prawdziwe uczucia. - Przestań, nie mogę myśleć, kiedy to robisz - jęknęła.
- Czy myślisz, że mogę przestać?
Bree zacisnęła powieki, na próżno przywołując resztki rozsądku. Co się z nią dzieje? Nigdy nie zdarzyło jej się utracić nad sobą kontroli, nawet w decydujących momentach. A teraz nie jest nawet w stanie myśleć. Ogarnęło ją cudowne szaleństwo, działając z odurzającą siłą miłosnego napoju.
Poczuła, jak jego palce zacisnęły się na zapięciu dżinsów. Guzik odskoczył z lekkim trzaskiem.
- Skarbie, będzie cudownie, obiecuję - mówił Rawls urywanym szeptem. - Tak bardzo cię chcę, że nie mogę się już opanować. Przez cały tydzień myślałem o tobie.
Te słowa sprowadziły ją wreszcie na ziemię.
- Cały tydzień? - powtórzyła cicho.

Desperacko próbowała zignorować jego pieszczoty. Każde dotknięcie gorących palców, gładzących śliski materiał majteczek, przenikało ją odrętwiającą, mącącą myśli rozkoszą. Musi to wreszcie powiedzieć. Musi!
- Powinieneś zadzwonić... Och, Rawls, proszę, przestań!
Ręka posłusznie znieruchomiała, ale pozostała w miejscu. Leżąc na jego kolanach, Bree aż nazbyt dobrze czuła twardą wypukłość i walczyła z przejmującą tęsknotą.
- Powinienem, Bree, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo... - zaklął cicho. - Zrozum, to, co jest między nami, nie da się wyrazić w zwykłej telefonicznej rozmowie. Cóż mogliśmy sobie powiedzieć, kiedy jedno z nas było w Chattanoodze, a drugie w Memphis?
- Byłeś w Memphis? Nie wiedziałam... Pojechałeś tam dla przyjemności czy w interesach? - zapytała towarzyskim tonem, który jej samej wydał się sztuczny.
Palce Rawlsa drgnęły i powoli, z ociąganiem cofnęły się, by spocząć nieruchomo na jej biodrze. Czuła, jak jego ciało wiotczeje, a ramiona garbią się, jakby spadł na nie wielki ciężar.
- W interesach, Bree. Załatwiałem sprawy fabryki. Moja...
Miał już na końcu języka wyznanie, że jego matka jest właścicielką Zakładów Tekstylnych Partridge'a, wraz z domkami pracowniczymi, kiedy Bree nagle wyrwała się z jego ramion i sztywno usiadła na kanapie.
- A więc gnałeś tutaj, aby ostrzec swojego klienta, że może mieć kłopoty z pewną upartą właścicielką

domu, tak? - wycedziła, wykorzystując gniew, by zapanować nad zdradliwymi zmysłami.
- Nie, do licha, nie o to... - Rawls usiłował znów przyciągnąć ją do siebie, ale wywinęła mu się bez trudu.
Miał ją teraz przed sobą, gotową do ataku, z rękami zaciśniętymi w pięści, z zielonymi oczami płonącymi w bladej twarzy.
- No proszę, zaczynamy teraz przemawiać innym tonem, co? - wycedziła. - Taktyka uwiedzenia zawiodła, więc próbujesz mnie zastraszyć?
Rawls porwał się na równe nogi i stanął przed nią, zły i zawiedziony, że tak opacznie pojęła jego intencje. Niespełnione pożądanie nadało jego słowom okrutnej ostrości.
- Nie mogę się z tobą dogadać! - krzyknął, po czym desperacko przesunął ręką po włosach, usiłując się opanować. - Nie rozumiem... Ile razy zaczynamy rozmawiać o tym cholernym domu, ty...
- ... ja po prostu zaczynam mieć dosyć cwanych inżynierów, którzy usiłują zagarnąć moją własność! - przerwała mu z oburzeniem.
- Zostaw w spokoju inżynierów!
- A co, są bardziej święci od innych oszustów? -zakpiła bezlitośnie, nerwowo zaciągając suwak i na chybił trafił zapinając guziki koszuli.
- Tak się złożyło, że zamierzam podarować ci ten dom - wyznał z przymusem.
- Podarować mi? - teraz już jawnie z niego szydziła. - Coś takiego! On chce mi podarować mój własny dom. Bardzo interesujące.
Rawls porwał koszulę z podłogi, zaczął się ubierać równie nerwowo jak Bree. Nawet nie zapiął guzików.

- Czy możesz mi pokazać akt własności? - zapytał zimno.
Jego słowa wywołały jakieś niewyraźne, smutne wspomnienie, które Bree natychmiast odepchnęła.
- Nie będę pokazywać żadnych aktów własności - odparła zaczepnie. - To twój klient powinien tu przyjść i go pokazać.
- W porządku, moja panno, niech tak będzie!
- Nie nazywaj mnie panną!
- Och, nie bądź taka przewrażliwiona - sarknął, z roztargnieniem rozglądając się za płaszczem. - Jeśli zniesiesz moją obecność jeszcze przez minutę, zadzwonię do hotelu i dowiem się o pokój.
- Może przyjmą cię w miejskim areszcie - skrzywiła się, wskazując mu aparat, a sama zabrała się za układanie rozrzuconych ozdobnych poduszeczek. Musi wytrzymać jeszcze tę minutę - ale jeśli nie będzie chciał wyjść, urządzi mu prawdziwą bitwę na poduszki.
A jednak, idąc do kuchni z pustymi filiżankami, nie mogła się powstrzymać od zerknięcia na jego pochyloną głowę i zgarbione, szerokie ramiona. Rozmawiając z recepcjonistą hotelu z roztargnieniem przeczesywał włosy. Bree nabrała nagle nierozsądnej chęci pogłaskania tej ciemnej głowy i przytulenia jej, tak by pionowa zmarszczka pomiędzy ciemnymi brwiami wygładziła się wreszcie.
- Załatwione? - zapytała, siląc się na obojętny ton.
- Tak, bez problemu. Słuchaj, czy masz może aspirynę?
- Boli cię głowa? - Bree poczuła, że głos jej łagodnieje.

- Tak, trochę. Można wytrzymać, ale wolałbym coś wziąć.
Szybko wrzuciła musujące tabletki do szklanki.
- Mogę ci pomasować skronie - zaproponowała troskliwie, przypominając sobie, jak skutecznie robiła to kiedyś Anna.
- O, nie, dziękuję - zaśmiał się drwiąco, idąc do drzwi. - Dbam o swój skalp i nie chciałbym go stracić. Wolę już cierpieć.
Bree odprowadziła go do progu, zagryzając wargi, by nie zdradzić wściekłości. Kiedy wyszedł, oparła się o framugę i bezsilnie zacisnęła pięści. Drań, drań, powtarzała. A niech go piekło pochłonie! Kolana ugięły się pod nią i powoli osunęła się na podłogę, ale nie mogła płakać. Po prostu nie mogła! Widać wyczerpała już limit łez. Wstrząsały nią tylko suche, dręczące spazmy. Upłynęła godzina, ale Bree nie mogła zasnąć. Spoglądała w okno, gdzie prąd powietrza obracał wiszący mobil, zrobiony z błyszczących cieniutkich blaszek. Od czasu do czasu światła przejeżdżającego samochodu odbijały się w drżącym metalu, rozsiewając migotliwe błyski na ścianach i suficie. Dlaczego była taka głupia i nieopanowana? Już przy pierwszym spotkaniu, choć od razu czuła, że ten człowiek mógłby zmienić jej życie, zachowywała się tak, jakby wstąpił w nią diabeł! Właściwie wszystko popsuła, a przecież zawsze chlubiła się opanowaniem i rozsądkiem.
Anna była marzycielką, wrażliwą istotą, wpatrzoną pięknymi, krótkowzrocznymi oczami w dalekie, nieziemskie horyzonty, nie dostrzegającą takich drobiazgów jak nie zapłacone podatki, niemili sąsiedzi

czy cieknący dach. Bree, odkąd tylko sięgała pamięcią, musiała radzić sobie z tym, co ignorowała matka - czyli z całą praktyczną stroną ich wspólnego bytowania. Nie odziedziczyła po Annie artystycznego talentu. W rzadkich chwilach, kiedy pozwalała sobie na refleksję o ojcu, którego nigdy nie widziała, chętnie pocieszała się myślą, że jemu zawdzięcza przynajmniej talent do interesów. W każdym razie dobrze się stało, że choć jedna z nich była osobą rozsądną i trzeźwo myślącą. Gdyby Bree nie postawiła codziennie przed matką talerza, Anna byłaby w stanie zapomnieć nawet o jedzeniu.

Właśnie, pomyślała gorzko Bree, i cóż mi przyszło z tej praktyczności? Zgłupiałam na sam widok przystojnej męskiej twarzy! Wystarczyło, by Rawls mnie dotknął, a już zmysły nie dają mi spokoju. Doprawdy, jest się czym chwalić!

Westchnęła ciężko i przekręciła się na brzuch, wtulając policzek w poduszkę. Jakie by to było miłe i proste, gdyby nawiązali normalną, nie zobowiązującą znajomość, nie obciążoną koszmarnymi nieporozumieniami na temat domu - która może kiedyś, gdyby poznali się lepiej, mogłaby przerodzić się w coś więcej niż flirt...?

Stanowczo musi odszukać papiery, dotyczące domu. Być może są w pudłach z rzeczami matki, których jeszcze nie przejrzała. Mogły być tylko tam, gdyż nigdy nie trzymały niczego w bankowym depozycie.

Ale na razie musi zasnąć. Bez względu na Rawlsa życie toczy się dalej, a rachunki przychodzą z bezlitosną regularnością. Jeśli nie zdoła ściągnąć więcej klientów, za kilka miesięcy może znaleźć się na lodzie. Najważniejsze, by zdobyć pieniądze na reklamę,

pomyślała sennie. Trzeba lepiej wyeksponować atrakcyjne gobeliny Lindy i te ręcznie dziergane suknie. A potem trzeba...
Pomysł, który zaczął się wykluwać przed zaśnięciem, powrócił rano wraz z ostrym dzwonkiem budzika. Wstając z łóżka, Bree miała już gotowy plan. Dziwne, że nie wpadła na to wcześniej. Oczywiście, prawdziwe manekiny kosztują majątek, więc będzie musiała improwizować. Do tego jednak miała wrodzony talent. Naczynia i ozdóbki są ładne, ale naprawdę oko kobiety jest w stanie przyciągnąć wyłącznie ciekawy i modny ciuch.
Otworzyła sklep, opanowana potrzebą nowego działania. Ze składziku, w którym Ebben zgromadził kiedyś pozostałości po mieszczącym się tu sklepie z częściami samochodowymi, wygrzebała kilka łańcuchów. Sklep metalowy w sąsiedztwie dostarczył jej odpowiedniego drutu. Z domu przyniosła haki i narzędzia.
Przez cały ranek, tak jak przewidywała, nikt się nie pojawił. Po raz pierwszy była zadowolona, że nie ma klientów. Do południa obie jej artystyczne wizje były gotowe. Z grubsza przypominały ażurowe manekiny. Konstrukcje miały zwieszać się na łańcuchach, które same w sobie były niezbyt dekoracyjne, ale całość, odpowiednio udrapowana i podmalo-wana farbą, mogła wyglądać bardzo ciekawie. Zadowolona z siebie Bree ustawiła drabinę przy szybie wystawowej, wetknęła w zęby gwoździe i haki, w zasięgu ręki położyła młotek oraz śrubokręt i przystąpiła do najważniejszego etapu roboty. Należało wbić haki i z pomocą łańcuchów podwiesić na nich manekiny.

Kiedy kończyła wkręcać hak, zerknęła na ulicę -i omal nie spadła z drabiny. Po drugiej stronie szyby stał Rawls i zmarszczywszy brwi przyglądał się jej uważnie.
Powiedział coś, czego nie usłyszała. Szybko odwróciła wzrok. Czy przyszedł tu specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak na jego oczach skręca kark?
Tym razem niecierpliwie zabębnił palcami w szybę. Bree wypuściła śrubokręt.
- Idź sobie do diabła! - krzyknęła, ilustrując słowa wymownym gestem. Całą wściekłość wyładowała na uderzeniu młotkiem w oporny hak, który nie chciał się wkręcić, i zaklęła dosadnie, gdyż uderzyła się w palec.
Głęboko oddychając, by nie pokazać bólu, odrzuciła z twarzy niesforny kosmyk i pomacała hak sprawdzając, czy dobrze trzyma. Wyglądało na to, że siedzi mocno. Wobec tego, ignorując swojego jedynego widza, chwyciła koniec łańcucha, zaczepiła go o hak i z wysiłkiem wciągnęła rozhuśtanego manekina, który wreszcie zawisł w oknie wystawowym.
Uśmiechając się z ponurą satysfakcją, zaczęła schodzić z drabiny. Połowę roboty ma z głowy. Wystawa zaczyna wreszcie wyglądać interesująco.
- Czy mogłabyś mi powiedzieć, co ci znowu strzeliło do głowy? - usłyszała gniewny głos i trzask zamykanych drzwi. Rozmyślnie powoli zeszła z drabiny i poskładała narzędzia, delektując się niecierpliwą miną Rawlsa.
- Czy potrzebujesz czegoś? - zapytała wreszcie słodkim tonem. - Jak widzisz, jestem teraz zajęta, ale...
- Jesteś... - Rawls opanował się w porę, wiedząc, że złością nic nie wskóra. - Bree, muszę z tobą po-

rozmawiać - zaczął znowu, tym razem spokojniej. -Czy mogłabyś sobie zrobić małą przerwę i posłuchać, co mam ci do powiedzenia?
Zerknęła z wahaniem na nie dokończoną dekorację wystawy.
- Nie mogę tego zostawić. A nuż trafi się jakiś klient i nie daj Boże pomyśli, że przekwalifikowałam się na sklep metalowy?
- Zapomnij choć raz o swoim cholernym handlu, dobrze? Sprawa jest poważna!
Zielone oczy Bree zapłonęły oburzeniem.
- Ten cholerny handel, jak to nazywasz, pozwala mi przeżyć na razowym chlebie i fasoli! - wybuchnę-ła. - Nie wszyscy urodzili się tak jak ty, ze srebrną łyżeczką w buzi. Niektórzy musieli się zadowolić plastykowym widelcem!
Zacisnął zęby, biorąc jej słowa za przytyk do rodzinnych sreber. Jakże chętnie zaprzeczyłby temu wszystkiemu i opowiedział, jak w pocie czoła zarabiał każdego centa - ale kłamstwo nie chciało mu przejść przez gardło. Choć wcześnie wszedł w konflikt z ojcem, tak naprawdę nigdy nie musiał się martwić o pieniądze. Wszystkie drzwi stawały przed nim otworem, nim zdążył wypowiedzieć swoje nazwisko.
- Bree, przepraszam. Jeśli poczekam spokojnie, aż skończysz i nie powiem ani słowa, zgodzisz się na kilka chwil rozmowy?
Przytaknęła, nieco udobruchana. Jej organizm źle znosił złość. Jeśli tak dalej pójdzie, dostanie zawału jeszcze przed ukończeniem trzydziestki.
- Zdejmij kilim z tego stołka i usiądź sobie - niedbałym gestem wskazała mu kąt sklepu, po czym wróciła do przerwanej pracy.
Przez cały czas czuła, że Rawls obserwuje każdy

jej ruch. Starannie rozstawiła drabinę, a obok na wysokim stołku umieściła drugiego manekina. Dzięki Bogu, że za łukowatym oknem wystawy sufit był wyłożony drewnem. Znacznie ułatwiało to pracę, gdyż tym razem musiała wbijać hak pionowo nad głową. W skupieniu robiła małą dziurkę gwoździem, kiedy Rawls niespodziewanie złamał umowę.
- Czy nie byłoby łatwiej użyć do tego wiertarki? - zagadnął rzeczowo.
- Byłoby łatwiej, ale nie mam wiertarki - odpowiedziała, nie przerywając pracy.
- Aha - mruknął.
Zaczęła wkręcać hak w przygotowaną dziurę, a kiedy upewniła się, że dobrze siedzi, uważnie przewlekła przezeń łańcuch. Po chwili drugi manekin kołysząc się zawisł pod sufitem. Bree zeszła z drabiny i odstąpiła do tyłu, z zachwytem patrząc na swoje dzieło. Na razie wystawa wyglądała dość oryginalnie, ale za chwilę wszystko miało się zmienić.
- Skończyłaś? - zapytał Rawls z nadzieją.
- Skąd, to dopiero początek!
- A możesz mi powiedzieć, co włożysz do tych drucianych klatek?
- Nie do nich, tylko na nie - wyjaśniła cierpliwie. - Przecież widzisz chyba, że to manekiny? Mają biusty, talie, biodra, wszystko jak trzeba. -Z czułością pogładziła kołyszącą się ażurową konstrukcję.
Z miejsca, w którym stał Rawls, dobiegł ją dziwny odgłos. Odwróciła się ze śmiechem.
- A co, myślałeś, że to artystyczne klatki na ptaki?
- Ciekawe w takim razie, kto służył ci za model - powiedział, podchodząc do wystawy i pieszczotli

wym gestem wodząc po zaokrąglonych kształtach cienkiej w talii postaci, przypominającej klepsydrę. - Lepiej nie dokarmiaj ich homarami.
Bree dostała nagłego ataku śmiechu. Łzy popłynęły jej po policzkach i opamiętała się dopiero po dłuższej chwili.
- Uważasz, że są za tłuste? - wyjąkała wreszcie. -W takim razie się nie znasz. Te luźne, tkane ręcznie kaftany i suknie potrzebują obfitych kształtów pod spodem, by można je było dobrze wyeksponować. Powieszone po prostu na wieszaku wyglądają jak nieciekawe chałaty.
- Ty chyba masz obsesję tych okrągłych kształtów, a zwłaszcza biustu. Może to kompleks matki? - stwierdził odkrywczo, by w tej samej chwili, widząc cień smutku na jej twarzy, gorzko pożałować własnej niezręczności. - Bree, wybacz mi, nie powinienem tak mówić - tłumaczył się zawstydzony.
- Rawls, nie musisz przepraszać, naprawdę - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. Bardziej przejęła się jego zmieszaniem niż słowami.
- Przecież nie tak trudno się domyślić, że niedawno straciłaś matkę.
- Siedem miesięcy temu, Rawls. Ale... już doszłam do siebie - zapewniła skwapliwie.
- Tylko że teraz wszystko wróciło z powodu mojej głupiej uwagi.
- Rawls, proszę, nie ma o czym mówić. - Bree w nieświadomym geście pocieszenia ścisnęła go za ramię. Natychmiast poczuła na ręce jego ciepłą dłoń.
- Posłuchaj, a może byśmy coś zjedli? - zaproponowała. - Umieram z głodu. Te dziewczyny zajęły mi całe przedpołudnie.

- Świetnie, a dokąd pójdziemy? - ochoczo przyjął pokojową propozycję, po raz kolejny podziwiając zdumiewającą łatwość, z jaką ta dziewczyna potrafiła przechodzić z jednej skrajnej emocji do drugiej.
- Nie mogę teraz wyjść, Rawls. Zamykam dopiero o piątej. Mogę poczęstować cię na miejscu zupą z czarnej fasoli. Co ty na to?
Bree, co ty wyprawiasz, pomyślała ze zgrozą. Nie lepiej od razu skoczyć z tarasu Góry Widokowej? Jeśli masz zamiar zrujnować swoje życie, ten sposób będzie lepszy!
- Dobrze, jeśli wystarczy na dwoje. Powinienem jednak uzupełnić twoje zapasy pożywienia. Ostatnio za często cię objadam - stwierdził.
Bree najeżyła się, wietrząc w jego słowach aluzję do marnego stanu swoich finansów, nie pozwalających na wyżywienie mężczyzny.
- Dziękuję, ale nie potrzebuję twojego wsparcia -oświadczyła urażonym tonem.
Rawls oniemiał, a potem chwycił ją w ramiona
i obrócił twarzą ku sobie.
- Brianno, popatrz na mnie. No, popatrz, nie odwracaj głowy. Naprawdę poczułaś się urażona? Ty chyba wylęgłaś się z jaja jeżozwierza, taka jesteś kolczasta!
Znów wystarczyła chwila, by zawojował ją swoim urokiem.
- Jajo jeżozwierza? - zachichotała. - W twojej edukacji nie było chyba zbyt wiele miejsca na zoologię, prawda?
Błysk rozbawienia pojawił się w ciemnych oczach.
- Nie, ale nadrabiam to pracowicie. Zapisałem się właśnie na studia podyplomowe. Chcesz mi pomagać w laboratorium?

93

Dixie Browning

- Czy ja wyglądam jak świnka morska?

Rawls rozmarzonym spojrzeniem ogarnął jej miękkie, falujące włosy i wesołe oczy.

- Wiesz, że trochę tak - stwierdził z rozbrajającą szczerością. - Kiedy byłem dzieckiem, miałem taką długowłosą świnkę. Co prawda Lucy miała trochę ciemniejsze włosy niż ty, no i nieco inne zęby, ale poza tym podobieństwo wydaje mi się uderzające. Byłem zrozpaczony, kiedy Andrews się jej pozbył.

- Straszne. Co to za brutal, ten Andrews?

- Andrews jest... moim kuzynem - skłamał szybko Rawls.

- Hmm, musiał być okropnie rozpuszczonym bachorem. Na twoim miejscu odcięłabym tę gałąź z drzewa rodowego. Dlaczego nie walczyłeś o Lucy?

- Nic nie wiedziałem, byłem w tym czasie na obozie skautów. Andrews przysięgał, że trafiła w dobre ręce, ale nie chciał powiedzieć, gdzie ją oddał. Może zresztą tak było lepiej dla biednej starej Lucy. Nabrała ogromnego apetytu na meble, a nie wiem, ile wytrzymałaby na diecie z orzecha i mahoniu.

- O, gdyby to było czyste drewno, na pewno długo. Ale rozumiem, że chodzi ci o tak niestrawne dodatki jak politura czy woski, którymi konserwuje się antyki, tak? Biedna świnka! A skoro już mówimy o zwierzątkach, to pomóż mi wymyśleć ładne imiona dla moich dziewczyn.

- Dobrze, sprzedam ci dwa piękne imiona w zamian za wspólną wycieczkę na Górę Widokową.

- A po co mam się tam z tobą wdrapywać? - Bree zamieszała zupę i wyjęła dwie czarki.

- Jak to po co? Ktoś musi zawiadomić ratowników, Jeżeli spadnę w przepaść.

Żartobliwe przekomarzanie się z Rawlsem rozbroiło Bree do reszty. Ze zdumieniem stwierdziła, że bez żadnych oporów przystała na wspólną wyprawę po zamknięciu sklepu.
- Dobrze, ale najpierw imiona - zdobyła się na jedyny warunek. - Po jedzeniu muszę ubrać moje modelki, a kiedy je wystroję, nie będę już mogła tak po prostu mówić do nich per „ty".

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zielone kępy bukszpanów odcinały się na tle pogodnego lutowego nieba. Bree układała i odkurzała książki. Szkolny autobus zahamował na przystanku przed sklepem. Nagle uświadomiła sobie, że zapomniała o lunchu.

Pracowała z takim zapamiętaniem, że nie zdążyła nawet wstawić na wystawę nowej sukienki, na miejsce beżowej, którą sprzedała wczoraj tuż przed zamknięciem. Szybko pobiegła do kuchni, wypiła szklankę ukochanej maślanki, po czym zabrała się za ubieranie manekina. Tym razem stroiła go w suknię z miękkiej różowawej wełny z szerokimi, marszczonymi rękawami i dużym dekoltem, ostatnią, którą miała na składzie. Po namyśle dodała jeszcze swoją apaszkę koloru fuksji i kilka sznurów koralików w fioletowo-pomarańczowym odcieniu. Ostatnio tak zaprzątała ją myśl o zorganizowaniu na zapleczu przebieralni, że zaniedbała dekorację wystawy.

- No, panno Dollie, zaczęłaś zarabiać na siebie -z zadowoleniem klepnęła manekin po okrągłej pupie, aż okręcił się wokół osi. - Dwie sprzedane sukienki i poncho to piękny rezultat. A ty, Mae, mogłabyś się lepiej starać.

- Znów mówisz do siebie, Bree? O, jaka piękna różowa kiecka! Masz mój rozmiar?

***Nazwij mnie jak chcesz* 99**

Na dworze było dziwnie ciepło, toteż Bree nie zamykała drzwi. Kiedy odwróciła się, by powitać gościa, ujrzała w progu przystojną kobietę.

- Właśnie przemawiałam do Dollie i Mae. Na Dollie żaden ciuch nie utrzyma się długo. Dawno cię nie widziałam, Celio. Skąd ta wspaniała opalenizna?

Celia Wilcox wyciągnęła rękę, by pogładzić miękki materiał. Przez dłuższą chwilę obracała manekin, oglądając sukienkę w jasnym świetle, wpadającym przez wysokie wystawowe okno.

- Byliśmy na Bermudach - wyjaśniła. - W tym kolorze nie będę chyba wyglądać blado, kiedy już zejdzie mi opalenizna, co? A jaki to rozmiar?

Bree, zachwycona perspektywą dwóch korzystnych sprzedaży w jednym tygodniu, szybko ogołociła Dolly z pracowicie udrapowanego stroju.

- Rozmiar nie ma znaczenia przy takich luźnych sukienkach. Wszystkie mają tylko dwie wielkości -małą i średnią. Ta jest właśnie mała. Niedługo będzie przymierzalnia, ale na razie zapraszam cię do mojej sypialni.

Skoro interes szedł tak dobrze, należało szybko jechać do Gatlinburga po następną partię. Te piękne sukienki robiły dla niej mieszkające tam dwie plastyczki. Instynkt nie zawiódł Bree - nowa wystawa okazała się sukcesem.

Celia była jeszcze w sypialni, kiedy do butiku wpadła żona właściciela sklepu z narzędziami. Kupiła dwie książki kucharskie z regionalnymi przepisami i parę świeczników z drzewa sasafrasu.

- Nie nadążam z kupowaniem prezentów - poskarżyła się. - Dwa śluby w jednym tygodniu! Widać, że zbliża się wiosna. Dzięki, Bree.

- Aż dwieście dolarów? - jęknęła Celia, wychodząc z sypialni i z niedowierzaniem spoglądając na metkę. - Słona cena jak za taką prostą rzecz.
- Wełna pochodzi z hodowanych przez tkaczkę owiec. Jest ręcznie przędziona, farbowana i tkana -wyjaśniła Bree. - Wykończenie jest też bardzo staranne, a fason właściwie ponadczasowy. Taką suknię kupuje się na lata.
- No, owszem, ale aż dwieście dolarów? Dzięki mnie masz takie obroty i jeszcze chcesz zdzierać ze mnie skórę?
Znów te aż nadto znajome aluzje! Bree zacisnęła usta i uzbroiła się w cierpliwość.
- Celio, dobrze wiesz, że w Gatlinburgu za taką samą rzecz zapłaciłabyś co najmniej dwa razy tyle. I tak więc zyskujesz, a ja sprzedaję już na granicy opłacalności. Jeśli jeszcze trochę obniżę ceny, umrę z głodu tu, z dala od uczęszczanych szlaków.
- Nie musisz mi o tym mówić, kochana - skrzywiła się kpiąco Celia. - Gdyby nie ja i moje przyjaciółki, zwinęłabyś ten interes już po pierwszym roku. Czy tak traktuje się starą, dobrą klientkę?
Bree z trudem powstrzymała się, by nie przypomnieć żonie właściciela, że nim urządziła tu swój artystyczny sklepik, budynek stał nie wykorzystany przez siedem lat, czynsz zaś, jaki płaciła, wystarczył na opłacenie pobytu na Bermudach.
- Zawarłam umowę z dostawcami, że nie będę obniżała cen bez ich pisemnej zgody - oświadczyła.
- Och, z tych kilku dolarów nie musisz im się spowiadać. A zresztą możemy zrobić inaczej. Masz przecież prawo kupować towary po cenie hurtowej dla siebie i rodziny, prawda?

Niestety, ta okropna baba miała rację. Trudno było zaprzeczyć, choć Bree nigdy nie korzystała ze swojego przywileju i nie wybierała prezentów z tego, co miała na składzie. Jej dostawcy nie byli obcymi ludźmi, lecz przyjaciółmi albo co najmniej dobrymi znajomymi, toteż uważała taką sytuację za krępującą. Wiedziała jednak, że musi ulec i ustanowić niebezpieczny precedens.
- Mogę ci ją sprzedać za sto sześćdziesiąt. Celio - powiedziała z rezygnacją.
- Rozumiem, że w cenę wliczona jest apaszka i koraliki? Mam nadzieję, że farba nie zejdzie z nich zbyt szybko.
Kiedy w chwilę później sportowy mercedes Celii odjechał z rykiem silnika, Bree była na siebie wściekła. Pięknie, mruknęła. Jeśli tak dalej pójdzie, przynajmniej splajtujesz w wielkim stylu, kochana!
Szybko podsumowała straty. Oprócz koralików i marży podarowała jeszcze tej babie własną apaszkę. Prawie sześćdziesiąt dolarów!
Odwróciła tabliczkę na drzwiach na stronę z napisem „zamknięte", zgasiła światła i wycofała się do mieszkania. Była tak wzburzona, że potrzebowała chwili, by ochłonąć.
Rawls miał przyjść o siódmej. Jeśli do tego czasu nie zdoła wprawić się w lepszy humor, ich spotkanie może zakończyć się trzaśnięciem drzwiami. Była zmęczona, zdenerwowana i trudno było jej wykrzesać z siebie choć odrobinę radości. A Rawls nie mógł wiedzieć, jak się natrudziła, by zebrać materiały do nowej wystawy, którą niedawno wymyśliła. Nie mógł też wiedzieć, że właściciel lokalu jednym tchem wymienił wczoraj jej rosnące obroty i swoje rosnące ko-

szty. Uczynił to jakby mimochodem, ale Bree dobrze wiedziała, że lada chwila czeka ją niemiła niespodzianka.
I jakby jeszcze tego było mało, ostatnim klientem była dziś Celia, której pozwoliła się tak wykorzystać!
Dalszy ciąg tych niewesołych rozmyślań Bree kontynuowała w wannie, popijając wino domowej roboty i próbując spokojnie przemyśleć swoje postępowanie. Nie, nie uczyniła wspaniałomyślnego wyjątku dla Celii - po prostu nie miała innego wyjścia. Jednocześnie strata każdego dolara była dotkliwa, gdyż rachunki za ogrzewanie były tak wysokie, że niewiele dało się odłożyć na, jak to nazywała, fundusz reklamowy. W rzeczywistości Celię stać było na zapłacenie pełnej sumy. Ona i jej przyjaciółki miały pieniądze i mnóstwo czasu na ich wydawanie.
Co gorsza, zaczynała ponuro przewidywać, że znajomi Celii pójdą za jej przykładem i poczują się klientami na specjalnych prawach. Żona Ebbena uwielbiała bowiem przechwalać się zniżkami, jakie uzyskiwała u sprzedawców w okolicy.
Trudno, trzeba będzie wreszcie wypowiedzieć otwartą wojnę tym zakusom. Anna była skłonna rozdawać swoje dzieła za pół darmo i nigdy nie dbała o pieniądze. Bree od najmłodszych lat uczyła się jednak, jak być twardą. Czasami zastanawiała się, jakim cudem matka utrzymywała dom, kiedy ona sama była jeszcze zbyt mała, by przejąć rodzinne finanse. Kiedyś zadała to pytanie doktorowi Kaganowi, który od niepamiętnych lat był przyjacielem domu.
- Twoja matka była silniejsza, niż by się zdawało.

Czy wiesz, Brianno, że po twoim urodzeniu pracowała u mnie jako rejestratorka? Poczekalnia pełna zdenerwowanych, cierpiących pacjentów nie jest najspokojniejszym miejscem na świecie, ale Anna miała nieprawdopodobny dar radzenia sobie z ludźmi, nawet w najbardziej konfliktowych sytuacjach.
- Mama pracowała u pana? W ogóle tego nie pamiętam.
- Byłaś mała, a moja żona, Rosa, rozpieszczała cię niesłychanie. Przez kilka lat nie schodziłaś jej z kolan, aż Anna stwierdziła wreszcie, że ukochane tkanie da się pogodzić z wychowaniem dziecka i rzuciła pracę.
Wysoki, zgarbiony starszy pan uśmiechnął się do swoich wspomnień.
- Taak, cicha, nieśmiała Anna... Niepoprawna ro-mantyczka, bezradna jak dziecko, potrzebująca ciepła i opieki. Całe szczęście, że okazałaś się skrojona z innego materiału. Byłaś jej największą radością, dziewczyno. Polegała na tobie, a ty nigdy nie odmówiłaś jej opieki.
Ale był ktoś, kto ją odepchnął, pomyślała Bree, lecz nie powiedziała tego. Jakkolwiek Franklin Kagan nigdy nie wspominał o jej ojcu, domyślała się, że coś o nim wie. Rozpaczliwie pragnęła go o to spytać, lecz duma równie desperacko nakazywała jej milczeć. Skoro ojciec się jej wyrzekł, nie chciała go znać.
Zwolna sączyła słodkie wino, ze wzruszeniem przypominając sobie, jak wiele dobrego doświadczyła od tego człowieka, który odebrał ją przy porodzie, leczył ze wszystkich dziecięcych chorób, a później pocieszał w najgorszej rozpaczy. Doktor Kagan miał w domu największą kolekcję ręcznie robionych sza-

lików, których nigdy nie nosił, ale nigdy też nie wziął grosza za swoje porady. Zaś na pogrzebie Anny nie krył łez.
Bree pomyślała, że dobrze byłoby odwiedzić starego doktora i jego żonę Rosę, kiedy tylko wrócą z podróży na Alaskę, którą doktor rozpoczął zasłużony żywot emeryta. Nagle poczuła potrzebę powrotu do korzeni.
Teraz jednak nie było czasu na wspomnienia. Siedząc w wodzie uniosła ramiona i wykonała kilka ćwiczeń oddechowych. Na koniec nabrała powietrza i zanurzyła się z głową, wydmuchując chmurę bąbelków. Wynurzywszy się, dopiła resztę wina - i dopiero po tym poczuła się odprężona.
Rawls, mruknęła, leniwie przerzucając nogę przez krawędź wanny i zataczając koła stopą. Imię miało arystokratyczne brzmienie i nawet pospolite nazwisko Smith nie zdołało go zatrzeć. Stanowczo powinna opowiedzieć Rawlsowi swoją dziecięcą teorię o celtyckim dziedzictwie. Jako dziecko fantazjowała na temat swojego pochodzenia, wymyślając niezliczone historie. Nieraz pytała matkę, skąd wzięło się jej rzadkie imię, lecz Anna zbywała ją zdawkowymi odpowiedziami. Wreszcie mała Bree uznała, że imię Brianna jest podobne do imion celtyckich. Resztę rodowej historii dopisała już jej własna fantazja.
Nie widziała Rawlsa od czasu wyprawy na Górę Widokową. Z rozbawieniem wspominała tę eskapadę. Kiedy tylko zobaczył stromo pnącą się w górę szosę, natychmiast zapragnął dotrzeć do szczytu, gardząc takimi turystycznymi atrakcjami, jak Rock City czy Ruby Falls1. Wolał wrzucić monetę do te-

---

City - Skaliste Miasteczko; Ruby Falls - Rubinowy Wodospad.

leskopu, by podziwiać zachód słońca nad Chatta-noogą.
- Umieram z zimna - jęknęła wtedy szczękając zębami i z przerażeniem patrzyła, jak Rawls, zachwycony widokiem, wyjmuje kolejną monetę. Zimny wiatr, który nadciągnął z północy, wymiótł z tarasu widokowego nawet najbardziej zapalonych turystów.
- A ja umieram z głodu - odparł głębokim głosem, który zawibrował w jej ciele. Jeszcze teraz, siedząc w gorącej kąpieli, czuła ciepło jego oddechu na policzkach, kiedy ją przytulił.
Udając wystraszoną, wyrwała mu się z objęć i pędem zbiegła w dół. Dogonił ją dopiero przy samochodzie. Stali dysząc i patrząc sobie w oczy, a ich oddechy tworzyły obłoczki pary w krystalicznie czystym powietrzu. Niecierpliwy błysk w jego oczach uświadomił Bree, że Rawls przejrzał jej taktykę wycofywania się, lecz tym razem powstrzyma się od działań.
Kiedy w milczeniu zjeżdżali z góry krętą serpentyną, panowało między nimi dziwne napięcie. Dopiero na dole odprężyli się i zaczęli żartobliwie się spierać, co i gdzie mają zamówić. Gdy wreszcie zasiedli nad stekiem i homarem, spierali się dalej - na temat kontrowersyjnego polityka z Południa, dorocznych nagród w dziedzinie muzyki country i przestrzegania praw mniejszości. Tematu domu unikali starannie.
- Na kilka dni wracam do Atlanty, Bree, a potem pewnie pojadę do Memphis - powiedział Rawls, gdy odprowadzał ją do drzwi.
Przy pożegnaniu obiecał, że zadzwoni.
- Myślałam, że już byłeś w Memphis - powiedziała i przeraziła się własną dociekliwością. Nie

miała prawa do tego stopnia interesować się jego życiem.
- Mojej firmie zlecono ekspertyzę w Jackson. Muszę tam spędzić kilka dni, a ponieważ będę miał blisko do rodziny, skorzystam i złożę im wizytę.
A więc jego rodzina mieszka w Memphis. Rawls nie robił na niej wrażenia kogoś, kto ciągle trzyma się matczynej spódnicy. Niespodziewanie przyszło jej do głowy, że prawdziwym celem odwiedzin może być kobieta, i poczuła ukłucie zazdrości. Znów zganiła się za wtrącanie się w nie swoje sprawy. W końcu nie mieli wobec siebie żadnych zobowiązań.
Zaskoczył ją szybkim, niemal zdawkowym pożegnalnym pocałunkiem, po czym wsiadł do samochodu i odjechał. Chwilę jeszcze patrzyła za nim, wciąż czując na ustach wilgotny dotyk twardych, gorących warg. Stanowczo powinna wziąć się w garść i nie dopuszczać do takich chwil słabości.
Gdzie się podział jej słynny zdrowy rozsądek i zmysł praktyczny, którymi chlubiła się od lat? Skoro potrafiła sobie dać radę z osobnikiem pokroju Ebbena Wilcoxa, z pewnością potrafi utrzymać na dystans kogoś nieporównanie od niego uczciwszego, takiego jak Rawls Smith. Doskonale wiedziała, że jeszcze nie raz zetrą się ze sobą, zapewne nie tylko w sprawie domu. Dziwne, ale ta perspektywa nie martwiła jej zbytnio. Nie potrafiła sobie odmówić spotkań z tym mężczyzną, zwłaszcza że okazał się znakomitym kompanem.
Och, czemu zresztą miałaby sobie odmawiać przyjemności? Od pewnego czasu narastało w niej przekonanie, że okres żałoby minął, choć nie potrafiłaby określić, kiedy. Może sprawiły to pierwsze po-

wiewy wiosny, wyraźnie już wyczuwalne w powietrzu? Zresztą, nie miała zamiaru dociekać przyczyn. Po raz pierwszy od dawna praca przestała jej wystarczać. Nagle opanowały ją irracjonalne pragnienia, by pobiec do lasu, tańczyć boso na trawiastych wierzchołkach wzgórz i śpiewać na cały głos -słowem, zachcianki zupełnie nie pasujące do rozsądnej Bree.
Parę minut przed siódmą była już gotowa. Tym razem włożyła wełnianą spódnicę w odcieniu miedzi w delikatny geometryczny wzór oraz brzoskwiniową bluzkę. Strój, dopasowany w tonacji do lekko rudych włosów, dyskretnie podkreślał głęboką zieleń jej oczu. Na koniec, zadzierając podbródek, rozpyliła wokół głowy chmurkę konwaliowych perfum, po czym zgasiła światło i zdecydowanym krokiem wyszła z sypialni.
Poradzisz sobie, Bree, utwierdzała się w duchu. Na Boga, przecież ma dwadzieścia pięć lat i głowę na karku. Jeśli tylko uda jej się opanować emocje, nie da się wciągnąć w nic, czego by później żałowała. Patrz, ale nie dotykaj. Bądź miła, przyjacielska, ale trzymaj go na dystans, upominała się w duchu.
Starannie wyregulowała temperaturę uśmiechu do letniej i otworzyła drzwi na ulicę.
Rawls, zgasiwszy silnik, siedział jeszcze przez moment ściskając kierownicę, po czym wysiadł, uważnie stawiając nogi na nierównej, błotnistej powierzchni parkingu. Przez moment zamajaczył mu w myślach okrągły, gładko wyasfaltowany podjazd w posiadłości jego matki. Mimo wszystko miał wrażenie, że Bree i Rebecca są trochę do siebie podobne.

108

Dixie Browning

Zawahał się, nim nacisnął klamkę. Czy powinien powiedzieć, że załatwił już sprawę jej domu i za kilka dni na dobre wraca do Atlanty? Czy oznaczałoby to koniec ich dziwnej znajomości? A jeśli nawet, czy jest to aż tak ważne?

Tak, jest ważne. Miał pewność, że znajomość z Brianną Fields nie skończy się wraz z zamknięciem sprawy domu. Intrygowała go; więcej, marzył o niej jak zakochany nastolatek i musiał przyznać, że po prostu zawróciła mu w głowie.

Drzwi otworzyły się, kiedy jeszcze nie był gotowy na spotkanie. Stała w jasnej plamie światła, które jarzyło się aureolą wokół jej głowy. W mroźnym powietrzu poczuł delikatną woń szamponu i subtelny zapach kwiatowych perfum.

- Witaj, Rawls. Proszę, wejdź.

Niemal zapomniał, że jej głos może brzmieć tak miękko i łagodnie. Ostatnio słyszał w nim inne tony.

Przestąpił próg i zamknął za sobą drzwi. Jak zwykle, kiedy był blisko niej, oszołomiło go niezwykłe, kojące ciepło, jakie z niej emanowało. Zauważył to już pierwszego wieczoru, kiedy wszedł do jej domu, pomagając wnosić pudło. Później podświadomie cieszył się, że znów ogarnie go to uczucie, kiedy się z nią spotka.

- Co u ciebie? - zapytał towarzyskim tonem.

Nie odpowiedziała od razu. Najpierw musiała pokonać chwilowy paraliż, który ogarnął ją na widok Rawlsa. Co za potwór! Znów udało mu się pozbawić ją resztek rozsądku. Wystarczyło, że na niego spojrzała. A nie był przecież pierwszym przystojnym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu. Jednak tamci mężczyźni nie robili na niej wrażenia. Patrzyła na ich

twarze jak na piękne maski, zasłaniające pustkę bez wyrazu. Rawls miał silną osobowość i inteligencję, które ożywiały jego klasyczną urodę. Wreszcie zdołała odzyskać głos.
- Miałam mnóstwo roboty. Wiesz, mam nowy pomysł. Zdejmij płaszcz, to ci pokażę - zaproponowała z entuzjazmem, zapominając, że miała być chłodna i powściągliwa. Co prawda, gdyby nie hamowała się siłą woli, już dawno zawisłaby mu na szyi.
- Co, znowu suche drzewa? - zaśmiał się, odkładając płaszcz i idąc za nią do sklepu.
- Skądże. Tym razem jest to coś, co jeszcze do niedawna uważałam za zupełnie nieużyteczne. Będziesz musiał uruchomić wyobraźnię, bo na razie wszystko jest w fazie projektu. Prawdę mówiąc, zaczęłam gromadzić materiały dopiero dziś rano. Pan Boyles obiecał mi jeszcze listwy.
- Ciekawe, większość ludzi najpierw planuje, a potem gromadzi materiały - stwierdził z wyrozumiałym uśmiechem.
- Ja wolę swój sposób. Jest bardziej twórczy.
Stali pośrodku dużego, kwadratowego pomieszczenia. Bree z dumą popatrzyła na dwanaścioro używanych, kasetonowych drzwi, opartych o ścianę w trzech stosach, po czym skierowała pytające spojrzenie na Rawlsa.
- Czyżbyś zakładała komis meblowy?
- Daj spokój, chyba się domyślasz, że to ma być przymierzalnia. - Szybko podeszła w róg sklepu i gestykulując zaczęła opisywać swoją wizję. - Będzie sięgała odtąd... dotąd, a tu będzie wejście. Wyobrażasz sobie, że dostałam te wspaniałe drzwi po dwa dolary sztuka, ponieważ wyburzano dom w sąsiedztwie?

107

Dixie Browning

Rawls przyglądał się drobnej postaci, gestykulującej i rozprawiającej z ożywieniem. Pośrodku zagraconej przestrzeni wyglądała jak egzotyczny, kolorowy, nieco wojowniczy motyl. Właśnie tłumaczyła mu, jak ma zamiar przerobić wnętrze, nie naruszając warunków wynajmu.

Podszedł, by dokładniej obejrzeć drzwi. Były w zupełnie niezłym stanie, choć widać było, że nie wystarczy tylko pędzel i młotek, by nadać im bardziej atrakcyjny wygląd. W zamyśleniu pogładził palcem stare drewno. Wyrastał w otoczeniu kobiet, które co roku zmieniały samochody i oddawały całą zawartość swoich szaf na aukcje dobroczynne, by móc rozpocząć następny sezon z nowymi, modnymi rzeczami. Nawet kobiety, które poznał w Atlancie, były zbyt zaabsorbowane swoją karierą, by urabiać się po łokcie dla zaoszczędzenia paru centów.

- Chyba nie chcesz odnawiać ich sama, co?

- Jak to nie? Całkiem dobrze radzę sobie ze stolarką.

Wyraz skrywanego podziwu złagodził jego surowe rysy. Rawls sięgnął po dłoń Bree i obracał ją w swojej, oglądając z zainteresowaniem i czułością. Ta ręka była szczupła i drobna, lecz zadziwiająco silna. Mimowolnie podniósł ją do ust i pocałował.

- Jestem pełen podziwu dla twoich umiejętności technicznych, ale chyba należy się nam kolacja, prawda? Chodźmy, bo zarezerwowałem miejsca na wpół do ósmej.

Przez całą drogę do restauracji Bree rozpamiętywała dotyk jego ust na swojej dłoni. Tylko spokojnie, upominała się w duchu. Podziwiaj jego umysł, ale ciało zostaw w spokoju!

Niestety, jej umysł uparcie nie chciał posłuchać nakazu. Nawet wspaniała kolacja nie była w stanie oderwać jej myśli od pociągającego męskiego ciała. Kiedy wracali, była już upojona kilkoma kieliszkami wina i brzmieniem głosu Rawlsa. Długo jechali do domu, gdyż po drodze zatrzymali się, by podziwiać wschód księżyca nad rzeką Tennessee.
- Czy mogę ci sprzedać kilka fachowych porad w zamian za filiżankę kawy? - zapytał, kiedy zatrzymali się przed sklepem.
W napięciu czekał na odpowiedź, patrząc jak Bree przetrząsa torbę w poszukiwaniu kluczy. Bała się, że Rawls pożegnają zdawkowo i odjedzie, tak jak ostatnim razem.
- Dostaniesz tyle kawy, ile zechcesz, natomiast wydaje mi się, że nie potrzeba porad inżyniera-kon-sultanta, aby sklecić przymierzalnię ze starych drzwi - stwierdziła wzruszając ramionami.
Weszli do przedpokoju. Rawls powiesił płaszcz na wieszaku i rozpiął elegancką marynarkę. Bree nie mogła się nacieszyć widokiem mężczyzny w doskonale skrojonym garniturze. Kiedy Billy zapraszał ją na kolację, nieodmiennie ubrany był w dżinsy i flanelową koszulę, które uważał za szczyt elegancji.
Podkręciła ogrzewanie i wyjęła z szafki ekspres do kawy.
- Jak było w Memphis? - zagadnęła, pragnąc za wszelką cenę wysondować, czy oprócz rodziny mieszka tam ktoś, kto mógł być prawdziwym celem jego podróży.
- Jak zwykle. Mama uważa, że nie dojadam, siostry uważają, że łysieję, a Andrews utyskuje, że palenie wpędzi mnie przedwcześnie do grobu.

- Andrews? Ten straszny kuzyn, który oddał twoją ukochaną świnkę morską?
Rawls odpiął guzik koszuli i rozluźnił krawat.
- Widzisz, Andy jest czymś więcej niż... po prostu jest kimś w rodzaju zarządcy domu.
- Kumoterstwo, co? - Bree dolała mu śmietanki i podsunęła cukier. Słusznie domyślała się, że Rawls, mimo pospolitego nazwiska, nie jest zwykłym, szarym obywatelem.
- Trudno go właściwie nazwać kuzynem, choć traktujemy go jak członka rodziny. Jest u nas od niepamiętnych czasów.
Bree postanowiła nie drążyć dalej tego tematu. Rawls wyraźnie nie miał ochoty chwalić się sytuacją rodziny i widać miał po temu jakieś powody. W każdym razie mogła się domyślać, że pochodzą z dwóch zupełnie odmiennych światów.
- Teraz usiądź i wytłumacz mi dokładnie, jak masz zamiar uchronić swoje biedne, niczego się nie spodziewające klientki przed przygnieceniem tyloma ciężkimi drzwiami? Zaimprowizowanie prostej wystawy to nie to samo, co budowa przymierzami.
Nie miała ochoty o tym rozmawiać. W porównaniu z pasjonującą kwestią rodziny Rawlsa, ukochany projekt wydał jej się nagle nieciekawy. Gorączkowo zastanawiała się, jak skierować z powrotem rozmowę na właściwe tory, a nie być posądzoną o wścibstwo.
- Nie wiedziałam, że palisz.
- Właściwie nie palę. Od czasu do czasu cygaro po dobrym posiłku.
Temat wyczerpał się zbyt szybko. Nim jednak zdołała wymyśleć nowy pretekst, Rawls niecierpliwie ujął jej dłoń.

- Tęskniłem za tobą, wiesz? Chciałbym, żebyś poznała kiedyś moją matkę. Macie ze sobą wiele wspólnego. Obie sprawiacie wrażenie takich drobnych i bezradnych, a jednocześnie jesteście pełne energii i uporu.
- W żadnym wypadku nie czuję się bezradna - zaprzeczyła z oburzeniem Bree, choć zarówno komplement, jak i fakt, że Rawls pragnął, by poznała jego matkę, zrobiły na niej ogromne wrażenie. Czyżby nie była mu obojętna? A może, głupia, marzy o gruszkach na wierzbie?
- Żałuję, że nigdy już nie poznasz mojej matki, Rawls - szepnęła cicho. - W ogóle nie byłyśmy podobne, może z figury i koloru włosów. Anna była urocza. Miała taki łagodny głos, a jej śmiech... Wiesz, kiedy siedziała przy krosnach i dobrze jej szła robota, nuciła sobie własne mruczanki, zupełnie niesamowite i niepowtarzalne.
Palce Bree zadrgały w jego ręce. Ścisnął je mocniej.
- Brakuje ci jej, prawda?
Przytaknęła w milczeniu. Dziwne, brakowało jej matki, ale żal nie był już tak bolesny. Wspomnienie o Annie stało się cząstką jej egzystencji, ale nie czuła już tej dotkliwej pustki, która dręczyła ją po śmierci matki.
- Wiesz, miałyśmy tylko siebie - westchnęła.
- No, a twój ojciec?
Niespodziewanie dla siebie samej, pod wpływem nieuświadomionej wewnętrznej potrzeby, Bree zwierzyła się ze swojej najgłębszej tajemnicy.
- Nigdy nie widziałam ojca, Rawls. Nawet nie wiem, kim był. Fields to panieńskie nazwisko matki.
Ogarnął ją ramieniem i przyciągnął ku sobie.

- Och, Bree, tak mi przykro - wyszeptał, wtulając twarz w jej włosy. - Nie powinienem był...
Nie znosiła, gdy się nad nią litowano.
- Nie proszę o współczucie, Rawls - powiedziała, sztywno odsuwając się do niego. - Nie potrzebuję go. Ja... - zaczerpnęła powietrza i wolno je wypuściła.
Czego właściwie chciała od tego człowieka? Dlaczego mu to wszystko mówi?
- Chyba powinnam opowiedzieć ci coś niecoś o sobie - zaczęła znów. - W mojej rodzinie nigdy nie było służby. Nie znamy swoich korzeni, nie mówiąc już o drzewie genealogicznym. O swoich dziadkach wiem tylko tyle, że mieli małą farmę w hrabstwie Sumner i że umarli, na próżno walcząc o utrzymanie stada, kiedy spaliły się zbiory. Anna niewiele o nich opowiadała. Sądzę, że nie mogli pogodzić się z jej decyzją, kiedy postanowiła rzucić farmę i zająć się tkactwem. Ale to tylko moje domysły. Było jeszcze wiele rzeczy, o których nie chciała mówić. Po jakimś czasie przestałam pytać.
Rawls tulił ją w milczącym uścisku i Bree miała aż nazbyt wiele czasu na zastanawianie się, czemu powierza najskrytsze tajemnice obcemu człowiekowi. Teraz, kiedy najgorsze zostało już powiedziane, nagle przestała się przejmować. Po prostu uznała to, czego była od dawna świadoma - swoją odmienność. Nie miała jeszcze sześciu lat, kiedy po raz pierwszy usłyszała straszne słowo - bękart. Natychmiast pobiegła do Anny i zapytała, co ono oznacza. Do dziś pamiętała pełen przerażenia wyraz twarzy matki. Wówczas po raz pierwszy - i ostatni - widziała, jak Anna płacze.
Boże, co ten facet sobie pomyśli... Dlaczego tak się

rozgadała? Zgoda, był to wyjątkowy moment i okazja, by wypłakać się komuś na ramieniu, ale doprawdy, nie musiała się aż tak odkrywać!
Bree na próżno szukała sposobu na rozładowanie tej ponurej atmosfery. Na szczęście Rawls wybawił ją z opresji.
- Mam kilka wolnych dni przed wyjazdem do Atlanty. Mógłbym ci pomóc przy urządzaniu sklepu. Co ty na to?
Spojrzała na niego z wdzięcznością.
- Nie wiem, czy jesteś w stanie ogarnąć rozmiar tego przedsięwzięcia - uśmiechnęła się kpiąco.
- Nie bardzo - przyznał - ale jestem dosyć pojętny. Postaraj się wytłumaczyć, o co ci chodzi, a ja będę doradzał, jak to zrobić. Oczywiście tylko wtedy, jeśli uznam, że twoje pomysły nie zagrażają bezpieczeństwu twoich klientów.
Była mu naprawdę wdzięczna, choć słaby głos rozsądku ostrzegał, że owa wdzięczność jest podszyta niebezpiecznymi uczuciami. Zlekceważywszy go, oparła głowę na ramieniu Rawlsa i położyła nogi na kanapie. Poczuła się błogo i wygodnie, choć zdawała sobie sprawę, jak ryzykownie postępuje.
Kawa już dawno wystygła. Rawls objął ją drugim ramieniem i przechylił ku sobie, tak by jej twarz znajdowała się tuż koło jego ust.
- Przez cały tydzień czekałem, żeby cię przytulić, Bree... żeby cię pocałować - powiedział niskim, pełnym tłumionego pożądania głosem.
Jej serce zatrzymało się na mgnienie oka, pozostawiając dudniącą pustkę w piersi.
- Chcesz? - szepnęła.
- Chcę. I nie tylko pocałunku. - Jego gorące spojrzenie, ukrywane pod spuszczonymi powieka-

mi sprawiło, że krew w żyłach Bree zaczęła szybciej krążyć. - Traktuj to jako ostrzeżenie - powiedział z taką stanowczością, że z wrażenia zabrakło jej tchu.
- Czekasz na pozwolenie, Rawls? - spytała zaczepnie, czując coraz mocniejszy uścisk jego ramion.
- Jeszcze... czekam - wykrztusił.
- A... czy normalnie prosisz o pozwolenie, jeśli chcesz pocałować kobietę?
Wyraźnie się zawahał, po czym z wolna pokręcił głową.
- Nie, i nie mam pojęcia, dlaczego to robię. Bree, postąpisz jak zechcesz, ale muszę ci powiedzieć, że w tej chwili marzę wyłącznie o tym, żeby kochać się z tobą. I jeśli masz wątpliwości, powiedz o nich teraz. Potem może już być za późno.
Boże, dlaczego to mówi? Czy nie może skierować rozmowy na normalne tory, by nie musiała ujawniać swoich najskrytszych uczuć? Klęła go, że otworzył jej furtkę do ucieczki i klęła siebie, że z niej nie skorzystała.
- A więc nie masz zastrzeżeń? - przybliżył twarz, niemal hipnotyzując ją wzrokiem. Ciepły oddech owiewał jej zaciśnięte wargi.
Nie mogła już dłużej przeciągać tej sytuacji. Przełknęła z trudem ślinę i odwróciła głowę.
- Rawls, boję się.
- Kogo? Mnie? Kochana, obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.
- Nie rozumiesz, ja... Nie uwierzysz, ale... nie jestem tak doświadczona, jak ci się wydaje.
- Chcesz powiedzieć, że się nie zabezpieczyłaś? Zdenerwowana poczuła, że się czerwieni.

- Nie o to chodzi - wykrztusiła żałując, że w ogóle wdała się w tłumaczenia. Tego tematu po prostu nie należało poruszać.
- Chcesz powiedzieć, że nigdy… Przytaknęła, kompletnie zawstydzona.
- Tak, nigdy, Rawls.

Dobiegł ją dziwny dźwięk, coś pośredniego pomiędzy zdumionym okrzykiem a śmiechem. Rawls zamaszystym gestem przygarnął jej głowę do swojej piersi.

- O ile dobrze słyszałem, masz dwadzieścia sześć lat, tak? I chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas nigdy nie…

Przytaknęła, za wszelką cenę pragnąc, by nie kończył tego zdania.

- Za każdym razem wydawało mi się, że jeszcze nie pora - wyjaśniła.

Tym razem wybuchnął śmiechem. Zawstydzona opuściła głowę.

- Naprawdę tak było! Zresztą nie miałam zbyt wielu okazji. Dom miał tylko cztery pokoje i wiecznie był pełen ludzi, a wszyscy moi przyjaciele byli przyjaciółmi matki. Poza tym musiałam chodzić do szkoły i jednocześnie zajmować się wszystkim - sprzątaniem, prowadzeniem domu, rachunkami, a potem także interesami.
- Mimo wszystko nie uwierzę, że nigdy nie chodziłaś na randki ani nie miałaś chłopaka. W dzisiejszych czasach to się po prostu nie zdarza. Przecież większość dziewczyn wie o tych sprawach wszystko już w podstawówce.

Prawdę mówiąc. Rawls nie wiedział, czy ma śmiać się czy płakać. Zupełnie nie był przygotowany na taki obrót sprawy. Bree była samotną, atrakcyjną kobie-

tą, a nie naiwnym dzieckiem. Zresztą sam widział tego Almondsa, który zachowywał się w jej domu jak stary bywalec.
Na myśl o wielkich łapskach tamtego, dotykających jej ciała, poczuł złość.
- Nie powiedziałam, że jestem zupełnie niedoświadczona - wyjaśniła spokojnie, choć nadal kryła twarz na jego ramieniu. - Powiedziałam tylko, że nigdy nie...
- -nie nawiązywałaś przelotnych znajomości, tak? O tym rozmawialiśmy już wcześniej - stwierdził sucho. - Bree, czy uważasz, że to odnosi się również do nas?
- Chyba tak... Oczywiście, że tak. - Nie chciała kłamać, ale trudno jej było znaleźć właściwe słowa - Jeśli zdarzyłoby mi się... gdybym zaszła w ciążę nie wiem, czy odważyłabym się podjąć taką decyzję jak moja matka. Nie mogę ryzykować, Rawls. Nie chcę stanąć przed takim wyborem.
Patrzył na nią chmurnie. Milczenie stało się w końcu tak nieznośne, że musiała je wypełnić słowami.
. - Muszę ci poza tym powiedzieć, że nie miałam na to ochoty. Nie byłam na studiach; skończyłam tylko kursy biznesu w mieście. Żaden z mężczyzn których tam spotkałam, nie wydał mi się zbyt interesujący. - Syknęła ze zniecierpliwieniem. - W ogóle nie rozumiem, dlaczego rozmawiamy o tej rzewnei historii?
- Chyba dlatego, że chciałem cię uwieść, a ty uświadomiłaś mi, jakie to ryzykowne.
- Tak. I jest jeszcze jedno ryzyko, o którym nie wspomniałam. Będę wdzięczna, jeśli raczysz je wziąć pod uwagę.

- Ciekawe, jakie? - zapytał ze skrywanym rozbawieniem.
- Że ja… mogę się po prostu *okazać* nieodporna na kogoś takiego jak ty. Wiesz dobrze, o czym mówię, Rawls. A ponieważ jesteś zbyt uczciwy, żeby pozwolić mi zakochać się w tobie, lepiej od razu zrezygnujmy z tej znajomości, bo nic na niej nie zyskasz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rawls gwałtownie cofnął ramię. Bree odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy. Zapadła przygniatająca cisza. Wreszcie, gestem ostatecznej rezygnacji, Bree ściągnęła z oparcia kanapy afgański szal i okryła się nim jak welonem, instynktownie pragnąc odgrodzić się od świata i od mężczyzny.

- Rawls, czy zdołasz zapomnieć o tym, co ci powiedziałam? - wyszeptała zza ażurowej zasłony.

Łagodnym, lecz stanowczym ruchem odkrył jej twarz i popatrzył w oczy z wyrazem, którego jeszcze u niego nie widziała.

Boże, do czego doprowadziłam! - pomyślała z przerażeniem. Jaki on ma w tym momencie wybór? Albo skłamie, albo wyśmieje mnie. Wiedziała jedno - po nim nie zwróci już uwagi na żadnego mężczyznę i skończy jako stara panna. Zawsze uważała się za szczerą, ale tym razem odsłoniła się naprawdę niepotrzebnie.

- Bree, naprawdę? Zakochałaś się we mnie?

Ze złości wbiła sobie paznokcie w dłonie, po czym, kiedy ochłonęła, jeszcze raz zdobyła się na szczerość!

- Chyba nie. Myślę raczej, że to rodzaj zauroczenia. Mówiłam ci już, że jestem mało doświadczona, a ty jesteś bardzo przystojny.

Odwróciła głowę, by nie dostrzegł wyrazu jej oczu. Czy nigdy nie nauczy się kłamać?

- Czemu się tym martwisz, Bree? Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ja sam jestem całkiem groźnie zauroczony - uśmiechnął się gorzko. Takie uczucia, pomyślał, zarezerwowane są raczej dla nastolatków. W ciągu kilkunastu lat dorosłego życia jego kontakty z kobietami stały się bardzo uproszczone i przyziemne. - Jeśli zaś chodzi o zjawisko zwane miłością, to w mojej ocenie składa się ona w trzech czwartych z pobożnych życzeń, a w jednej czwartej z reakcji hormonalnych, czy temu podobnych procesów -oświadczył z przekonaniem.
Bree drgnęła i przestała na moment zwijać w palcach frędzle szala.
- Cóż, przynajmniej wiemy, na czym stoimy - powiedziała z nadzieją. - Teraz chyba rozumiesz, dlaczego nie chcę się w nic angażować... fizycznie.
Siedzieli nieruchomo obok siebie - on rozluźniony, z głową odrzuconą na oparcie, ona pochylona, ze zwieszoną głową i łokciami opartymi na kolanach. Nagle poczuła, że coś muska jej włosy i za chwilę ciepła męska ręka przylgnęła do jej karku.
- A ty, mam nadzieję, zrozumiesz, że chcę się zaangażować - powiedział Rawls, tym razem już bez żadnej kpiny. - Jestem mężczyzną, Bree, a ty jesteś kobietą, której niesłychanie pragnę. To, co nazwałaś zauroczeniem, polega - o ile wiem - na chęci spotykania się z tą kobietą, poznania jej i kochania się z nią.
Ręka łagodnie masowała napięte mięśnie jej karku. Bree opuściła głowę, poddając się odprężającemu masażowi.
- Jak dobrze... - mruknęła.
- Może być jeszcze lepiej - niski głos Rawlsa wibrował nęcącą obietnicą.

- Nie wątpię, ale daj mi jeszcze trochę czasu, dobrze? Nigdy nie skoczę na głowę, nim nie sprawdzę głębokości wody.
Dłoń znieruchomiała, a potem przyciągnęła ją ku sobie.
- Może spróbujemy w takim razie zbadać wodę? Choć czubkiem palca, co?
Rozbawienie, przebijające z jego słów, rozbroiło Bree. Pozwoliła sobie na chwilę relaksu w jego ramionach.
- Tylko do twojej wiadomości, kochana - zaśmiał się cicho - badałem te wody kilka razy.
Moszcząc się wygodnie u jego boku. rzuciła mu ironiczne spojrzenie.
- W to też nie wątpię. Dobrze, że przynajmniej jedno z nas umie pływać.
Nazajutrz, ledwie zdążyła otworzyć sklep, już usłyszała charakterystyczny odgłos samochodu Rawlsa. W jej oczach pojawił się wesoły ognik. Przeciągnęła ręką po włosach, próbując uładzić niesforne loki. Zdążyła zrobić staranny makijaż i włożyć jeden ze swoich lepszych strojów. Kiedy Rawls pojawił się w drzwiach, promieniała radością.
- Nigdy nie będę kobietą światową - jęknęła. - Specjalnie trenowałam powitalny uśmiech, a popatrz, co z tego wyszło! - komicznie wywróciła oczami.
Podbiegł i ze śmiechem uniósł ją do góry, wtulając twarz w gładką, smukłą szyję.
- Możemy to poćwiczyć, ale prawdę mówiąc wolę, jak witasz mnie w ten sposób.
Kiedy opuścił ją na podłogę, uświadomiła sobie, ile prawdy kryje się w jego słowach. Nie zostawiła so-

bie żadnej rezerwy - jeśli kochała mężczyznę, kochała go szczerze i całą duszą.
- Pomożesz mi zrobić tę przymierzalnię, Rawls?
- Owszem, ale najpierw chcę zobaczyć plany.
- Przecież widzisz, czym dysponuję, a wczoraj opowiadałam ci, jak sobie to wyobrażam.
- Powiedziałaś mi, że masz zamiar połączyć drzwi listwami u góry i u dołu, a potem przystawić całość do ściany. Konstrukcyjnie będzie to miało wytrzymałość domku z kart.
- Umowa wynajmu zabrania kucia ścian. Uważam, że mój pomysł jest zupełnie dobry w tych warunkach - obruszyła się.
- W porządku, na razie daj mi papier i ołówek, a potem powiedz, jak ma wyglądać to pomieszczenie. Zrobię rysunek i wtedy będziemy mogli zacząć robotę.
Bree z zakłopotaniem podrapała się w głowę.
- Podejrzewam, że nie umiałabym pracować według planu.
Rawls wsunął ręce głęboko w kieszenie miękkich, flanelowych spodni i z marsem na czole zaczął oglądać oparte o ścianę drzwi.
- Kochana, wierz mi, to będzie tylko roboczy szkic, ale przynajmniej da nam pojęcie, co i jak mamy robić.
Bree wręczyła mu notes i ołówek.
- Potrzebne mi są dwie ściany w tym rogu, z wejściem - o, tu. Potem skombinuję jakieś lustro, wieszak na ubrania, ławeczkę - i gotowe.
- A zastanowiłaś się, czy będziesz mogła swobodnie poruszać się po sklepie? Jeśli zrobisz drzwi tam, gdzie pokazałaś, przy otwieraniu będą sięgać aż do cedrowego pnia. Wobec tego należałoby go przesunąć

- mruknął, przygryzając wargę, kiedy w skupieniu oceniał odległości.
- Dlaczego o tym nie pomyślałam? - zdenerwowała się. - Można by ostatecznie dać kształt trójkątny, ale wtedy zabrałoby się zbyt dużą powierzchnię ściany.
- Spokojnie, kotku, zawsze jest jakieś wyjście -Rawls przyniósł sobie z kuchni stołek i przykucnął przy nim, szkicując ogólne zarysy konstrukcji. W tym czasie pojawił się pierwszy klient i Bree udało się sprzedać jedną z najdroższych rzeźbionych tac. W chwilę później do butiku zawitały dwie żony profesorów z miejscowego uniwersytetu i kupiły wyplatane maty oraz niebieski, wypalany półmisek do kurczaka. Kiedy wreszcie była wolna, Rawls wynosił już drzwi na dwór.
- Zaszpachluję dziury i pomaluję ci je, pytanie tylko, na jaki kolor? Taki jak na ścianach?
Bree po namyśle doszła do wniosku, że należy wybrać ciemniejszy odcień.
- Wystarczy tylko dziesięcioro drzwi, a nie dwanaścioro - stwierdził Rawls. - Czworo przy każdej ścianie, a pośrodku dwoje, pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gdzie umieścimy wejście. Tak będzie i ciekawiej i wygodniej. Nie będziesz musiała przesuwać drzewa, a w sklepie zostanie dużo miejsca.
Po dwóch dniach przymierzalnia była gotowa. Stare drzwi, odświeżone i pomalowane na stonowane kolory, okazały się bardzo dekoracyjne.
- Doskonale ci to wyszło, Rawls - wykrzyknęła Bree, oglądając pomieszczenie ze wszystkich stron. Zwłaszcza nietypowe rozwiązanie wejścia nadawało całej konstrukcji lekkości i oryginalności.
- No, powiedzmy, że jest porządnie zrobione -

przyznał skromnie. - Czy nie uważasz, że powinniśmy uczcić nasze dzieło kolacyjką w jakimś dobrym lokalu? Z chęcią bym się odprężył.
- Jasne, przecież zasłużyłeś sobie - zgodziła się z entuzjazmem.
Te dni bardzo zbliżyły ich do siebie. Z wyjątkiem kilku godzin, które poświęcał na załatwianie interesów, Rawls pracował z Bree w sklepie aż do zamknięcia. Robili tylko krótkie przerwy na jedzenie. Przy okazji błysnął niespodziewanie talentem kulinarnym, przygotowując wspaniały omlet. Bree rewanżowała się swoim wegetariańskim chili.
Choć zmęczeni, rozmawiali wiele i nigdy nie brakowało im tematów. Rawls nie znał się na rzemiośle artystycznym, natomiast ku zdumieniu Bree posiadał zadziwiającą wiedzę na temat regionalnej architektury. Przedtem nawet nie zdawała sobie sprawy, jak kolejne fale osadników nadawały miejscowemu budownictwu styl, często wywodzący się jeszcze z rodzinnego kraju. Słuchała, gdy mówił o dachach, podcieniach i zrębach, i wcale nie była znudzona. Zachowywali się jak para starych przyjaciół, a jedyną oznaką wzajemnego zauroczenia był krótki pocałunek na dobranoc.
Bree nawet wobec siebie niechętnie przyznawała się do rozczarowania. Rawls najwyraźniej nie miał potrzeby dalszego sondowania nieznanej toni. Być może uważał ją za zbyt płytką. Wiedziała, że powinna być mu wdzięczna - ale wcale jej to nie cieszyło.
- Wpadnę teraz do hotelu i przebiorę się, dobrze? - zaproponował. - I przyjadę po ciebie za godzinę.

W pół godziny później, kiedy Bree siedziała w wannie, zadzwonił telefon. Chwyciła ręcznik i, zostawiając mokre ślady stóp na podłodze, pobiegła do saloniku. Podejrzewała, że dzwoni Rawls, by oznajmić, że coś mu wypadło i musi odwołać spotkanie. Tymczasem w słuchawce odezwał się głos Lindy Redd, najbliższej przyjaciółki Anny.
- Bree, pewnie ci przeszkodziłam?
- Poczekaj, tylko założę szlafrok, bo właśnie wyszłam z wanny i robię kałużę na najlepszym dywanie.
Linda była nie tylko bliską osobą, ale i jedną z najlepszych dostawczyń.
- No, już jestem. Wiesz, sprzedałam wszystkie twoje sukienki! Kiedy będziesz miała nowe?
- Zrobiłam trzy, ale obiecałam jeszcze cztery Hetty Meyers. Pamiętasz, tej, która ma butik w Asheville?
Bree stłumiła jęk zawodu. Akurat teraz, kiedy ma dwa manekiny i przymierzalnię, opóźnia się dostawa sukienek!
- Ale kto wie, może mogłabym zmienić zdanie... - Linda znacząco zawiesiła głos.
- Zamieniam się w słuch.
- Potrzebuję moralnego wsparcia, Bree. Czy mogłabyś w następną niedzielę pojechać ze mną do Atlanty? Herbert powiedział, że możemy się spotkać, ale boję się, że stchórzę, kiedy nie będę miała obok siebie jakiejś życzliwej duszy.
Bree słyszała trochę od matki o perypetiach tego wiecznie rozchodzącego się i schodzącego stadła. Tak jak i Anna, Linda za wszelką cenę starała się uciec od problemów, nie umiejąc stawić im czoła.
- Nie wiem, czy moja obecność nie zostanie źle odebrana.
- Och, już dawno przeszliśmy z Herbertem ten

etap. On ma po prostu trochę moich rzeczy i obiecał, że kiedy przyjadę i posłucham, co ma do powiedzenia, odda mi moje stereo i mandolinę.
- Cóż, na wsparcie moralne z mojej strony zawsze możesz liczyć. Czy mam cię tam zawieźć?
- Nie. kochana, dzięki, wystarczy, że będziesz mi towarzyszyć. Masz u mnie dwie sukienki. Hetty może poczekać. Zarabia na nich więcej niż ja i czasami mnie to wkurza.
Poplotkowały jeszcze przez chwilę. Bree, by nie tracić czasu, włączyła suszarkę i układała sobie włosy. Prawdę mówiąc, wolałaby pojechać w roli kierowcy. Linda prowadziła nerwowo, zwłaszcza na autostradach, a na domiar złego miała paskudny zwyczaj zagapiania się na mijany po drodze krajobraz.
Kiedy Rawls zapukał i wszedł, Bree kończyła toaletę.
- Poczekaj chwilę! - zawołała z sypialni.
- Spokojnie, nie ma pośpiechu - dobiegł ją niski głos za plecami. Drgnęła i odwróciła się zaskoczona, rozpylając chmurę konwaliowych perfum na lustro.
Rawls z zaciekawieniem przyglądał się szczegółom umeblowania - żelaznemu, pomalowanemu na kolor kości słoniowej łóżku, okrytemu barwną jak średniowieczny witraż, pozszywaną z kawałków kołdrą i pięknym gobelinom, zdobiącym ściany. Były to jedne z najlepszych dzieł Anny.
- To niezwykłe - wskazał na dziwaczny korzeń, wpleciony w misternie utkaną pajęczynę wełny.
- Matka tworzyła całe serie w tym stylu, jeszcze przed moim urodzeniem. Zostały włączone do objazdowej wystawy, sponsorowanej przez Partridge Textiles. Jeden z gobelinów został nagrodzony.

128

Dixie Browning

Rawls stał teraz przy jej łóżku, na którym leżały porzucone niedbale rajstopy. Zrezygnowała z nich w ostatniej chwili na korzyść pasa i pończoch. Było coś niewiarygodnie intymnego w obecności tego mężczyzny w jej sypialni. Bree uświadomiła sobie po raz kolejny, jak bardzo się zmieniła po spotkaniu Rawlsa.

Billy Almonds przez te wszystkie lata często wchodził do sypialni, ale jego obecność nigdy nie przyśpieszyła bicia jej serca. Nieraz w trakcie przyjęcia padał na łóżko Bree czy Anny i zostawał tam do rana, gdyż nie sposób było ruszyć jego wielkiego cielska. Wtedy musiały się zmieścić na jednym łóżku.

Wzrastające napięcie musiało udzielić się również Rawlsowi, gdyż szorstko przypomniał, że muszą już iść.

- Znalazłem lokal, gdzie można i potańczyć, i zjeść steki z grilla. Lubisz tańczyć. Bree? - zapytał podając jej płaszcz.

Dotyk jego palców na szyi odczuła jak uderzenie prądem.

- Och... tak, nieźle tańczę solo. Nawet trochę stepuję. Ale obawiam się, że kiedy...

- Czy chcesz powiedzieć, że i w tym nie masz doświadczenia? - zapytał z przewrotnym uśmiechem. -Powiedz mi, Bree, jak ty się właściwie bawisz? Co robicie, kiedy ten wypasiony na odżywkach prawo-skrzydłowy zabiera cię na randkę?

Bree zachichotała.

- Billy? Co do odżywek, wszystko się zgadza, ale na futbolu zna się nie lepiej, niż ja na fizyce kwantowej. Zwykle lądujemy u kogoś w kuchni i gadamy o naszych zawodowych sprawach. Dopóki większość znajomych stąd nie wyjechała, byliśmy jak jedna wielka, związana artystycznymi więzami rodzina.

Nuta smutku w jej głosie nie uszła uwagi Rawlsa. Poszukał spojrzeniem oczu Bree. Wzruszyła ramionami i szybko podeszła do drzwi. Nie mogła dopuścić, by dawne wspomnienia przysłoniły urok dni spędzanych z tym człowiekiem.
- Billy zwykle za dużo wypijał i musiałam go odwozić do domu. Chyba że balanga kończyła się w naszej kuchni, wtedy zostawał. Ale nie wyrażaj się o nim tak lekceważąco. Billy jest bardzo zdolnym artystą. Od lat jest członkiem Cechu Rzemiosł Artystycznych w Piedmoncie i miał wiele znaczących wystaw ceramicznych.
- Jestem pod wrażeniem - oświadczył Rawls tonem dalekim od zachwytu. Otworzył przed nią drzwi auta, a potem usiadł za kierownicą. - Muszę cię zmartwić. Bree, ale tego wieczoru nie uwzględniłem w programie ani solowych popisów, ani stepowania. Przy drakońskich zasadach, jakich muszę przestrzegać, taniec jest jedyną okazją, żebym mógł choć przez chwilę potrzymać cię w ramionach. - Włączył silnik
i sięgając ręką do dźwigni biegów niby niechcący musnął jej kolano. - Zresztą obawiam się, że i to nie jest zbyt bezpieczne.
Bree bardzo szybko przekonała się, że miał rację. Dania na stoliku stygły, a ich spojrzenia stawały się coraz bardziej gorące. Przytuleni do siebie kołysali się w rytm leniwej, romantycznej muzyki, granej przez mały zespół. Tłumiona namiętność więziła ich czarem, który nie pozwalał im się od siebie oderwać.
- Mogłabyś mieć wyższe obcasy - utyskiwał żartobliwie Rawls, opierając podbródek na czubku głowy Bree i drżącą ręką gładząc jej gładkie plecy w wycięciu dekoltu.

- Następnym razem włożę koturny - zaproponowała.
- Słusznie. A tymczasem może byśmy sobie stąd poszli? - mruknął. - Zwykły śmiertelnik nie jest stworzony do nadludzkich prób wytrzymałości.
Żadne nie odezwało się słowem, kiedy przez oświetlony parking szli do samochodu. Bree czekała, aż Rawls otworzy drzwiczki, on tymczasem wsunął ręce pod jej rozpięty płaszcz i mocno ją przytulił.
- No, chodź, mój ty dynamitku. Niech wreszcie cię porządnie pocałuję - wyszeptał.
Przez oddzielające ich warstwy ubrania Bree czuła twarde mięśnie. W tej samej chwili jej stopy oderwały się od ziemi i Rawls zaczął całować ją mocno i zachłannie. W zapamiętaniu zarzuciła mu ręce na szyję.
- Ach, Bree - wymamrotał przez zaciśnięte zęby - co mam z tobą zrobić? - Niespodziewanie postawił ją na ziemi. Zachwiała się, czując miękkość w kolanach. - Jedźmy do domu. Tu nie ma warunków, żeby badać głębokie wody - powiedział niskim głosem.
Ruch był niewielki, ale światła jakby sprzymierzyły się przeciwko nim. Pod czerwonym sygnałem na pierwszym skrzyżowaniu Rawls pochylił się i musnął ustami jej policzek. Na drugim oznajmił niespodziewanie:
- Zbadałem sprawę twojego domu. Spojrzała na niego zaskoczona.
- Naprawdę? Dlaczego mi w takim razie nie powiedziałeś?
- Właśnie ci mówię - rzucił ruszając.
- Tak więc już wiesz, że miałam rację - powiedziała. Powinna triumfować, lecz, o dziwo, nie czuła żad-

nej satysfakcji. Sprawa domu stała się nagle zupełnie nieistotna.
- Wiem przynajmniej, co mój ojciec zrobił z nim przed wielu laty.
- Twój ojciec? A co on ma z tym wspólnego? Rawls sklął się w duchu za niedyskrecję.
- Moim ojcem był Brian Partridge Smith III - wyjaśnił niechętnie.
- Jak to? Ten...
- Tak, ten sam. Umarł rok temu. - Nie było wyjścia, musiał teraz ujawnić Bree, że działa na polecenie swojej matki. - A teraz moja matka ma zamiar to sprzedać. To znaczy nie tylko zakłady, tereny osiedlowe również - zakończył, czekając w napięciu na reakcję Bree.
Milczała przez chwilę, rozważając nowinę.
- Dlatego tak interesowałeś się sprawą własności - domyśliła się. - Gdzieś przecież musiały zachować się archiwa.
Rawls zaśmiał się krótko, skręcając w jej ulicę.
- Większość dokumentów wywieziono do Memphis po zamknięciu zakładów. Okrężną drogą, przez Trójkąt Bermudzki. Na podstawie tych niewielu, które pozostały, nie sposób ustalić dokładnie, czy którykolwiek z domów został sprzedany.
- Jakieś dokumenty powinny być w ratuszu -poddała.
- Owszem, gdybym miał dużo czasu i cały zespół ludzi, może zdołałbym przekopać się przez rejestry obejmujące okres mniej więcej trzydziestu lat. Niestety, w tych warunkach, nie znając numerów ksiąg hipotecznych, wolałem nawet nie próbować.
- Skąd w takim razie dowiedziałeś się o ojcu?

- Przez przypadek. Kiedy rozmawiałem z matką na temat osiedla, wspomniała coś mimochodem. Postanowiłem sprawdzić dokładnie w naszych domowych papierach i znalazłem kopię umowy. To był akt darowizny.
- I okazało się, że chodziło właśnie o numer 94 przy Milledge Road, tak?
- Właśnie. Ale darowizna nie dotyczyła twojej matki, widocznie dopiero potem dom został jej sprzedany. Jedno jest pewne - ten dom nie należy już do majątku zakładów. Jestem ci winien stokrotne przeprosiny.
- A więc? - pytająco zawiesiła głos.
Rawls zgasił silnik i obrócił się ku niej z uwodzicielskim uśmiechem.
- Właśnie, i co?
- Gdzie moje przeprosiny? - prowokowała.
- Może jednak weszlibyśmy do środka? Wiesz, jest mokro, a ja mam zamiar pokajać się na klęczkach.
Bree zachichotała z zachwytem.
- Och, fantastyczne! Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła powiedzieć: „a nie mówiłam!"
- Panno Fields, niech pani nie kusi losu -ostrzegł, wodząc palcem po jej małym, okrągłym podbródku. - Kiedy będę zmuszony przywdziać coś tak drapiącego, jak włosienica, zrobię się bardzo niemiły.
- Należy ci się, żebyś się wił... za to, że napadłeś mnie przy moich własnych drzwiach i groziłeś że wsadzisz mnie za kratki! Jesteś mi to winien, niejaki panie Smith!
Zaśmiewając się, ramię w ramię wkroczyli do ciemnego mieszkania. Zaraz za progiem wziął ją w ramiona i z rozkoszą zanurzył twarz w gęstwę pachnących włosów.

- Ty też mi jesteś coś winna, moja słodka Brian-no. Przecież dotrzymałem umowy, prawda? Powiedz, czy przez ostatnie dni choć raz przekroczyłem granice platonicznej adoracji?
- Hmm, owszem, w czasie tańca było kilka... -Rawls nawet nie czekał na dalszy ciąg, tylko szybko zakrył rękami uszy, komicznie wywracając przy tym oczami.
- No, dobrze, nie będę skrupulatna. Ponieważ jestem w łaskawym nastroju, odpuszczę ci winy.
- Ty to nazywasz łaskawym nastrojem? - jęknął i swoim zwyczajem uniósł ją w górę. by ułatwić sobie pocałunek. - Dziewczyno, czy ty masz pojęcie, w jakim jestem nastroju?
W chwilę później siedzieli na kanapie. Po drodze zrzucili płaszcze. Rawls ułożył sobie głowę Bree na kolanach, w pozycji, którą już polubiła.
- Nie uważasz, że teraz jest świetny moment na zbadanie wody? - zapytał, dotykając dołka w jej policzku
Bree czuła już oszałamiający zawrót głowy. Przytaknęła bez słów i przymknęła oczy, pozwalając wargom mężczyzny dotknąć swoich ust. Tak, już najwyższy czas, powtórzyła w myślach jak echo.
Przymknąwszy powieki Rawls w skupieniu wodził koniuszkiem języka wzdłuż linii jej rozchylonych warg, a potem uniósł głowę i spojrzał na nią jeszcze raz.
Efekt przeszedł jego oczekiwania. Bree nie ukrywała niczego - była namiętna, otwarta, pragnąca.
- Czego chcesz ode mnie, Bree? Czy mam zrobić... to? - szepnął, pochylając się do pocałunku.
Tym razem jego język zagłębił się w ciepłą wilgoć jej ust. Bree wpiła palce w jego pierś.

Ujął jej zarumienioną twarz w dłonie i spojrzał w płonące, nieprzytomne oczy.
albo to? - wyszeptał głosem drżącym z napięcia, sięgając ręką pod wełnianą spódnicę i wodząc po smukłych, opiętych pończochami udach. Bree nie panowała już nad swoim ciałem, które przenikały erotyczne dreszcze. Teraz patrzyła mu prosto w oczy niemal błagalnie.
Rawls mruknął coś cicho i zerwał się na nogi, nie wypuszczając jej z ramion. Podniósł ją jak dziecko i wielkimi krokami ruszył ku sypialni. Skryła twarz w wycięciu jego koszuli. Ich serca biły szalonym, nierównym rytmem.
Powoli ułożył ją na łóżku i schylił się, by zdjąć buty.
- Mój mały Kopciuszku - powiedział z przewrotnym i czułym uśmiechem.
Bree na moment wstrzymała oddech, poddając się fali błogiego, radosnego oczekiwania. Jeśli miała jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, rozpłynęły się w tej jednej, cudownej chwili, która dała jej pewność. To już nie było zauroczenie; kochała tego mężczyznę całym sercem. Ten fakt był równie Oczywisty, jak krążenie Ziemi wokół Słońca.
W milczeniu pozwoliła, by zdjął z niej sukienkę, a potem majtki, zostawiając jedynie koronkowy' cienki pasek i pończochy. Stanika i tak nie miała.
- O, Boże, Bree, masz pojęcie, co się ze mną dzieje, kiedy na ciebie patrzę? - szepnął, rozpinając spodnie. Przymknęła oczy w oczekiwaniu. Jeszcze jedna chwila, długa jak nieskończoność - i wreszcie poczuła gorący dotyk jego nagiego ciała.
Szorstki zarost na piersi Rawlsa połaskotał jej nos kiedy wtulała w nią twarz. Jedną ręką objęła go

w pasie, a drugą krążyła po jego ciele. Rawls zadrżał i odruchowo cofnęła rękę, jakby się oparzyła.
- Nie, nie - szepnął. - Kochana, proszę... dotykaj mnie - pochwycił jej dłoń i przycisnął do siebie.
- Kochaj mnie.
Upajające poczucie kobiecej władzy ogarnęło ją z nieznaną siłą, kiedy poczuła, jak reaguje na najlżejsze dotknięcie jej palców. Ośmielona, zaczęła wodzić nimi po piersi Rawlsa, pieszcząc twarde wypukłości mięśni, aż wyszukała wśród zarostu brązowy, twardy punkt.
- Ach, jestem w niebie - zachłysnął się, czując jak skubie go zębami. - Nie wytrzymam już!
Powoli odsunął Bree od siebie i oparł się na łokciu, by mieć dostęp do jej drobnych piersi. Kiedy pochylił głowę i dotknął ich wargami, Bree zaczęła się wić. Gorące usta muskały jej brzuch, pępek, zbliżając się do łona - powoli, leniwie, skazując ją na dręczące oczekiwanie. Kiedy poczuła między udami jego palce, naprężyła się.
- Spokojnie, kochana... Nie bój się.
Ukoił jej strach, znów wyzwalając błogi, słodki dreszcz. Kiedy do palców dołączyły gorące, leciutkie dotknięcia warg, mogła już tylko błagać bezsilnie.
- Rawls. proszę... proszę!
- Pozwól mi, Bree. Pozwól, będzie ci dobrze...
Gotowa była pozwolić na wszystko. Kiedy delikatnie brał ją pod siebie, dłonie Bree bezsilnie osunęły się ze śliskiej skóry jego ramion. W głowie wirowały szalone myśli, ale jej uda rozsunęły się miękko.
I nagle, jakby z przepastnej głębi, doszedł ją bezsilny pomruk, który odbił się echem w jej ciele. Poczuła, że Rawls wycofuje się.
- Rawls, co się stało? - wyszeptała w osłupieniu.

Przeciągnął ręką po ciele Bree i przytulił ją.
- Nic takiego, kochana.
Jednak zgnębiony głos zdradzał jego ukryty niepokój. Pocałowała go z troską.
- Co się dzieje, Rawls? Kocham cię, wiesz? Proszę, powiedz, co się stało - wyszeptała.
Puścił ją i opadł bezsilnie na poduszkę, zakrywając twarz ramieniem. Bree odczekała, aż uspokoi się nierówny oddech i z trudem zmusiła się do mówienia. Musi to wiedzieć!
- Rawls, czy zrobiłam coś złego? Czy... czy byłam zbyt agresywna?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na szczęście o tej porze ulice były prawie puste. Rawls zmęczonym gestem przetarł oczy. Oddałby teraz wszystko za papierosa. Kiedy odjeżdżał, Bree zachowywała się spokojnie, co jednak o niczym nie świadczyło. Gdyby był jeszcze ktoś inny... gdyby miała więcej doświadczenia...

Przecież próbował jej wytłumaczyć. Ale jak można zadać kobiecie ból, zwłaszcza po tych wszystkich cholernych obietnicach?

- Kochana, nie jeździłaś nigdy na koniu? - zapytał, nieporadnie usiłując naprowadzić ją na właściwy trop.

Zrazu, nic nie rozumiejąc, pokręciła głową. W chwilę później gorący rumieniec wypłynął jej na policzki.

- Rawls, powiedz mi wreszcie, o co chodzi? Czy istnieje jakiś tajemny rytuał inicjacji, o którym nie wiem?

- Hmm, można i tak powiedzieć. Posłuchaj, Bree... niektóre kobiety... och, po prostu nie byłoby to dla ciebie dobre. Musiałbym zadać ci ból, a do tego nie jestem zdolny. Przepraszam, kochana.

Bree poczuła, że ogarnia ją złość. Próbowała **zła**mać jego upór, nie przebierając w słowach, lecz Rawls jedynie coś mamrotał. Wreszcie skapitulowała.

- Myślałam, że oznacza to krótki, ostry ból, a potem już tylko ekstazę - mruknęła, tuląc twarz do jego piersi. - Chyba czytałam nie te książki, co trzeba.
- Wszystko będzie dobrze, kochana. Potrzeba nam czasu.
Z rezygnacją opuściła głowę. Myślał, że płacze, ale kiedy uniósł jej podbródek i zajrzał w twarz, zobaczył suche oczy o obojętnym, kamiennym spojrzeniu.
Mój Boże, sam miał ochotę się rozpłakać! Nigdy w życiu tak nie pragnął kobiety, ale nie mógłby sobie wybaczyć, że zaspokoił swoją żądzę i wyszedł, zostawiając Bree obolałą i samotną. Nie, zwłaszcza kiedy powiedziała, że go kocha. Wyznanie to nakładało na niego odpowiedzialność i wymagało, by zyskał pewność co do własnych uczuć. Niestety, właśnie stwierdził, że niczego nie może być pewien. Przejście od podejrzliwości i lekceważenia do niechętnego podziwu, a potem od sympatii do zupełnego oczarowania było zbyt szybkie. Czy mogło to być coś więcej niż zauroczenie? Nigdy dotąd jego reakcje nie były tak gwałtowne; tym bardziej musiał być ostrożny. Stanowczo potrzebował czasu. Oboje go potrzebowali. Powiedział jej to ubierając się, podczas gdy Bree milczała uparcie. Powiedział, że zadzwoni za tydzień i zabierze ją na weekend. Kiedy na pożegnanie próbował wziąć ją w objęcia, wyrwała się, posyłając mu obrażone spojrzenie.
- Nie musisz sobie zawracać głowy moją osobą, Rawls - powiedziała nienaturalnie spokojnym tonem. - Przyszły weekend mam już zajęty. Zadzwoniła koleżanka z Gatlinburga. Wyjeżdżamy z miasta.
Czuł, że już jej nie przekona. Zresztą sam nie był w nastroju do dalszej rozmowy. Oboje odczuwali potrzebę oddalenia, przeczekania i przemyślenia. Po

raz pierwszy w jego życiu kontakty z kobietą okazały się aż tak problematyczne, ale też dotąd na żadnej kobiecie nie zależało mu tak, jak na Bree.
Było już dobrze po północy, kiedy dotarł do swego mieszkania w Atlancie. Bolała go głowa i był w podłym nastroju. Odruchowo podszedł do telefonu i włączył automatyczną sekretarkę. Było kilka służbowych telefonów, zaproszenie od kobiety, z którą zerwał kilka miesięcy temu - i sześć niecierpliwych tyrad matki.
Zaklął cicho i zagłębił się w starym, ulubionym fotelu. Wyobrażał już sobie, jak Rebecca krąży po mieszkaniu z gniewną miną, zaciskając palce. Zawsze, ilekroć dzwoniła, oczekiwała, że słuchawka zostanie podniesiona najpóźniej po drugim dzwonku.
Z westchnieniem sięgnął do telefonu. W tym samym momencie zadźwięczał dzwonek.
- Rawls, gdzie się podziewałeś? Dzwonię co godzina, od szóstej!
- Przepraszam, mamo, ale dosłownie w tej sekundzie przyjechałem z Chattanoogi - powiedział uspokajająco, rozluźniając kołnierzyk i przeczesując palcami włosy.
- Załatwiłeś już wszystko? Znakomicie! Słuchaj, Rawls, mam ofertę od Rose'a i Hildebrandta. -W słuchawce zapadła pełna wyczekiwania cisza. Rawls milczał. - Synu, jesteś tam?
- Tak, mamo. Przepraszam, ale ten ból głowy jest...
- Czyżbyś za dużo wypił? - spytała podejrzliwie.
- Dwa kieliszki wina do kolacji - zaśmiał się. -Podejrzewam, że się po prostu przepracowałem.
- Musisz wziąć urlop, słyszysz? A wracając do tej oferty, to dotyczy ona nie tylko Chattanoogi. Oni chcą przejąć całość, łącznie z Memphis.

Rawls w zamyśleniu pogładził zarastający podbródek.
- Rozważyłaś dokładnie tę ofertę?
- Właśnie o tym chciałabym porozmawiać. Są jeszcze ci Japończycy, ale... sam wiesz. Słuchaj, czy nie mógłbyś po prostu do mnie przyjechać? Wiem, że masz już dosyć podróży, ale nie chcę sama podejmować decyzji, która może zaważyć na całym moim życiu. Tym bardziej nie wezmę zięciów na doradców. Potrzebuję ciebie, Rawls.
A więc tak miał wyglądać urlop! Dobrze, że matka nie może widzieć jego miny.
- Mamo, teraz nie mogę ci powiedzieć. Muszę najpierw wpaść do biura i zobaczyć, co się tam dzieje. Najprawdopodobniej będę mógł wyjechać stąd we wtorek po południu. Wytrzymasz do tego czasu?
- Może, o ile Marshall nie doprowadzi mnie do szału. Zaczynam żałować, że Elaine wyszła za takiego lalusia. Słuchaj, Rawls, a może byś tak wziął ze sobą Jane Markham? Nasz sędzia stęsknił się za córką. Mówił mi to ostatnio przy brydżu.
- Nie masz już dosyć prawników, mamo?
- W tym cały problem. Wyobraź sobie, że ci faceci przemawiają do mnie tak, jakbym była zupełnie tępa. Nawet ten chłopak Janasa, który dopiero skończył studia! Ale usadziłam go, wiesz? Powiedziałam mu przy całym biurze, że powinien być mi wdzięczny, bo nieraz zmieniałam mu pieluchy. A musisz wiedzieć, że miał najgorszą wysypkę na pupie, jaką widziałam!
Rawls wybuchnął szczerym śmiechem, wyobrażając sobie całą scenę.
- Mamo, kocham cię. Czy kiedykolwiek ci to mówiłem?
- Może, raz czy dwa - odparła dziwnie szorstkim

tonem. - Przeważnie były to wyznania na laurkach z okazji Dnia Matki. Pisałeś „kochana" przez „h". No, dobrze synu, pogadamy, jak przyjedziesz. Zabieraj Jane i bądź tu jak najszybciej.
W jej głosie słychać było wyraźną ulgę. Niespodziewanie podniosło to Rawlsa na duchu i złagodziło przygnębienie, które poczuł, kiedy przekroczył próg pustego domu.
Padał deszcz, kiedy w niedzielny poranek Bree zamknęła dom i wsiadła do żółtego forda mustanga Lindy.
- Na pewno nie chcesz, żebym prowadziła? Mój staruszek może wygląda paskudnie, ale bardzo dobrze chodzi.
- Dzięki, ale nie ma potrzeby. Przeciwnie, prowadząc będę się mogła na chwilę oderwać od niemiłych spraw. Wiesz, przez cały tydzień dręczyła mnie obawa, że Herbert może zechce namawiać mnie, żebym go znowu przyjęła.
- A zrobiłabyś to?
Linda powoli skinęła głową. Jej drobna, okrągła twarz nagle posmutniała.
- Natychmiast, Bree. Widzisz, jaka ze mnie idot-ka? Drzemy ze sobą koty, tysiące razy mnie zdradzał, a ja go ciągle, drania, kocham. Dziwne ludzie mają gusty, co?
Bree milczała, próbując nie myśleć o swoich własnych problemach. Rawls dzwonił do niej kilka razy w ciągu tygodnia, ale odkładała słuchawkę. O czym w końcu mieli rozmawiać? Powiedziała mu, że go kocha - i okazało się, że to za mało. Nic więcej nie miała już do zaoferowania, a przynajmniej nic z tego, czego pragnął.

- Lindo, powiedz mi, czy... ciężko to przeszłaś? Mówię o waszym pierwszym razie z Herbertem.
- Coś ty, było fantastycznie. Pod tym jednym względem zawsze było nam dobrze.
- Ach, rozumiem - przytaknęła strapiona Bree.
- Oczywiście zanim spotkałam Herberta, żyłam już dwa lata z innym facetem, jeżeli o to ci chodzi. Muszę ci zresztą powiedzieć, że problem miałam od razu z głowy - dodała ze śmiechem.
- Tata był trenerem sportowym. Kiedy tylko wyrosłam z pieluch, już biegałam i skakałam przez płotki. Dlatego pierwszy romans przeszedł mi gładko.
- Ach - powtórzyła Bree, po raz pierwszy serdecznie żałując, że zawsze wymigiwała się od wszelkich sportów.
- A co, masz jakieś problemy?
- Takie, jak zapewne wiele kobiet. Kiedyś trzeba zacząć, wiesz, ale głupio jest to robić w moim wieku - wyznała, modląc się w duchu, by Linda wreszcie odwróciła od niej zdumione spojrzenie i skierowała wzrok z powrotem na drogę.
- Kochana, nie martw się. Nie masz pojęcia, ile, bab ma w tych sprawach problemy, tylko nie chce się do tego przyznać. Zwłaszcza że czytają w magazynach, ile razy można mieć przyjemność i jakie to fantastyczne przeżycie. Musisz nabrać trochę doświadczenia, a wszystko będzie jak trzeba.
Doświadczenie... Zanim będzie miała okazję go nabrać, zdąży zostać starą panną.
Zjechały z autostrady. Bree wyciągnęła karteczkę ze wskazówkami, które Linda otrzymała od Herberta i usiłowała ją pilotować.
- Mamy skręcić na siódmym skrzyżowaniu. Teraz, o ile się nie pomyliłam, przejechałyśmy szóste.

Dobrze, widzę ceglany kościół. Za nim mamy skręcić w lewo, minąć trzy bloki, i...
Nie dojechały do kościoła. Z parkingu nagle ruszył autokar. Kierowca zobaczył je w ostatniej chwili i zahamował z piskiem, ale rozpędzony ford wpadł w poślizg na mokrej jezdni i sunął w jego stronę.
Było już prawie ciemno, kiedy Bree wreszcie wypuszczono ze szpitalnego ambulatorium. Pokonując zawroty głowy przystanęła na korytarzu, tępo przyglądając się niedzielnemu tłumowi odwiedzających. Przez moment miała irracjonalną chęć dołączenia do nich, byle tylko nie czuć się tak osamotniona.
Lindę zatrzymano na dłużej. Miała złamany obojczyk, liczne potłuczenia i lekki wstrząs mózgu. Bree była również potłuczona i doznała szoku, ale poza tym wyszła z wypadku bez szwanku. Nie zapomniała nawet poprosić pielęgniarki, by zawiadomiła Herberta. Trudno było uwierzyć, że roztrzęsiony facet, który w pół godziny później wtargnął do szpitala, był tym samym dandysowatym Herbertem, oglądającym się swego czasu za każdą spódniczką. Bree również musiała kiedyś z niesmakiem odrzucać jego zaloty.
- Bree, tak strasznie mi przykro - łkała Linda. -Nigdy mi pewnie nie wybaczysz. I co teraz zrobisz, biedactwo? Nie mogą zatrzymać cię tu na noc?
- Nie martw się o mnie, Lindo. Czuję się zupełnie dobrze, przysięgam.
Szczerze mówiąc, po tej przygodzie Bree miała dosyć szpitali na całe życie. Pragnęła stąd jak najszybciej uciec. Jedyną przeszkodą był brak pieniędzy. Wydała wszystko na rachunek za udzielenie pierwszej pomocy w ambulatorium. Ubezpieczenie zdrowotne było luksusem, który zrujnowałby jej budżet.

141

Dixie Browning

Żółty mustang nie nadawał się do jazdy i został zabrany przez pomoc drogową. Nie miała nawet pieniędzy na bilet do domu; nie przewidywała zresztą, że przyjdzie jej wracać do swojej dalekiej Chattanoogi autobusem.

- Czy masz kogoś w Atlancie, do kogo mogłabyś zadzwonić? - zapytała z troską Linda.

Bree spojrzała na bladą, ściągniętą bólem twarz przyjaciółki i stanowczo postanowiła nie litować się nad sobą. Wiedziała, że poczciwa Linda nie zaśnie, dopóki nie upewni się, że wszystko jest w porządku.

- Oczywiście, że tak - skłamała dzielnie. - Właśnie miałam dzwonić.

- Herbert cię podwiezie - zaproponowała Linda bez entuzjazmu. Miała poczucie winy wobec koleżanki, a jednocześnie ani na moment nie chciała się rozstać ze świeżo odzyskanym mężem.

Bree gorączkowo zastanawiała się, pod jakim pretekstem odmówić. Za żadne skarby nie chciała skorzystać z pomocy Herberta. Już po pogrzebie Anny odkryła, jak mogą wyglądać przejawy jego współczucia. Nigdy nie powiedziała o tym jego żonie.

- Kochana, nie trzeba. Mam koleżankę, która mieszka niedaleko stąd. Przejdę sobie piechotą. Przestań już o tym myśleć i zaśnij spokojnie - uścisnęła dłoń przyjaciółki. - Zadzwonię do ciebie za parę dni, dobrze? - zawołała do Herberta, pośpiesznie wychodząc z pokoju.

Rawls otworzył drzwi biura i zapalił światło. Telefon dzwonił natarczywie.

- Odbierz, Jane, dobrze? Ja zabiorę pocztę i dam ci materiały na temat sprzedaży zakładów. Napijesz

się czegoś, zanim odwiozę cię do domu? - zawołał za nią.
Głos Jane dobiegł z głębi gabinetu.
- Rawls? Tak, już jest. Dopiero wróciliśmy z Memphis, dlatego pani nie mogła go wcześniej zastać.
Zamarł z kopertą w ręku. Nagle z niezachwianą pewnością wiedział, kto dzwoni. Jeśli i tym razem ona rzuci słuchawkę...
- Bree? Bree, tylko nie waż się rozłączyć! Gdzie jesteś? - wykrzykiwał, wyrwawszy słuchawkę zdumionej Jane.
Ciche brzęczenie linii podkreślało napięte milczenie, jakie zapanowało po jego słowach. Bree znieruchomiała przy aparacie w szpitalnym korytarzu, przerażona koniecznością rozmowy, na którą tak bardzo nie miała ochoty. Upokarzające było, że musiała pożyczyć ćwierćdolarówkę od pielęgniarki. Potem w nieskończoność wertowała książki telefoniczne w poszukiwaniu numeru. W końcu znalazła go pod hasłem; „Biura inżynierskie" i zadzwoniła bez większej nadziei, gdyż godziny urzędowania już dawno minęły.
- Bree? Jesteś tam? Kochana, czy wszystko w porządku? - dopytywał się, zaniepokojony przedłużającą się ciszą w słuchawce. Nadal nie była w stanie wykrztusić słowa. Jednocześnie potrzebowała Rawlsa i bała się, że usłyszawszy wiadomość pogna do szpitala, łamiąc wszystkie ograniczenia szybkości.
- Rawls, był wypadek, i...
- O, Boże, nie! - jęknął rozpaczliwie. - Jesteś ranna? Gdzie w ogóle jesteś? Ktoś jest z tobą? Czekaj spokojnie, kochana, zamówię powietrzną taksówkę i za godzinę będę u ciebie. Tylko nie...

146

Dixie Browning

- Rawls!
- Czy to bardzo groźne? Jest tam lekarz? Daj ml go na chwilę. Gdzie jesteś, w domu?
- Rawls, do licha, może byś zamknął się na chwilę i dał mi dokończyć! - przerwała Bree, z trudem tłumiąc wesołość. Kompletnie roztrzęsiony Rawls podziałał jak balsam na jej duszę.
- Tak, kochanie, słucham. Jane, nie idź jeszcze. Wyraźnie było słychać kobiecy głos w tle, lecz tym
razem nie czuła zazdrości. Obojętne było jej, czy owa Jane, która przyjechała z nim z Memphis, zostanie sobie czy pójdzie. Bree marzyła tylko, by przydzielono jej kawałek miejsca na podłodze i koc, którym mogłaby się owinąć, żeby spać, spać, choćby cały tydzień.
- Posłuchaj, jestem w Atlancie, w... - szybko zapytała przechodzącego lekarza o nazwę szpitala.
-Wiesz, gdzie to jest? Powinnam wziąć taksówkę, ale wydałam wszystkie pieniądze, i...
Ze słuchawki wylał się nowy potok słów, lecz przestała cokolwiek kojarzyć. Lekarstwo, które podano jej parę godzin temu, wyraźnie przestawało już działać.
- Rawls, przestań pleść i zabierz mnie wreszcie stąd! Czekam przy głównym wejściu.
Wyszła na zewnątrz, przysiadła na mokrej marmurowej ławeczce i zapatrzyła się na delikatną, pastelową łunę na wieczornym niebie nad Atlantą. Zabawne, że nawet dymy i opary spalin mogą czasem wyglądać interesująco, pomyślała. Całości obrazu dopełniały światła samochodów, odbłyskujące od mokrego asfaltu, i kolorowe parasole przechodniów, wielokrotnie odbijające się w szybach wystaw i chromowanych drzwi sklepów.

Wzdrygnęła się. Nie było zbyt zimno, ale jej płaszcz przemókł.
Jakaś kobieta spieszyła chodnikiem, niosąc torbę z hamburgerem i frytkami. Bree uświadomiła sobie, że nie jadła ani obiadu, ani kolacji. Zupełnie straciła poczucie czasu przez to odpowiadanie na pytania policji, wypełnianie niezliczonych formularzy szpitalnych i ubezpieczeniowych, a potem jeszcze opowiadanie o wypadku komuś z kościoła.
Wreszcie zobaczyła samochód Rawlsa, z rozpędu hamujący pod znakiem „Tylko dla karetek". Zerwała się i dostrzegł ją natychmiast. Patrzyła, jak brutalnie przepycha się ku niej przez tłum wychodzących ze szpitala; właśnie skończyła się pora wizyt. Kiedy poczuła wokół siebie mocne, opiekuńcze ramiona, znów straciła zdolność mówienia.
- Naprawdę nic ci się nie stało? - zapytał rzeczowo, ogarniając uważnym spojrzeniem jej twarz i drobną postać.
Bree spuściła oczy. Jej płaszcz miał oberwany guzik i brzydką plamę na przodzie. Spod oberwanego brzegu spódnicy wyglądało zabandażowane kolano.
- Oczywiście, że nic, przecież mówiłam ci przez telefon - oświadczyła bez drgnienia powieki. - Czy możemy już stąd iść?
Rawls szybko zaprowadził ją do samochodu i odjechał w momencie, gdy zaczął się ku nim zbliżać funkcjonariusz ze szpitalnej ochrony. Bree z rozkoszą wtuliła się w znajome, miękko wyprofilowane siedzenie.
- Kto jeszcze był w tym wypadku? - zapytał Rawls po chwili.
- Moja przyjaciółka z Gatlinburga. Jechałyśmy jej samochodem i ona prowadziła.

- Jak się czuje?
- Nieźle. Ma złamany obojczyk, wstrząs mózgu i różne obrażenia. Zadzwoniłam do jej męża; jest teraz z nią. Natomiast samochód został kompletnie skasowany - zaśmiała się nerwowo. - A o ile znam Lindę, na pewno nie był ubezpieczony.
Znów zapadło milczenie. Wreszcie Rawls zajechał przed elegancki budynek.
- Moje mieszkanie jest na pierwszym piętrze; zdołasz tam sama wejść?
Bree z determinacją zacisnęła wargi i zmusiła oporne ciało do ruchu. Wystarczył krótki moment odprężenia w czasie jazdy, by poczuła się teraz podwójnie obolała i sztywna. Młody lekarz z ostrego dyżuru, który miał doświadczenie z pacjentami po wypadkach, powiedział jej, że w momencie uderzenia podświadomie napięła mięśnie, przez co je nadwyrężyła - ocaliła natomiast kości.
Rawls podtrzymywał ją troskliwie jak niańka.
- Nie mam nic złamanego - mruknęła. - Po prostu jestem lekko obolała.
- Widzę, że przynajmniej twoje poczucie humoru ocalało w tym wypadku. Nadal jesteś urocza jak promyk słońca.
Nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Niestety, z jej ust wydarł się bolesny jęk. Słysząc to, Rawls bez pytania wziął ją na ręce i szybko poniósł korytarzem.
- Nic już nie mów, dobrze? Jest tu moja przyjaciółka, która zajmie się tobą i położy do łóżka. Porozmawiamy sobie jutro.
Bree i tak nie była w zbyt dobrym nastroju, ale wzmianka o zadomowionej przyjaciółce Rawlsa popsuła jej humor do reszty. To pewnie znów ta Jane. Pięknie! Los nie szczędzi jej niemiłych niespodzianek.

W godzinę później, na wpół już śpiąca, przysłuchiwała się szmerowi głosów dochodzących z drugiego pokoju, w duchu błogosławiąc obecność Jane Markham. Ta piękna, elegancka kobieta zajęła się nią spokojnie i fachowo. Zaczęła od podania aspiryny. Potem wyjęła z własnej torby błękitną nocną koszulę i troskliwie podtrzymując osłabłą Bree, zaprowadziła ją do łazienki. Początkowa niechęć, jaką żywiła do niej Bree, przemieniła się w zachwyt i wdzięczność. Obojętne, kim Jane Markham była dla Rawlsa. Dla niej była po prostu aniołem.
- Na twoim miejscu nie kąpałabym się dzisiaj -powiedziała przystojna brunetka, pomagając obolałej dziewczynie przebrać się w piękną nocną koszulę, sięgającą jej aż do kostek.
- Nawet o tym nie myślę - zapewniła ją Bree. - Po moim wyjeździe możesz spalić prześcieradła, ale teraz marzę tylko o tym, żeby położyć się i zamknąć oczy.
Przed upragnionym snem musiała jednak zjeść jeden ze słynnych omletów Rawlsa. Ku swojemu zdziwieniu, pochłonęła go z ogromnym apetytem.
- A wy nic nie jecie? - zapytała, z zawstydzeniem odsuwając wymieciony do czysta talerz. - Proszę, nie przejmujcie się mną. Zaraz pójdę spać i nie będę już wam przeszkadzać.
Nie będzie! Co za absurd, przecież już to zrobiła. Zepsuła im weekend, wprosiła się do sypialni Rawlsa, zaburzyła im miłe sam na sam. I nawet nie przeprosiła.
Uniosła ociężałe, senne powieki i ostatni raz spojrzała na Rawlsa, który stał niepewnie w drzwiach **sy**pialni. Wyglądał niemal tak samo źle jak ona. Roz-

chełstany kołnierzyk koszuli, zmięty krawat wystający z kieszeni, zmierzwione włosy i blada twarz, na której widniał cień zarostu.
Bree westchnęła i ostrożnie, by nie urazić obolałego ciała, zwinęła się w kłębek pod jedwabistą pościelą. Teraz najważniejszy był sen. Później będzie się martwić, jak wrócić do domu. A jeszcze później...
Obudził ją aromat świeżo parzonej kawy, zanim jeszcze Rawls zapukał do drzwi.
- Bree? Jesteś głodna? - Pojawił się w drzwiach niosąc tacę ze śniadaniem, owinięty ściereczką w pasie. - Znów zrobiłem omlet, ale jeśli jesteś tym znudzona, to powiedz. Mam jeszcze płatki i mleko. Ewentualnie mogę skoczyć do sklepu i przynieść ci coś innego.
- Nie, Rawls, wystarczy - zapewniła pośpiesznie, żałując, że nie miała okazji umyć się przed jego przyjściem. Czuła jednak, że bez pomocy nie byłaby w stanie dowlec się do łazienki.
- A gdzie Jane? - zapytała, obciągając na sobie pożyczoną koszulę.
- Kiedy zasnęłaś, odwiozłem ją do domu. Odwiedzi cię dzisiaj i załatwi wszystko, czego będziesz potrzebować.
- Przykro mi, że pojawiłam się w tak nieodpowiednim momencie - Bree niezbyt subtelnie próbowała się usprawiedliwiać. - Podziwiam, że w tych okolicznościach była dla mnie tak dobra.
- Bo Jane to naprawdę dobra dusza. Znamy się od najmłodszych lat, a kiedy moja mama po śmierci ojca przejęła interesy, uznała, że może polegać tylko na kobiecie-prawniku. Robi więc wszystko, co może,

aby zwabić Jane do Memphis, ale nie sądzę, żeby coś wskórała.
- Więc ona jest prawnikiem? Wspaniałe połączenie urody i inteligencji, nie mówiąc już o miłym charakterze. Och, Rawls, moje nędzne ego może tylko marzyć o takim ideale!
Rawls uśmiechnął się od ucha do ucha, dając jej poznać, że umieszczone w drobnym ciele kobiece ego, tak niepowtarzalne i wymykające się wszelkim ocenom, może być równie atrakcyjne.
Bree dotknęła widelcem złocistego omletu.
- Jeśli pożyczysz mi trochę pieniędzy, spróbuję dzisiaj złapać autobus do domu - powiedziała jedząc. - Nie zabrałam zbyt dużo pieniędzy i nie spodziewałam się, że wydam je wszystkie w pierwszym miejscu, w jakim się zatrzymam.
Rawls chciał przysiąść w nogach łóżka, ale zreflektował się w ostatniej chwili i szybko się wyprostował. Bree drgnęła, wystraszona jego nagłym ruchem.
- Przepraszam, zachowuję się jak ostatni tępak. Czy uraziłem cię?
- Ależ skąd, Rawls. Przy okazji przypomniałam sobie, że mam jeszcze kilka części ciała. Chętnie napiłabym się kawy, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.
Wrócił z dwiema parującymi filiżankami i tym razem przysunął sobie krzesło do łóżka.
- Robisz wspaniałą kawę - wymamrotała Bree, czując się nieswojo pod jego badawczym spojrzeniem.
- Uderzyłaś w coś?
- W autokar parafialny.
- To wiem. Ale chodzi mi o ciebie. Może w deskę rozdzielczą albo w szybę? Takie siniaki nie wzięły się z powietrza.

149

Dixie Browning

- Na szczęście byłam w pasach. Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyłam zapamiętać szczegółów.

Nadal nie spuszczał z niej wzroku. Bree nie wytrzymała i pochyliła głowę nad kawą. Choć okoliczności, w jakich znów się spotkali, nie były zbyt romantyczne, już czuła, że ogarniają dawne uczucie podekscytowania, zacierające nawet pamięć o wypadku.

- Czy... czy będziesz mógł zadzwonić na dworzec autobusowy? - zapytała, z trudem zmuszając się do myślenia o konkretach.

- Zapomnij o autobusie! Nie pozwolę ci się stąd ruszyć, dopóki całkowicie nie wydobrzejesz. Jesteś jeszcze głodna? Mogę zrobić następny omlet.

Odwróciła wzrok i zjadła jeszcze kawałek. W tej chwili jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej mogła myśleć.

- O, rany, przecież zrobiłem grzanki! Dlaczego mi nie przypomniałaś? Tak się starałem, żeby nie przypalić tego cholernego omletu, że w końcu nie wyjąłem ich z tostera.

- Rawls, nie jestem głodna. I dziękuję za grzanki - powiedziała miękko. ,

- Na pewno?

- Przestań trząść się nade mną jak kwoka - zniecierpliwiła się. - Lepiej będzie, jeśli podasz mi rękę i pomożesz wstać z łóżka. Pójdę do łazienki i jakoś doprowadzę się do porządku, żebyś wreszcie mógł zostawić mnie i iść do biura. - Ostrożnie usiadła i spuściła stopy na podłogę.

- Po co wstajesz sama? Przecież cię zaniosę! Ale pamiętaj: możesz podróżować tylko od łóżka do łazienki i z powrotem.

- Taak? - uniosła bojowo podbródek. - A ja mam ochotę na podróż do Chattanoogi, i to dzisiaj!

- O, nie, nigdzie nie pojedziesz. Sam zawiozę cię do domu, kiedy uznam, że nadeszła pora.
Bree szybko dokonała oceny swoich szans i z niechęcią musiała przyznać, że nie zdoła wrócić bez jego pomocy.
- Posłuchaj, Rawls, ta sytuacja jest dla mnie bardzo krępująca - powiedziała pojednawczo. - Byłam zmuszona zwrócić się do ciebie tylko dlatego, że nie mam żadnej znajomej duszy w stanie Georgia. Nie chcę, żebyś czuł się za mnie odpowiedzialny. Nie musisz...
Zniecierpliwiony zamknął powieki i z westchnieniem splótł palce.
- Bree, nie rób mi tego, proszę. Mam za sobą piekielnie ciężki tydzień, a ten nie będzie lepszy. Jedyne, co trzyma mnie przy życiu, to twoja obecność -powiedział miękko, wyciągając ku niej ramiona i cofając je w ostatniej chwili, by nie dotknąć jej obolałego ciała. - Jak mam przemówić ci do rozumu, żebyś wreszcie nabrała szacunku...
- Dla kogo albo dla czego? - zapytała cicho, czując, że znów wciąga ją spojrzenie ciemnych, połyskliwych oczu.
- Dla mnie, ty szalona kobieto - szepnął, pochylając się ku jej ustom i muskając je przelotnym pocałunkiem. - Och, Bree, Bree, co ty ze mną robisz? Uprawiasz czary? A może jesteś księżniczką z bajki, która potrafi jednym pocałunkiem zmienić dorosłego mężczyznę w niezgrabną żabę?
Pieszczotliwie powiodła czubkiem języka po jego wargach. Zachęcony tym, usiadł przy niej i delikatnie wziął ją w ramiona.
- Nie jesteś niezgrabną żabą, kochany - powiedziała. Gdyby nie bolesne potłuczenia, już dawno

przytuliłaby się do niego. - Jesteś najbardziej eleganckim ropuchem, jakiego spotkałam.
- To znaczy, że chcesz mnie dla siebie zatrzymać? - zapytał ze śmiertelną powagą.
Z ogromnym wysiłkiem usiłowała zachować żartobliwy ton.
- Och, jeszcze nie wiem. Atlanta to trochę za duże bajoro jak dla mnie. Może raczej poszukam w małych, romantycznych stawkach z liliami.
Rawls odchrząknął i ułożył ją z powrotem na poduszce.
- Nie musisz szukać, księżniczko. Twój romantyczny stawek z liliami jest tutaj, uwierz mi na słowo.
Bree uśmiechnęła się. Nie musiała wierzyć na słowo. Ta żaba była warta wszystkich skarbów świata. Chciała tego mężczyzny i gotowa była stoczyć o niego pojedynek z każdą Jane, która stanie jej na drodze.
- Rawls?
- Hmm... - mruknął, delikatnie pieszcząc jej piersi, by nie urazić obolałych żeber.
- Rawls, wybacz, ale naprawdę muszę iść do łazienki.
Wyprostował się z ociąganiem i przeczesał ręką zmierzwione włosy.
- Żaby mają bardzo małe móżdżki, wiesz? Daj rękę, kochana. Ciepła kąpiel dobrze zrobi twoim ze-sztywniałym mięśniom. Niestety, nie możesz marzyć o pachnącej pianie. Mój zestaw kosmetyków jest bardzo skromny.
- Zaprowadź mnie tylko do drzwi. Dalej sobie poradzę. I wystarczy mi zwykłe mydło. No, może jeszcze bloczek i lina, na której mogłabym się podciągnąć, żeby wyjść z wanny.

Rawls wprowadził ją do niewielkiej łazienki z szarymi kafelkami.
- Wyciągnę cię za pół godziny - obiecał, odkręcając krany. - Przez ten czas załatwię parę telefonów, ale gdybyś potrzebowała mnie wcześniej, zagwiżdż. My, żaby, jesteśmy wspaniałymi kompanami do kąpieli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeszcze woda w wannie nie zdążyła wystygnąć, a Bree wiedziała już, że tego dnia nie ma co marzyć o wyjeździe. Dojście do łazienki i kąpiel bardzo ją osłabiły.

- Jeszcze się pluszczesz? - zawołał Rawls zza drzwi. Sprawdzał ją dosłownie co kilka minut.

Zaczęła wstawać, ciężko opierając się na krawędzi wanny.

- Chyba zagnieżdżę się tu na stałe - zawołała. - Potelefonuj jeszcze trochę.

- Załatwiłem już wszystkie telefony - oznajmił, stając nagle w drzwiach i chmurnie marszcząc brwi. Jego wzrok nie pominął żadnego sińca ani zadrapania na jej nagim ciele. Zamarła w niewygodnej pozycji, z jedną nogą w wannie, a drugą na podłodze. Nagle zaczęła się bać, że upadnie, jeśli tylko się ruszy.

- Czy mógłbyś łaskawie stąd wyjść? - zapytała uprzejmie.

- Zapomniałem pokazać ci, gdzie trzymam ręczniki - mruknął.

- Ach tak, bo to na półce to spadochrony, co? -wskazała na szafkę.

Westchnął i sięgnął po jeden z leżących na stosie ręczników.

- Przepraszam, nie miewam gości na noc - powiedział tonem usprawiedliwienia.

- Czyżby? A myślałam, że właśnie wypłoszyłam kogoś takiego.
Rawls popatrzył na nią zdumiony.
- Masz na myśli Jane? - zapytał z rosnącym rozbawieniem i zaczął wycierać jej włosy drugim ręcznikiem. - Czyżbyś była zazdrosna?
- Ależ skąd - skłamała dzielnie. - Przecież musisz mieć jakieś życie osobiste. Mężczyzna w twoim wieku...
Nagle przyciągnął jej głowę do siebie i palcami rozdzielił włosy, szukając siniaków.
- Nie jest tak źle - ocenił. - No, dobrze, mów, co musi mieć mężczyzna w moim wieku.
- Słuchaj, nie powinieneś mnie teraz oglądać. Niezbyt mi do twarzy w czarnym i niebieskim.
- Odwróć się, żebym mógł ci wytrzeć uszy. Przynajmniej one nie ucierpiały. Słowo daję, wyglądasz jak tancerka w poplamionym trykocie.
- Mam to traktować jako komplement? Chyba jednak wolałabym być księżniczką.
- Dobrze, zatem jesteś księżniczką z ciałem tancerki. Szkoda tylko, że leniłaś się na aksamitnych poduszkach, zamiast ćwiczyć przy barierce. Wyobrażam sobie, że szpagaty i temu podobne ćwiczenia są jeszcze skuteczniejsze od jazdy konnej - stwierdził ze znaczącym uśmieszkiem, który ją zirytował.
- Przestań wracać do tego tematu.
- Do jakiego tematu?
- Rawls!
Ujął ją ostrożnie w ramiona i zaniósł do sypialni. Ręcznik opadł po drodze, lecz Bree postanowiła **się** nie przejmować. Nie było miejsca na jej ciele, którego by nie widział.

- Masz jakiś szlafrok, w którym bym nie utonęła? Przypuszczam, że moje rzeczy nie nadają się do noszenia.
- Jane zabrała je do domu. Jej gospodyni zajmie się nimi i jeszcze dziś dostaniesz je z powrotem.
Już po chwili ze śmiechem otulał ją niebieskim, puszystym szlafrokiem. Zacisnęła pasek i podwinęła rękawy. Rawls zgarnął jej mokre włosy i otulił szyję grubym kołnierzem, przy okazji zbliżając twarz niebezpiecznie blisko.
Sycił się pocałunkiem, coraz bardziej namiętnym i gwałtownym. Upajał się nim, a Bree z ogromną radością czuła, jak ogarnia ją pożądanie
- O, Boże, Bree, czas jest okrutny-jęknął, usiłując wyzwolić się spod władzy zaklęcia. Na próżno. Jeszcze raz dotknął jej ust, pieszcząc je drobnymi skubnięciami warg. Jego ręka zawędrowała pod szlafrok, a pod przymkniętymi powiekami pojawił się błysk pożądania.
- Moje ukryte skarby - wyszeptał niskim głosem. - Niedługo nadejdzie ten dzień...
- Niedługo nadejdzie ten dzień... - powtórzyła jak echo, przeniknięta dreszczem oczekiwania.
Rawls powoli odsunął się. 1
- Dasz sobie radę sama przez godzinę albo dwie? Przyniosę ci jeszcze jedną kawę i gazetę.
- Musisz wyjść? - zapytała nie kryjąc zawodu.
- Muszę, kochana. Ale wrócę jak najszybciej. Wiesz, przez prawie trzy miesiące byłem poza biurem. Wpadnie tutaj Jane z rzeczami dla ciebie. Postawię ci też telefon przy łóżku.
- Rawls, nie musisz się już o mnie martwić -wymamrotała zawstydzona, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak egoistycznie zajmuje mu czas.

- Nie mam do kogo dzwonić, chyba, że do doktora Franka.
Natychmiast zrobił się czujny.
- Boli cię coś, Bree? W pobliżu jest klinika. Jeśli trzeba, załatwię...
- Rawls. przestań, nic mi nie jest! Idź już do biura, a ja sobie z przyjemnością polezę.
- Kto to jest doktor Frank?
- Mój najlepszy przyjaciel, doktor Franklin Ka-gan. On odbierał mnie przy porodzie. Był z żoną na urlopie, ale może już wrócili. Spróbuję do niego zadzwonić. Ale na razie się prześpię - powiedziała udając ziewanie. Miała nadzieję, że Rawls da się wreszcie przekonać.
Zwinęła się pod kołdrą i nakryła głowę. Ogarnęła ją miła senność. Napięcie, jakie odczuwała w obecności Rawlsa, zrobiło swoje.
W południe pojawiła się Jane Markham. Przyniosła wyprane rzeczy Bree i torbę ze znanego domu towarowego.
- Pomyślałam, że masz już dosyć omletów, więc wstąpiłam do delikatesów i kupiłam dla nas zupę. Zaraz ją sobie odgrzejemy - przemawiała już z korytarza. - A jeśli chodzi o płaszcz, to niestety, choć moja pralnia dobrała guziki, nie gwarantuje, że plama zejdzie. - Rzuciła na krzesło płaszcz z białej wełny i zniknęła w kuchni.
Bree zwlokła się z łóżka i pokuśtykała do łazienki.
- Nie wiem, jak mam ci dziękować za to wszystko, Jane - powiedziała w chwilę później, wyjmując świeżo wyprane rzeczy z torby stojącej przy łóżku.
- Chodź, zobacz, co tu jest - Jane wysypała na kołdrę zawartość drugiej torby. - Mam nadzieję, że dobrze oceniłam rozmiar. Żadne cuda, ale za to praktyczne

- powiedziała, rozkładając dżinsy i miękką różową bluzę w kwiaty. - Fajna jest, chyba też sobie taką kupię.
Bree, rozpływając się podziękowaniach, szybkim rzutem oka otaksowała szarą jedwabną bluzkę i zamszową spódnicę, podkreślające smukłą sylwetkę eleganckiej brunetki.
- Szczerze mówiąc, nie bardzo wyobrażam sobie ciebie w dżinsach, choć we wszystkim musi ci być do twarzy.
- Nie dziękuj mnie, tylko sekretarce z biura Rawl-sa. Ona to kupiła. A co do dżinsów, masz rację. Mam tylko jedną dyżurną parę. Lepiej nosić spódnice, kiedy się ma za chude uda.
- Och, przesadzasz.
- Tak myślisz? Od pięciu lat nie pokazywałam się publicznie w kostiumie kąpielowym - wyznała Jane, uwalniając stopy z pantofli z wężowej skórki i opierając smukłe, zgrabne nogi na stoliku do kawy.
Jedząc włoską zupę jarzynową plotkowały o strojach, aż wreszcie Jane zaczęła zbierać się do wyjścia.
- Rawls pewnie przesiedzi lunch w biurze, więc wróci głodny jak wilk. Pilnuj, żeby nie jadł za szybko, bo to źle wpływa na trawienie.
- Nie zostaniesz jeszcze? - spytała Bree z nadzieją. Nie miała ochoty być sama.
Pełen zrozumienia uśmiech pojawił się na wyrazistej twarzy Jane.
- Moja droga, muszę ustąpić pola innym. Słodki chłopaczek naszej kochanej Becky nareszcie ma coś pożytecznego do roboty.
Wyszła, nim Bree zdążyła zadać wszytłde pytania, które cisnęły jej się na usta. Słodki chłopaczek?

Czyżby miała na myśli Rawlsa? W takim razie Becky musi być wyjątkową kobietą.
Ciekawe... Rawls w żaden sposób nie kojarzył jej się ze słodkim brzdącem. Dziwna jest ta Jane, myślała sennie. Jeśli nawet miała do niej pretensję za nagłe przerwanie słodkiego sam na sam z Rawlsem, okazywała to w nader dziwny sposób.
Bree przespała całe popołudnie i ledwie zdążyła odświeżyć się, kiedy pojawił się Rawls.
- Jestem w łazience - zawołała, słysząc jego głos z przedpokoju.
- Znów? Widzę, że rzeczywiście nie żartowałaś mówiąc, że chcesz zalęgnąć się tam na stałe. Mój Boże, a myślałem, że raz na zawsze rozwiązałem problem zajętej łazienki, wydawszy za mąż moje cztery siostry - roześmiał się, stając w drzwiach.
Zobaczyła, że ma starannie zawiązany krawat. Elegancki, ciemny garnitur leżał nienagannie na jego zgrabnej, wyprostowanej sylwetce. Bree nie mogła się nadziwić, że mężczyzna wolny i tak przystojny zdołał się jeszcze uchować w mieście pełnym pięknych, zaborczych i swobodnych kobiet.
- Nie martw się, nie zajmuję długo łazienki - zachichotała, przygładzając wilgotną ręką niesforne włosy. - To tylko dotarcie do niej i wyjście zajmuje mi masę czasu. Chcesz zobaczyć, jak rusza się Miss Gracji? No to popatrz. - Odwróciła się ku niemu ruchem, który w założeniu miał być płynny jak u modelki, a w rzeczywistości okazał się żałosną parodią.
- Miałem rację. Masz ciało tancerki. Jak się po francusku nazywa takie baletowe *pas? La grenouille mai?* Zbolała żabka?
Zmierzyła go oburzonym spojrzeniem.

- Myślałam, że jesteś dżentelmenem. A ponadto, jak na inżyniera, coś za dobrze znasz się na ciałach tancerek.
- Moja rodzina zawsze była znana z zainteresowań artystycznych, nie wyłączając baletu - poinformował, opiekuńczo otaczając ją ramieniem. - Może zjemy dzisiaj w salonie, dobrze? - Powoli, troskliwie doprowadził Bree do kanapy i posadził wśród miękkich poduszek. - Poczekaj tutaj. Zaraz podam kolację. Mam nadzieję, że lubisz chińską kuchnię?
- Żabie udka? - zapytała, z zainteresowaniem patrząc na dziwnie wyglądające danie, które postawił przed nią w chwilę później. - Czy nie wydają ci się niestosowne?
- To nie są żabie udka, tylko kraby.
Przez chwilę jedli w milczeniu, delektując się wyrafinowanym smakiem. Rawls napełniał kieliszki białym winem. Wreszcie Bree z błogą miną odstawiła talerz.
- Mimo że nie było to danie z żaby, smakowało fantastycznie. Czy masz może moją ulubioną maślankę? - zapytała po chwili.
- Co? Kobieto, czy ty nie dbasz o linię? Pozwól, że zrobię ci teraz herbaty, a jak będziesz grzeczna, może później skoczę do sklepu i przyniosę ci tej maślanki.
Pijąc drobnymi łyczkami aromatyczny płyn, Bree wróciła do sprawy zakupów.
- Powiedz swojej miłej sekretarce, że wyślę jej czek, jak tylko wrócę do domu. I pewnie jestem coś winna gospodyni Jane, która...
- Hej, przestań być taka cholernie niezależna i pozwól, by przyjaciele wyświadczyli ci małą przysługę.

- Ale ja nie znam twojej sekretarki i prawie nie znam Jane.
- Za to Jane zna ciebie, a przynajmniej powinna, po tym, jak przez całą drogę do Memphis i z powrotem opowiadałem jej o tobie - wyznał zdejmując i tak już rozluźniony krawat. - Myślę, że zaczyna coś podejrzewać.
- Na mój temat? - Bree zakrztusiła się herbatą. - Czy opowiadałeś jej również, jak się poznaliśmy?
Rawls zaniósł naczynia do kuchni, po czym wrócił i usiadł obok niej na kanapie.
- Owszem, między innymi. Ona twierdzi, że się w tobie zakochałem.
- Dlaczego tak sądzi? - zapytała spłoszona Bree, nerwowo splatając ręce na kolanach. Rawls uspokajająco przykrył je dłońmi.
- Podobno mam wszystkie klasyczne objawy -stwierdził sucho.
- Na przykład?
Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie czekając, aż wtuli głowę w zagłębienie jego szyi.
- Na przykład takie, jak obsesyjna potrzeba wymawiania twojego imienia oraz obsesyjna potrzeba opowiadania o tym, jak wyglądasz, jak się poruszasz i jak wprowadzasz w życie swoje szalone projekty.
- One nie są szalone!
- Nie wspominając już o równie obsesyjnej myśli o rzuceniu wszystkiego w diabły i wyniesieniu się do Chattanoogi - kontynuował, nie zwracając uwagi na jej protesty.
- Nie rozumiem... - wyszeptała zaskoczona czując, jak Rawls obwodzi palcem zarys jej ucha.

- A czego oczekiwałaś? Że oznajmię ci to przy dźwięku fanfar, wśród świateł i fajerwerków? Zrozum, kochana, sam jestem tym zdumiony, bo z reguły podchodzę sceptycznie do takich spraw. Widziałem zbyt wiele związków, które zaczęły się od pięknych deklaracji, a rozsypały się jak domek z kart. W moim pokoleniu na szczęśliwe pary patrzy się z niedowierzaniem, podejrzewając, że udają albo za chwilę zaczną się kłócić jak inni.
Bree w zamyśleniu zaczęła skubać frędzel poduszki.
- Zapewne masz rację - westchnęła. - Sama jestem owocem związku, który skończył się, nim zdążył się zacząć.
- I nie znasz okoliczności twojego poczęcia?
- Nie. Matka zawsze zmieniała temat, kiedy ją o to pytałam. Kiedyś, jak byłam mała, powiedziała mi, że utkała sobie dziewczynkę na krosnach.
- To dużo ładniejsze od bajeczek o kapuście.
- Sądzę, że ten mężczyzna, kimkolwiek był, musiał ją głęboko skrzywdzić. I niekoniecznie świadomie. Może coś zaszło między nimi? Może zmarł, zanim doszło do ślubu, a może odsiaduje dożywocie. W każdym razie, mam raczej podejrzane pochodzenie.
Rawls z niedowierzaniem pokręcił głową. W obecnych czasach matka samotnie wychowująca dziecko nie wywołuje już niczyjego zdziwienia. A dwadzieścia pięć lat temu? Cóż, mogła spotkać się z potępieniem, ale…
- Twoja matka wspaniale cię wychowała, Bree. O ile zauważyłem, jedyną twoją wadą jest przesadne dążenie do wyjaśniania i porządkowania wszystkiego.
- Słowem, podświadome dążenie do wyjaśnienia swojej przeszłości, tak?
- A chcesz tego naprawdę?

Przygryzła wargi, rozważając to przez dłuższą chwilę.
- Myślę, że gdybym naprawdę chciała wiedzieć, zwróciłabym się do doktora Franka. Zawsze podejrzewałam, że on wie więcej, niż mówi.
- Franklin Kagan... gdzieś spotkałem już takie nazwisko.
- Wspominałam ci o nim, pamiętasz? - stwierdziła, wtulając się wygodniej w jego ramię.
- Zaraz, zaraz, to ono widniało na akcie darowizny, który dotyczył domu przy Milledge 94. Ten Kagan musiał być wtedy lekarzem w fabryce. Wygląda na to, że mój ojciec przekazał mu ten dom w nagrodę za lojalność i zasługi dla firmy.
- Jakie to dziwne...
- Wcale nie. Teraz też mamy w Memphis całą poliklinikę, a lekarzom przydziela się mieszkania i różnego rodzaju apanaże - na przykład akcje i obligacje pracownicze. Kaganowi musiało jednak specjalnie zależeć na tym właśnie domu, bo przecież mógł dostać coś lepszego. Może chciał tam po cichu otworzyć praktykę?
- Może, ale mnie chodziło o ten niesamowity zbieg okoliczności - że po latach poznałam ciebie, i...
- I że zakochaliśmy się w sobie, tak? - powiedział cicho.
- A naprawdę się zakochaliśmy? - zapytała, wstrzymując oddech.
Palce Rawlsa mocno splotły się z jej palcami.
- Jak myślisz?
- Jeśli o mnie chodzi, tak. Ale ja łatwo daję się oczarować.
Uścisk na moment stał się bolesny, a potem ręka mężczyzny powędrowała ku jej piersiom.

- Dzięki ci, Bree. Świetnie wiesz, jak połechtać męską próżność.
- Och, wystarczy, że robi to Jane.
- Jane jest jeszcze bardziej złośliwa od ciebie. Przecież znamy się jak stare konie. Muszę ci wyznać, że czasem bawiliśmy się w doktora, kiedy nasi rodzice spotykali się na brydżu.
- Ośmielam się twierdzić, że nadal się w to bawicie - wycedziła zjadliwie, na próżno starając się ukryć drżenie ciała, sprowokowane jego dotykiem. Mimo zapewnień Rawlsa nadal nie mogła uwierzyć, że jest w stanie konkurować z taką pięknością jak Jane Markham.
- Kotku, nie traktuj tego wszystkiego poważnie. Zrozum, gdyby naprawdę coś nas do siebie ciągnęło z Jane, już dawno bylibyśmy ze sobą. Moja mama ma uroczy zwyczaj swatania mnie ze wszystkimi córkami przyjaciół po kolei.
- Dlaczego nic z tego nie wyszło? - dociekała błądząc palcami pomiędzy guzikami jego koszuli, by znaleźć dojście do miękkiego, gęstego zarostu.
- A dlaczego tobie nic nie wyszło z tym niedowa-rzonym garncarzem?
- Chodzi ci o Billy'ego Almondsa? - prychnęła. -Po prostu trakuję go jak brata.
- Właśnie! Podobnie było z Jane. Powiedzmy, że zabrakło pewnych chemicznych przemian w naszych organizmach. A kiedy z kolei była chemia, zabrakło czegoś innego. Teraz jesteś zadowolona?
- Niezbyt - rzuciła mu kokieteryjne spojrzenie.
- Brianna - powiedział groźnie. - Obchodziłem się z tobą łagodnie ze względu na twój opłakany stan, ale nie prowokuj mnie teraz. Nie chcę być brutalny.

- Ależ bądź, proszę - wtuliła się w niego jeszcze mocniej, ciesząc się natychmiastową reakcją jego ciała. - Na razie możesz mnie trochę pouczyć, a kiedy wydobrzeję, będę już umiała się tym cieszyć.
- Nie, nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś! - zawołał i odrzucił głowę do tyłu, na oparcie kanapy, z zachwytem przymykając oczy.
- Dlaczego miałam nie powiedzieć? Przecież to się samo nasuwa - odparła, sięgając do jego paska.
Ubiegł ją i szybko go odpiął.
- Hej. z tego wszystkiego zapomniałem zapytać, czy wyjdziesz za mnie. Jak myślisz, czy mogę **o** to pytać, nie narażając twojej panieńskiej wstyd-liwości?
Bree myślała, że śni. Lekarz ostrzegał, że na skutek szoku powypadkowego mogą się pojawić koszmary.
- Nie, nie jesteś zjawą z koszmaru - uznała po chwili. - Pytaj więc.
- Brianno, nawet w najbardziej szalonych wyobrażeniach nie...
- Masz szalone wyobrażenia, Rawls? Cudownie! Ja też. Zawsze byłam dumna ze swojego rozsądku
i praktycznego podejścia do życia, a tymczasem skrycie...
- Brianna!
- O, przepraszam. Dobrze, najpierw się oświadcz, a później będziemy zgłębiać nasze rozpalone wyobraźnie.
Rawls popatrzył na nią z rozbawioną i zarazem zawiedzioną miną.
- No wiesz, myślałem, że konieczna jest odpowiednia sceneria... księżyc, zapach róż, może butelka szampana.

165
Dixie Browning
- Rawls, jeśli zamierzasz przypieczętować nasz związek, nie mamy co czekać - rzuciła niecierpliwie. Jej ręce już od dłuższej chwili prowadziły własną, żarliwą działalność.
- Brianno, czy...
- O, tak!
- ...czy mogłabyś wreszcie zamilknąć i pozwolić mi dokończyć?
- Mogłabym - odparła poważnie.
- Nie, pasuję - jęknął, sięgając po nią drżącymi rękami. Splątały się języki, zęby uderzały o siebie, niecierpliwe ręce krążyły po podnieconych ciałach.
- Kochana, jesteś pewna? Jeśli nie, wytrzymam jeszcze trochę - Rawls zdobył się na ostatni, bohaterski poryw przyzwoitości. Drobne, zręczne ręce zdzierały mu koszulę z ramion.
- To ja nie wytrzymam - Bree przylgnęła ustami do jego szyi, smakując ciepłą, gładką skórę, pulsującą gorączkowym tętnem.
Rozbierając się musiał dokonywać cudów zręczności, gdyż Bree uparcie tkwiła na swoim ukochanym miejscu u jego piersi. Tuliła się do niego z zamkniętymi oczami, bojąc się, że za chwilę zdrowy rozsądek okaże się silniejszy i zmusi ją, by otrząsnęła się.
- Mam nadzieję, że nigdy nie kochałeś się z Jane, kiedy była w tej niebieskiej koszuli - mruknęła, usiłując ściągnąć ją przez głowę. - Niezupełnie tak wyobrażałam sobie wyprawę panny młodej - dodała, niedbale zrzucając jedwabny łaszek na podłogę.
Rawls zdołał wreszcie pozbyć się ubrania bez zrzucenia Bree na dywan.
- Skoro tak zależy ci na scenerii nocy poślubnej, to może poczekasz na te wszystkie cuda z satyny

i koronek? Mogę szybko zebrać orszak ślubny, łącznie z druhną, która co prawda jest w zaawansowanej ciąży. - Objął ją i ułożył wygodnie. Przez cały czas kurczowo obejmowała go za szyję. - To będzie boleć, kochana - powiedział i wyczuła w jego głosie wahanie.
W odpowiedzi jeszcze mocniej przylgnęła do niego.
- Rawls, mam siniaki na całym ciele, ale nie czuję bólu, gdy mnie obejmujesz - wyszeptała. W głębi, na samej krawędzi świadomości, czaił się ból, ale szybko musiał ustąpić miękkiej, drażniącej fali, która błyskawicznie ogarnęła jej ciało.
Czuła wargi Rawlsa na powiekach, policzkach, a potem na ustach. Tam zatrzymały się na dłużej. Jego ręce zachłannie błądziły po jej ramionach, piersiach i brzuchu. Potem zszedł ustami niżej, ku drobnym, napiętym sutkom. Bree wygięła się w łuk, szepcąc niemal niesłyszalnie:
- Och, Rawls, kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie, wiesz?
- Bree, skarbie... - głos łamał mu się ze wzruszenia. - Nie zasłużyłem na ciebie...
Sama zaczęła kolejny pocałunek, łapczywie wpijając się w jego usta, gorliwością nadrabiając brak wprawy. Pozwalał jej na tę naukę tak długo, jak mógł.
- Kochana, jesteś pewna? - wyjąkał wreszcie.
- Nigdy niczego nie byłam tak pewna - szepnęła z przekonaniem. - Wszystko będzie dobrze, Rawls, uwierz mi.
Powoli zsunął dłonie na jej uda i gładził je czule, delikatnie, pragnąc ją przygotować. To ciało było takie drobne i bezbronne - a on trząsł się jak listek!

Bree rozsunęła uda pod jego niepewnym dotknięciem. Fala podniecenia narastała. Gwałtownie poruszyła biodrami...
- Czekaj, skarbie, nie przyśpieszaj - jęknął błagalnie i podciągnął ją pod siebie. Wytrzymał jeszcze chwilę, upajając się dręczącym wyczekiwaniem, a potem zaczął się poruszać - najpierw powoli, na samej krawędzi tajemnicy, a potem coraz głębiej i głębiej, aż z ust Bree wyrwał się niezrozumiały okrzyk.
- Tak, tak, kochana, jeszcze... aach!
Świat zawirował wokół Bree. Opadła bezsilnie, rozrzuciwszy ramiona, zdolna tylko ostatkiem tchu powtarzać jego imię. Czuła każdy poryw potężnych sił, targających tym twardym, silnym ciałem, które trzymało ją w uścisku, a w tej jednej chwili stało się na zawsze częścią jej samej.
- Bree, moja kochana... Jak się czujesz? - wyszeptał, kiedy oszalały świat wrócił wreszcie na swoją orbitę.
Zmęczonym ruchem uniosła głowę i pocałowała go w mokry, kłujący od zarostu podbródek.
- Dlaczego nikt mi nie mówił, że to jest takie cudowne? Rawls, w najśmielszych marzeniach nie... -głos jej zadrżał i szybko wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia, zadowalając się pełnym zachwytu mruczeniem.
- Ja też nawet sobie nie wyobrażałem, skarbie.
- Ale nie mogę znieść myśli o tobie i tamtych wszystkich kobietach.
- Więc nie myśl o nich. Nie musisz. Z żadną z nich nie przeżyłem tego, co z tobą. To się po prostu nie da porównać. A wiesz, dlaczego? Bo się kochamy.

- Kochany, nie dziw się, że zaraz się rozpłaczę... albo zacznę śmiać. Rozsadzają mnie jakieś... szalone emocje.
Zaśmiał się cicho i mocniej przyciągnął ją do siebie. Wilgotne, gorące ciała trwały splecione w uścisku.
- Płacz, jeśli tylko chcesz, kochana. Kto wie, może będę płakał z tobą. Sam jestem dziwnie roz-kojarzony. Tak się bałem. Wiesz - twój pierwszy raz, i w ogóle. Na pewno nie wyrządziłem ci krzywdy?
- Nie, Rawls. A to było zapewne jeszcze wspanialsze, niż mi się wydawało - wyznała szczerze. - Wydawało mi się, że wybuchają fajerwerki, chciałam się nimi nacieszyć, ale zanim zdążyłam, opadły na ziemię.
Ku jej zdumieniu zaczął się śmiać, radośnie i głośno.
- Kobieto, doprowadzisz mnie do ruiny - wykrztusił wreszcie. - Boli cię teraz? - Potrząsnęła głową. -To dobrze, bo będziemy próbowali poprawić twoje pierwsze wrażenie.
- Chcesz powiedzieć, że może być lepiej?
- Ależ tak, kotku, może być o wiele, wiele lepiej. Najpierw jednak musisz wydobrzeć. Na razie zapisuję ci ciepłą kąpiel i długi sen.
- Z tobą?
- Co ze mną? - droczył się wstając, lecz nie wypuszczając jej z ramion. - Kąpiel czy sen?
- A mogę dostać i jedno, i drugie?
- Mam małą wannę - ostrzegł niosąc ją do łazienki.
Szare światło lutowego poranka przesączało się przez zasłony, kiedy Rawls obudził się i napotkał uważne, ciepłe spojrzenie zielonych oczu. Płomień

pożądania, który zdążył przygasnąć po nocy miłości, natychmiast rozpalił się na nowo.
- Dzień dobry, najukochańsza. Jak spałaś?
- Fantastycznie, tylko twarz mam obolałą. Chyba przez całą noc musiałam się uśmiechać.
- Nie nadawałabyś się na tajną agentkę, kotku. Nie umiałabyś dochować tajemnicy, nawet gdyby twoje życie od tego zależało.
- To straszne. Sądzisz, że wszyscy od razu się do-myślą? W takim razie musimy trenować, żebym jak najszybciej stała się kobietą doświadczoną. Ile mi to zajmie czasu?
- Och, dziesięć, może dwadzieścia lat. Popracujemy nad tym - zaśmiał się, czule muskając ustami jej włosy.
- Teraz? - zapytała Bree, rozpoczynając ręką wędrówkę po ciele Rawlsa.
- O Boże, jesteś nienasycona! - jęknął. - Jak mężczyzna może zarobić na utrzymanie rodziny, kiedy ma szansę pojawić się w biurze dopiero w południe?
- Musisz iść dzisiaj do biura?
- Nie tylko ja muszę iść, moja swawolna przyjaciółko. Ty też będziesz musiała wyjść z łóżka i przeprosić się z ubraniem. Jutro złoży ci wizytę moja matka.
Bree gwałtownie usiadła na łóżku.
- Czy ja dobrze słyszę? Twoja matka chce mnie poznać?
Rawls usiadł naprzeciwko niej.
- Jeśli mamy rozmawiać poważnie, muszę zachować dystans - wyjaśnił. - Moje ciało ma swoje własne pomysły. A więc chciałem ci powiedzieć, skarbie, że wczoraj dzwoniłem do Memphis i powiedziałem, że

żenię się, jak tylko skończę załatwiać sprawy Partridge Textiles. Matka jest teraz w trakcie negocjacji na temat sprzedaży całej firmy, ale powiedziała, że rzuci wszystko i przyjedzie.
- Zaraz, ale wczoraj wcale mi się nie oświadczyłeś. Skąd mam wiedzieć, że chcesz się ze mną ożenić?
- I tak musisz - stwierdził z prostotą.
Bree, ogarnięta nagłą niepewnością, wpatrzyła się w opaloną, przystojną twarz i ciemne, pełne wyrazu oczy. Czy możliwe jest, że tak piękne stworzenie będzie miała tylko dla siebie? Rawls był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu, a na dodatek Jane potwierdziła jej obawy, że należał do elity, z którą nie śmiała się nawet porównywać.
- Bree, co się stało? Dlaczego tak patrzysz? - spytał z niepokojem.
- Rawls, dla mnie to za duże tempo - rzekła poważnie. -Ja... nawet jeszcze nie przywykłam do... tego wszystkiego, a tymczasem przyjedża twoja matka, płaszcz nie wrócił jeszcze z pralni, i...
- Nie rozumiem, co to wszystko ma ze sobą wspólnego?
Cierpliwie zaczęła tłumaczyć po raz drugi.
- Posłuchaj, nie chodzi o to, że wstydzę się swojego pochodzenia, ale...
- Mam nadzieję, że nie będziesz zwracać uwagi na takie idiotyzmy - warknął z irytacją, wstając z łóżka i podchodząc do szafy. - Moja matka nie jest snobką!
- Jednym słowem, łaskawie pozwoli mi wejść do rodziny?
- Jednym słowem, mówisz kompletne bzdury! Dlaczego mi to robisz, Bree? Myślałem, że nie ma między nami żadnych nieporozumień.

- Jeśli myślisz, że będziesz mnie pokazywał swojej matce, jak ulicznego kota, który schronił się tu przed deszczem, a ona zacznie się zastanawiać, czy...
Jednym krokiem znalazł się przy niej, ciskając na podłogę trzymane w ręku koszule. Kiedy brał ją w ramiona, zobaczyła, że na policzkach ma wypieki.
- Bree, ja cię kocham, zrozum to wreszcie! Gdybym znalazł cię w pojemniku na śmieci, też bym cię kochał - i nikt ani nic tego nie zmieni. Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że będę się przejmować twoim ojcem, za którego nie dałbym złamanego grosza? Wystarczy mi mój. Czasami żałuję, że go w ogóle miałem. Robił wszystko, żeby mnie poniżyć - zaczynając od odmówienia prawa do nazwiska, które nosił jego dziadek i ojciec.
- Rawls, wybacz, nie wiedziałam - szepnęła, przejęta jego bolesnym wyznaniem. Nie podejrzewała, że ciemne oczy mogą być tak nieprzeniknione. - Tak mi przykro, kochany. Ale uważam, że nie jest ci potrzebne nazwisko ojca. Udowodniłeś wszystkim, że wystarczy ci własne. Ja też potrzebuję takiej szansy, być może z podobnych względów.
- Potrzebujesz mnie - rzekł oschle. Coś w wyrazie jego twarzy powiedziało jej, że pożałował swojego gorzkiego wyznania. Śmiało spojrzała mu w oczy.
- Rawls, jeśli nawet, jak mówisz, moja przeszłość nie jest ważna, i tak nie mogę spotkać się z twoją matką, dopóki nie uporządkuję swoich spraw. Z przerażeniem myślę o sklepie, a przecież jest jeszcze dom. Chcę go jak najszybciej sprzedać. Muszę mieć pieniądze - może zainwestuję je w sklep w Atlancie, a może w nasz wspólny dom. W każdym razie, nie chcę przychodzić do ciebie z pustymi rękami.

Rawls wpatrzył się w jej przejętą twarzyczkę, poruszony żarliwym, błagalnym wyrazem wielkich oczu. Wzruszenie ścisnęło mu gardło.
- Tym razem zwyciężyłaś, kochanie - powiedział cicho. - Przynajmniej na razie. Czy wystarczy ci tydzień?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W południowo-wschodniej części Tennessee wyraźnie zbliżała się wiosna. Bree straciła trzy handlowe dni i miała wyrzuty sumienia wobec dostawców, którzy przeważnie, tak jak ona, byli bez grosza.

Rawls odwiózł ją do domu i został na noc.

- Kochana, mam już dosyć kursowania pomiędzy Chattanoogą a Atlantą - oświadczył przy śniadaniu. - Znam już każdą trawkę przy autostradzie. Będziemy musieli się zdecydować - albo zamykasz butik i przeprowadzasz się do mnie, albo ja przenoszę biuro tutaj.

W nocy prawie nie spali. Rawls pomagał Bree zdobywać doświadczenie.

- Muszę poznać wszystko do nocy poślubnej, żebym wiedziała, jak się nią cieszyć - stwierdziła z determinacją.

- Mmm, to znakomity pomysł - mruknął, pocierając nosem o jej szyję. - Oby tylko wystarczyło mi sił.

Pożegnania trwały jeszcze dłużej niż śniadanie. Bree była bliska łez, kiedy patrzyła, jak jego samochód znika za rogiem.

Telefon do pośrednika z agencji nieruchomości wyraźnie poprawił jej humor. Aktualni kandydaci do wynajęcia domu przy Milledge Road nie byli zainteresowani kupnem, ale agencja skłonna była przejąć od niej dom po korzystnej cenie. Bree nie posiadała się

z radości. Rawls powiedział jej, że ma dużą, leśną działkę na północ od Atlanty i jest w stanie wybudować dla niej wszystko, co sobie tylko zamarzy. W związku z tym całą sumę ze sprzedaży domu matki będzie mogła przeznaczyć na nowy sklep.
Najpierw jednak musiała znaleźć akt własności. W pudłach z rzeczami po Annie panował kompletny bałagan. Bree odłożyła całą stertę starych katalogów z artykułami na temat tkactwa i dziesiątki pożółkłych wycinków prasowych z różnych wystaw i konkursów. Jeden z nich szczególnie ją zainteresował, bowiem dotyczył wystawy, na której Anna zdobyła pierwszą nagrodę - wystawy sponsorowanej przez Partridge Textiles.
Usiadła po turecku na podłodze i uważnie wczytała się w artykuł sprzed lat, po raz kolejny rozmyślając nad dziwnym zrządzeniem losu, który zetknął ją z synem Briana Partridge'a. Po zastanowieniu uznała jednak, że ich spotkanie wcale nie musiało być przypadkowe. Przecież praktycznie urodziła się, wychowała i mieszkała w cieniu tej fabryki. Można by nawet uznać, że tylko dziwnym trafem ona i Rawls nie spotkali się wcześniej.
Było też słabe, gazetowe zdjęcie Anny, odbierającej nagrodę z rąk ojca Rawlsa. Przyjrzała mu się dokładniej. Czyżby tym małym chłopcem, stojącym w tle, był Rawls? Chyba nie. To dziecko miało jasne włosy. Zresztą nie przypominało wcale tego krępego, potężnie zbudowanego mężczyzny.
Bree z łatwością dopatrzyła się w twarzy Briana Partridge'a Smitha III zimnego, bezdusznego wyrazu, o którym mówił Rawls, i zastanawiała się, jaka może być jego matka. Z zawstydzeniem stwierdziła, że czuje ulgę na myśl, iż nie będzie musiała być przedsta-

wioną temu aroganckiemu typowi. Perspektywa spotkania z Rebeccą Smith też napawała ją lękiem. Rawls był przecież jej jedynym synem, jej słodkim chłopaczkiem, którego ciągle usiłowała wyswatać z córkami najlepszych rodzin w Memphis.
Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer doktora Kagana.
- Rosa, nareszcie! Tu mówi Bree. Jak tam było na Alasce?
Wysłuchała, jak było wspaniale, jakie cudowne było jedzenie, jakie ładne lodowce - i jak bardzo Frank tęsknił za Florydą.
- Dla mnie Alaska jest naprawdę piękna, wiesz? Szkoda, że nie mogliśmy dotrzeć dalej na północ. Mówiono nam, że przyjechaliśmy w złej porze roku. Pod koniec Frank tak narzekał, że dla świętego spokoju zgodziłam się na tę Florydę. Nie wiedziałam, że wypuszczam dżina z butelki. W Miami tak było Frankowi dobrze, że wcale nie chciał wracać! Mógłby przez cały czas siedzieć w porcie i patrzeć na jachty. Mało, kiedy dowiedział się, że poszukują lekarzy na rejsy, złożył ofertę i czeka, aż zostanie lekarzem pokładowym. W jego wieku, wyobrażasz sobie? Mam nadzieję, że zorientuje się, że nikt go nie weźmie, i szybko wróci.
- A widzisz? Przez całe życie marzyłaś o wspólnych wakacjach. Teraz wiesz, co cię ominęło - zachichotała Bree i sama z kolei opowiedziała Rosie o planach sprzedaży domu i zainwestowania w nowy sklep. - Najpierw muszę jednak znaleźć odpowiednie papiery. Nota bene, nie wiedziałam, że początkowo dom należał do was.
Odpowiedziała jej przedłużająca się cisza w słuchawce.

- Skąd to wiesz, na Boga? - wyjąkała w końcu Rosa. - Słuchaj, wydaje mi się, że ktoś puka do drzwi, pewnie sąsiadka. Może wpadniesz kiedyś do nas, kochanie? - dodała szybko.
- Rosa, poczekaj chwilę. Powiedz mi, kiedy twój mąż wraca?
- Dziecko, nie mam pojęcia. Może pod koniec tygodnia.
- Lepiej niech się pośpieszy! Wychodzę za mąż, jak tylko zlikwiduję swoje tutejsze sprawy i nie wyobrażam sobie ślubu bez was!
- Ślub? Naprawdę?
- Och, Rosa, on jest taki cudowny. Spodoba ci się. To inżynier z Atlanty. Taki przystojny i miły, i...
- Jednym słowem, kochasz go - podsumowała starsza pani. - Och, Bree, jeszcze nie tak dawno byłaś malutka i bujałam cię na huśtawce, a teraz jesteś dorosła i wychodzisz za mąż. Mój Boże, jak ten czas leci...
Bywa jednak, że czas wlecze się nieznośnie. Teraz, kiedy definitywnie już postanowiła opuścić Chatta-noogę, nie mogła się doczekać, kiedy załatwi swoje sprawy. Rawls dzwonił rano i wieczorem, a dźwięk jego głosu budził w Bree dojmujące pragnienie znalezienia się przy nim.
- Kochanie, załatwiłem już ślub. Myślę, że w weekend moglibyśmy kupić obrączki. Oczywiście, jeśli będziesz miała czas, bo wiem, że jesteś bardzo zajęta.
- U ciebie czy u mnie? - zapytała rzeczowo Bree, pocierając bosą stopą o swędzącą bliznę na łydce. -Słuchaj, powiedziałam dzisiaj Ebbenowi Wilcoxowi, że nie odnowię umowy wynajmu i zwijam interes. I wiesz, co odpowiedział? Że bardzo dobrze się skła-

da, bo jego żona chce tam otworzyć butik! W moim sklepie, wyobrażasz sobie? Naprawdę, cieszę się, że nie będę już musiała oglądać tego miasta. Chyba pokocham Atlantę.
- A ja pokocham się z tobą.
Głęboki, pełen podniecającej obietnicy ton jego głosu wprawił Bree w rozkoszny błogostan. Odłożywszy słuchawkę, siedziała jeszcze chwilę z zamkniętymi oczami, sycąc się miłością jak płynnym miodem, wypełniającym wszystkie zakamarki jej duszy. Z trudnością zmusiła się do myśli o jutrzejszym dniu. Umówiła się w agencji na spisanie umowy o sprzedaży, a tymczasem nie znalazła jeszcze aktu własności. Może uda się go odnaleźć w archiwum miejskim i zrobić odpis. Pamiętała wprawdzie, że Rawls wyrażał się sceptycznie o tej metodzie poszukiwań, ale musiała spróbować. Nie miała po prostu innego wyjścia.
Odszukanie dokumentu okazało się mniej skomplikowane, niż sądziła. Zgodnie z instrukcjami archiwisty, umiejscowiła posesję na mapie hipotecznej, gdzie wyszczególniony był numer księgi i strony. Reszta była już dziecinnie prosta.
W niecałą godzinę później szła ulicą w bladych promieniach słońca, pełna niepokojących przeczuć. Jeszcze raz powtórzyła sobie w myślach, czego się dowiedziała. Dom przy Milledge 94 został scedowany przez Briana Partridge'a Smitha na Franklina Kaga-na. Sądząc z daty, było to w tydzień po jej urodzeniu. W dwa dni później ta sama nieruchomość została scedowana przez Franklina Kagana na Annę Sutton Fields.
Doktor Frank - jej ojcem?
Nie, to niedorzeczne. Odkąd pamięta, towarzyszył

jej i Annie jako najlepszy przyjaciel domu. Los nie mógłby być aż tak przewrotny. Ale jeśli nie Frank, to kto? - myślała gorączkowo, wchodząc do mieszkania.
Rzuciła torebkę na łóżko i nerwowo sięgnęła po słuchawkę. Szybko wykręciła numer i długo czekała, aż ktoś się zgłosi, wpatrując się w barwny mozaikowy kolaż, zdobiący ścianę.
- Rosa? Proszę, odpowiedz tylko tak albo nie. Czy Brian Partridge Smith był moim ojcem?
Najpierw odpowiedziała jej martwa cisza, a potem słaby dźwięk, podobny do szlochu.
- Och, i tego się dowiedziałaś? Ale jak, przecież Frank dał słowo. Zresztą Brian już nie żyje, tak jak i Anna. Nie ma sensu wracać do tamtych spraw, wierz mi, Bree.
Bree usiadła na kanapie, nawet nie wiedząc, że to robi.
- Jesteś tam? Kochana, dobrze się czujesz? Brian był porządnym człowiekiem, Brianno. Musisz to zrozumieć. Oczywiście wtedy dałabym wszystko, żeby ta historia się nie wydarzyła, ale wtedy nie byłoby ciebie na świecie. A Frank i ja nie mielibyśmy tej radości obserwowania, jak się rozwijasz i wyrastasz na wspaniałą kobietę. Bree, dziecko, powiedz coś!
Musiała chyba wydać jakiś dźwięk, gdyż Rosa, chwilowo uspokojona, ciągnęła dalej. Jednak tylko mała cząstka otumanionego mózgu Bree kojarzyła, co mówi ten zatroskany głos.
- ... w domu żona i dzieci, a on był w kompletnej rozpaczy. Frank zupełnie nie mógł się z nim dogadać. Wiesz, oni byli razem w szkole.
Bree niepostrzeżenie dla siebie samej zerwała się na nogi i zaczęła chodzić wielkimi krokami po poko-

ju, ciągnąc za sobą długi przewód. Lekko nosowy głos Rosy ciągle brzęczał w słuchawce.
- W każdym razie wszystko zostało zaaranżowane. Brian przysłał ją do szpitala Franka, żeby tam urodziła. Następnego dnia po twoim przyjściu na świat załatwił ten dom i stworzył specjalny fundusz, przeznaczony na podatki i opłaty. Anna nie chciała wziąć ani centa, ale Frank przekonał ją, żeby ze względu na twoje dobro zgodziła się przyjąć ten dom. To Frank dysponował pieniędzmi i płacił podatki. Sama przecież wiesz, że Anna przypominała bezradne dziecko.
Wreszcie potok słów urwał się i Bree odłożyła słuchawkę. Bezgłośne łkanie dławiło jej gardło. Znów zaczęła krążyć po pokoju, jak schwytane w pułapkę zwierzę.
- Nie - jęknęła. - Nie, o Boże, nie! Tylko nie to... Nagle znalazła się przy oknie i popatrzyła niewidzącym wzrokiem na szybę. W szarej jak popiół twarzy oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Brianna, pomyślała gorzko. Nawet jej własne imię miało w sobie bolesną aluzję. A miało być imieniem celtyckiej księżniczki z jej dziecinnych marzeń!
Brian i Anna. Jest ich dzieckiem. Jej ojciec był żonatym człowiekiem. Miał dom, kochającą żonę, dzieci i uwiódł naiwną młodą dziewczynę, a potem zostawił ją samą z dzieckiem.
Boże, wolałaby nigdy nie dowiedzieć się prawdy! Lepiej, żeby na zawsze zachowała wyobrażenie szlachetnego nieznajomego bez twarzy, który w jakichś mgliście romantycznych okolicznościach zmuszony był rozstać się z kobietą i dzieckiem, które kochał nad życie.
Tymczasem ojciec okazał się obrzydliwym flir-

ciarzem, bezdusznym człowiekiem, który wyrzekł się własnego dziecka zaraz po jego urodzeniu. O, tak, człowiek pokroju Briana Partridgea mógł bez skrupułów wykorzystać dobroć i naiwność kobiety takiej jak Anna, a potem uspokoić własne sumienie, oddając ją w ręce lekarza i przydzielając nędzny dom z dożywotnią jałmużną. I nie zainteresował się nawet, co się dzieje z dzieckiem, które mu urodziła. Teraz rozumiała dokładnie smutek Anny, jej wymijające odpowiedzi, kiedy pytała matkę o swojego ojca.
Taki człowiek był jej ojcem. Taki człowiek był ojcem Rawlsa. Rawlsa?!
To znaczy, że Rawls jest...
Nagle wydało jej się, że od podłogi podpełza ku jej stopom lodowata mgła, oplata nogi i sięga coraz wyżej, zaciskając się wreszcie na sercu. Bree opadła na krzesło stojące u okna i siedziała tam, aż nastał zmierzch i zapaliły się uliczne latarnie. Dopiero wtedy odzyskała zdolność ruchu.
Minęły trzy dni. Leżała na łóżku w obskurnym motelowym pokoiku, wpatrując się w popękany sufit. Nie wiedziała, w jakim jest mieście, ani nawet, jaki to stan. Była tak zmęczona, że padła na łóżko nie rozbierając się, i teraz czuła się nieznośnie wymięta i brudna.
Numer na aparacie telefonicznym przy łóżku nie pozwalał domyślić się lokalizacji motelu. Zepsuty telewizor był tylko bezdusznym, milczącym pudłem. W nagłym odruchu sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer recepcji.
- Jakie jest dokładne położenie waszego motelu?
- Przy autostradzie 1-75, zjazd na...

- Nie, nie, wiem, jak tu dojechać. Chcę tylko wiedzieć...
- Domyślam się, że pani wie, skoro tu przyjechała. O co właściwie pani chodzi?
Bree z wysiłkiem próbowała się skupić.
- Chciałam po prostu zapytać - wyjaśniła cierpliwie - jak nazywa się najbliższe miasto i jak jest daleko?
- Sublimity City, o kilka mil stąd.
Bree ogarnął nagle wisielczy humor. Sublimity City? „Wspaniałe Miasto". Cóż to za dziura?
- Z większych są jeszcze Corbin i Berea. A jeśli chce pani jechać płatną autostradą, to jeszcze Hazard.
Boże, była aż w Kentucky! Jak długo więc musiała jechać?
- Gdyby pani ruszyła teraz, pod wieczór zajechałaby pani do Cincinnati. Mogę tam coś dla pani zarezerwować.
- Nie, dziękuję bardzo - mruknęła do brudnej, poznaczonej śladami palców słuchawki.
Cały poprzedni dzień spędziła w drodze, w podróży bez planu i sensu, błądząc lokalnymi szosami, które wybierała na chybił trafił. Często kończyły się w środku prerii, przechodząc w zapylone drogi, którymi przepędzano bydło. Wówczas zawracała i jechała dalej, przecinając własne tropy. Kiedy była już zbyt zmęczona, by prowadzić, cudem znalazła ten nędzny motel. Pamiętała jeszcze jak przez mgłę, że wcześniej wjechała w wielkie, dzikie lasy któregoś z parków narodowych - ale którego? Nie przypominał wcale znanego jej Cherookee Forest czy Nantahala. Pod telewizorem znalazła postrzępione foldery i zrozumiała, że nawet nie wiedząc o tym, zwiedziła rezerwat leśny

imienia słynnego trapera Daniela Boonea. Kto wie, być może kroczyła jego szlakiem, kiedy wysiadła z samochodu i zagłębiła się w las, idąc całymi kilometrami jak we śnie.
A może to było przedwczoraj? Ile razy siadywała na zimnych kamieniach, wpatrując się w szemrzące strumyki? Prawdziwy cud, że nie zabłądziła, nie przeziębiła się i nie nabawiła niestrawności. Żywiła się bowiem wyłącznie batonikami i napojami, które kupowała w automatach na stacjach benzynowych.
- Najwyższy czas, żebyś przestała już się umartwiać - powiedziała do bladej, wymizerowanej twarzy w lustrze. Ucieczka od problemów nie rozwiąże niczego. Ani też powrót. Niewiele jednak pozostawało jej możliwości. Jedno było pewne, musi wziąć się w garść. W Chattanoodze spaliła za sobą zbyt wiele mostów. Nastał czas, by zacząć budować nowe.
Rawls rzucił w duchu wiązankę najgorszych przekleństw, po czym podjął ostatnią próbę.
- Niech pani posłucha, przecież ona musiała komuś powiedzieć, gdzie jedzie! Prędzej czy później będzie się musiała skontaktować z wami w sprawie sprzedaży tego cholernego domu. Chcę tylko, żeby pani mnie o tym natychmiast zawiadomiła! To przynajmniej może pani dla mnie zrobić?
Urzędniczka agencji handlu nieruchomościami uśmiechnęła się zgryźliwie, podziwiając swoje świeżo polakierowane paznokcie. Faceta, który jest tak natarczywy jak ten, należy natychmiast spławić. Dwa rozwody i kłopoty z córką, której chłopak zamieszany był w jakieś podejrzane sprawki, nauczyły ją czujności wobec mężczyzn, którzy działali z taką determinacją.

- Może pan sobie prosić, o co się panu żywnie podoba, panie Smith - warknęła. Smith. Nazwisko, jakich tysiące. Pewnie chciał ukryć prawdziwe. Czuła, że za wszelką cenę należy chronić prywatność tej klientki.
- Dobrze, to proszę jej jedynie powiedzieć, żeby zadzwoniła do mnie. Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko w porządku - wyjaśnił zrezygnowany. Bez większej nadziei podał telefon do biura i do domu. Gdyby tylko znalazł się w cztery oczy z tą potworną babą, udusiłby ją gołymi rękami! Zapominając, że niedawno zainstalował najnowszy system łączności biurowej, po prostu wrzasnął na sekretarkę, by przyszła do niego natychmiast.
- Lina! Zdobądź mi książki telefoniczne Chatta-noogi, Gatlinburga i... - Do diabła, gdzie mieszka ten garncarz? - I jeszcze Spruce Pine, w Północnej Karolinie!
Nie wiedział nawet dokładnie, kogo ma szukać. Liczył na łaskawy los, który skieruje jego palec na właściwe nazwisko. Dwa razy dzwonił do doktora Kaga-na, lecz nikt nie odpowiadał. Co prawda Bree mówiła, że staruszek pojechał gdzieś na wakacje. Z ironicznym uśmiechem pomyślał, że zabawiłby się nawet w wywoływanie duchów, gdyby talerzyk był w stanie wskazać mu właściwe numery!
Jakimś cudem sekretarce udało się szybko zdobyć spisy numerów. Rawls podwinął rękawy koszuli i na pierwszy ogień wziął książkę Gatlinburga, obiecując sobie, że jeśli przeżyje ten koszmar, podwyższy dziewczynie pensję.
Aaron, Abahazy, Abbott, Abbott... niech tó szlag trafi, nie znajdę nawet przez miesiąc, mruknął wściekle. Usiłował sobie przypomnieć wszystkie rozmowy

z Bree. Kilka razy wspominała o swoich dostawcach. Widział także ich nazwiska na fakturach, kiedy pomagał jej w inwentaryzacji. Zapamiętał tkaczkę z Gatlinburga o nazwisku Redd. Po chwili skojarzył, że była to kobieta, przez którą Bree miała wypadek.
Szybko zadzwonił do szpitala, ale powiedziano mu, że pani Redd została już wypisana. W żadnym wypadku nie mogą podać adresu pacjenta, gdyż zabrania tego regulamin.
Znów zaczął wertować spisy w nadziei znalezienia numeru, kiedy do pokoju zajrzała Lina Stevens.
- Wykręciłam numer doktora i zgłosiła się jego żona. Czy...
Rawls błyskawicznie sięgnął po słuchawkę, błogosławiąc w myślach nieocenioną dziewczynę, która tak bezinteresownie mu pomagała, nie pytając nawet, o co chodzi. Podejrzewał, że zadziałał tu kobiecy instynkt.
- Pani Kagan? - zapytał niecierpliwie, rezygnując z uprzejmych wstępów. - Tu Rawls Smith. Poszukuję Brianny Fields. Czy może mi pani pomóc?
W słuchawce zapadła pełna napięcia cisza, postanowił więc nie nalegać.
- Cóż, panie Rawsmith... - zaczęła z wahaniem. Nie poprawił jej. Na to będzie czas później. - Rozmawiałam z nią kilka dni temu. Nie wspominała, że wyjeżdża z miasta, ale mówiła, że niedługo wychodzi za mąż za kogoś z Atlanty.
- Zgadza się, pani Kagan. Mieliśmy zamiar wziąć ślub, jak tylko... - czujność ostrzegła go w porę przed dokończeniem zdania. Kiedy kobieta ucieka od swojego narzeczonego, można podejrzewać, że zaręczyny zostały zerwane. - Wspominała mi, że musi jeszcze załatwić pewne sprawy w związku ze

sklepem, i może dlatego musiała wyjechać. Ja... po prostu martwię się, czy się coś nie stało, bo długo jej nie ma. Czy nie wydawała się pani zdenerwowana?
- A pan się z nią potem nie kontaktował? Ostrożnie, chłopie. To twoje najlepsze źródło informacji i niedobrze byłoby je stracić.
- No właśnie, tak się złożyło, że również musiałem wyjechać z miasta. Pani rozumie, podobnie jak ona musiałem załatwić przed ślubem parę spraw.
- Tak, tak, miesiąc miodowy i tak dalej. Muszę panu powiedzieć, panie Rawsmith, że jeśli prawdą jest to, co Bree mówiła o panu, musi pan być kimś wyjątkowym. Jest kilka spraw, o których powinien pan wiedzieć, ale myślę, że lepiej będzie, kiedy usłyszy pan o nich od samej Bree albo przynajmniej od mojego męża, Franka. Proszę zadzwonić wieczorem, powinien już być w domu.
Rawls odłożył słuchawkę i znów zaklął dosadnie. Trudno, nie ma innego wyjścia, musi czekać do wieczora. Boże, a jeśli ona w tym czasie...
- Wzywałeś mnie, Rawls? - dobiegł go wzmocniony przez interkom głos Liny.
- Wyjeżdżam do Chattanoogi. Zadzwonię stamtąd.
- Co mam zrobić, jeśli panna Fields się odezwie? Rawls zmęczonym ruchem opadł z powrotem na fotel i oparł głowę na rękach.
- Nie wiem, Lina. Kiedy wrócę, pojadę do siebie. Może wreszcie się prześpię. Odrobina snu powinna rozjaśnić mi umysł.
Od dwóch dni prawie nie zmrużył oka. Na zmianę, to wydzwaniał do Bree w godzinach otwarcia sklepu, to do późnej nocy czekał na jej telefon. Niestety, zniknęła jak przysłowiowy kamień w wodę.

Jazda do Chattanoogi dłużyła mu się w nieskończoność. Kiedy wreszcie dotarł na miejsce, stracił nadzieję, że czegokolwiek się dowie. Podjechał pod sklep Bree, wyjął klucz ze schowka za obluzowaną cegłą i przeszukał całe mieszkanie, licząc, że znajdzie coś, co naprowadzi go na trop. Niestety, nie potrafił nawet stwierdzić, czy czegoś brakuje. Zbyt słabo znał garderobę Bree, by ocenić, czy zabrała rzeczy na dłuższy pobyt. W kuchni stał na wpół opróżniony kartonik maślanki, a w lodówce, oprócz normalnych zapasów, leżała torebka z kiełkami. Nic nie wskazywało na to, by Bree świadomie wyniosła się z domu na dłużej.
Był już bliski zawiadomienia policji, ale uznał, że lepiej będzie wracać, na wypadek, gdyby Bree miała dzwonić do niego, do Atlanty. Wsiadł do samochodu i ruszył na południe. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Bree świadomie go unika.
Jednak każde inne wyjaśnienie napawało go przerażeniem. Zdążył obdzwonić wszystkie szpitale, a nawet, o zgrozo - kostnice. Wreszcie zdecydował się zawiadomić policję, lecz informację o niedawno zaginionej narzeczonej wyraźnie zlekceważono.
Zgnębiony siedział przy biurku, bezmyślnie przerzucając papiery. W końcu wstał, wspierając się ciężko na rękach. Doszedł do wniosku, że musi się wreszcie trochę przespać. Może solidna porcja whisky pozwoli mu wyłączyć się choć na kilka godzin.
Kilka razy wykręcał numer doktora Kagana, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Wreszcie po północy zasnął z głową przy telefonie.
Następnego dnia rano przyszedł list. Na tandetnej kopercie firmowej z nieznanego mu motelu rozpo-

znał znajome pismo. Rozerwał ją, mając uczucie, że rozrywa własne ciało.
„Rawls" - głosił nagłówek. Nie „kochany" ani nie „najdroższy". Boleśnie przygryzł wargi.
„Nie próbuj mnie szukać w tym miejscu, bo już mnie tu nie ma. Nie próbuj w ogóle mnie szukać. To nie ma sensu. Nie mogę ci nawet powiedzieć, dlaczego. Po prostu wiedz, że cię kocham. Nikogo tak nie kochałam i nigdy nie pokocham. Rawls, chcę, żebyś był szczęśliwy. Jane jest taka miła i ładna. Myślę, że mógłbyś ją pokochać, gdybyś tylko zechciał. Na pewno byłaby cudowną żoną. Każdy kogoś potrzebuje."
List podpisany był tylko imieniem. Rawls przetarł piękące oczy i przeczytał go jeszcze raz, bezsilnie zaciskając pięści.
- Lindo, czy jesteś pewna, że Henry nie będzie ci miał tego za złe? Może będzie lepiej, jeśli...
- Cicho bądź i słuchaj. Jestem ci winna więcej, niż mogę zrobić. Przyjeżdżasz do nas, a my z Herbertem pojedziemy do Chattanoogi i przywieziemy twoje rzeczy. Wiesz przecież, że mam wolny ten duży pokój. Będziesz miała u nas dobrze. Przez całe lato przyjeżdża tu mnóstwo turystów i jest zbyt na rzeczy z drewna.
- Lindo, zastanów się jeszcze. Mam mnóstwo gratów, chociaż wszystko, co brałam w komis, oddałam z powrotem.
- Nie martw się, kochana. Przechowuję krosna Anny, to mogę przechować rzeczy jej córki. Bardzo się cieszymy, że u nas będziesz.
Bree podjęła świadomą decyzję zamknięcia tego bolesnego rozdziału swojego życia. Czas może kiedyś

uleczy rany - a cała historia nauczyła ją bardzo wiele. To też się liczy. Teraz, kiedy znalazła się na łasce przyjaciół i musiała zaczynać wszystko od nowa, nie mogła sobie pozwolić na rozpacz.
Kichając odłożyła słuchawkę i przeliczyła pieniądze, które pozostały jej po szalonym rajdzie. Była okropnie rozrzutna. Jedynym ratunkiem było porozumienie się z agencją. Może uda się ich zmusić, by przyśpieszyli sprzedaż domu.
Znów kichnęła. Co za idiotka! Nie dość, że głupio przepuściła pieniądze, to jeszcze zrujnowała sobie zdrowie, nie dosypiając i jedząc te wszystkie świństwa z automatów. Przesiadywanie na lodowatej ziemi w lasach też wyraźnie zaczęło dawać znać o sobie. Zapowiadało się, że wyląduje u Lindy i Herberta z ciężkim przeziębieniem. Chora i słaba będzie miała małe szanse, by utrzymać Herberta na dystans. Ale co mogła zrobić? Nie miała gdzie się podziać.
Rawls, nieprzytomny po paru godzinach niespokojnego snu, stał pod lodowatym prysznicem czekając, aż wróci mu jasność myśli. Brak snu w połączeniu z kacem to koszmar. Do licha, powinien mieć więcej rozumu! Wczoraj wieczorem dzwoniła matka, ale był tak pijany, że nawet nie pamiętał, co mówiła. Być może coś na temat przyjazdu do Atlanty.
Dopiero po drugiej filiżance kawy poczuł, że przytomnieje.
A teraz, pani doktorowo Kagan, niech pani przestanie mnie zbywać i poprosi swojego staruszka do telefonu, bo inaczej nie ręczę za siebie, mruknął wykręcając numer, który znał już na pamięć.
- Kagan, słucham? - usłyszał gderliwy głos.

- No, nareszcie pan jest - warknął Rawls, nie bawiąc się w uprzejmości. - Czy żona mówiła panu, że od trzech dni usiłuję pana złapać?
- Nie mam obowiązku biec do telefonu za każdym razem, kiedy zadzwoni. Myślę, że na stare lata należy mi się ten przywilej. Czy pan jest tym adoratorem Bree? W takim razie, przyjmij do wiadomości, mój drogi, że jeśli dziewczyna będzie miała ochotę z tobą rozmawiać, sama się odezwie.
- Chciałbym tylko wiedzieć... - zaczął Rawls tonem, który stawał się coraz bardziej błagalny, w miarę jak ogarniał go paniczny strach, że starszy pan odłoży słuchawkę. - ...chciałbym wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. Dostałem od niej straszny list, z którego wynika, że coś się stało, i muszę z nią koniecznie porozmawiać. Muszę wiedzieć, o co chodzi!
Kagan wyczuł widocznie nutę rozpaczy w głosie Rawlsa, gdyż jego ton wyraźnie złagodniał.
- Synu, wiem tylko, że rozmawiała z Rosą o swoim ojcu. Wierz mi, nic więcej nie jestem w stanie ci powiedzieć. I proszę, bądź tak uprzejmy i nie niepokój więcej mojej żony. Takie rozmowy bardzo ją denerwują i źle wpływają na jej ciśnienie.
Długo jeszcze po odłożeniu słuchawki Rawls siedział zamyślony, wpatrując się w czubki swoich eleganckich butów. Analityczna część jego mózgu funkcjonowała zdumiewająco sprawnie, pomimo wyraźnie niesprzyjającego trybu życia.
Jej ojciec. Rozmawiała o nim z żoną Kagana. Czyżby dowiedziała się, kto nim jest?
A jeśli nawet, cóż w tym strasznego? Zawsze chciała wyjaśnić tę tajemnicę. Czyżby okazał się maniakalnym przestępcą i teraz Bree dręczy się, że odziedziczyła jego geny, dyskwalifikujące ją jako żo-

nę? Nie, bzdury. Cokolwiek zresztą by się zdarzyło, musi znaleźć Bree. Ona należy do niego. Od początku była mu przeznaczona. Bez niej jest niczym. Może istnieć tylko z nią.
Do roboty, Smith! Jeśli ona się dowiedziała, dowiesz się i ty. Idź po jej śladach, powoli, krok po kroku. Od momentu, kiedy wyjechała z Atlanty, by pozałatwiać swoje sprawy.
Kiedy wtedy rozstał się z nią, mówiła, że będzie musiała dzwonić do wszystkich dostawców, żeby zawiadomić ich o zamknięciu sklepu i umówić się na późniejsze spotkania w sprawie rozliczeń. Potem mówiła coś o agencji nieruchomości, która miała kupić dom - ale tam już załatwiła go odmownie ta straszna baba. Ale żeby załatwić sprawy z agencją, Bree musiała przecież mieć akt własności domu. Dokumenty sprzed lat... Może one coś wyjaśnią. Może znalazła coś w miejskim archiwum?
Wchodząc do ratusza badawczo przyglądał się wszystkim kobietom, jakby któraś z nich cudem miała okazać się Brianną Fields.
- Czy mogę obejrzeć mapę fabrycznego osiedla? -zapytał pracownicę siedzącą za biurkiem.
Nie musiał długo szukać. Dwa dokumenty, sporządzone w odstępie tygodnia. Kopię pierwszego pokazywała mu już matka; drugi stanowił istotne uzupełnienie. Związek był oczywisty. Jak mógł wcześniej tego nie zbadać?
Szybko pojechał do mieszkania Bree i sięgnął po obluzowaną cegłę. Pudła! Pudła, które pomagał przenosić. W pierwszym, które otworzył, znalazł na wierzchu wycinek. „Król tekstyliów z Memphis popiera sztukę" - głosił tytuł. O, tak, ojciec lubił bawić się w takie akcje...

194

Dixie Browning

Z gorzkim grymasem Rawls studiował pożółkłe prasowe zdjęcie, rozpoznając buldogowatą postać Briana Partridge'a Smitha III, po raz kolejny zyskującego szczodry odpis podatkowy.

A to musi być Anna. Drobna kobieta w ludowej sukni, z uśmiechem tak podobnym do uśmiechu Bree, że poczuł ucisk w gardle. Zaczął powoli, uważnie studiować artykuł. W miarę jak czytał, bezsilna złość walczyła w nim z rozpaczą.

Najgorsze było to, że kawałki łamigłówki od dawna składały się w całość, której tylko ślepy by nie zauważył. Bree wspominała, że jej matka wygrała jedną z nagród, którą co roku fundował Partridge. A dom przy Milledge 94? Od początku spierali się przecież z Bree o prawo własności. Już wówczas mógł łatwo to sprawdzić... Tylko nie chciał jej denerwować. A może podświadomie bał się dociekać?

O, Boże, przecież niczego już nie zmieni. Nie cofnie okrutnej prawdy. Gdyby nie ociągał się ze sprawdzeniem, mogliby najwyżej uniknąć tego strasznego impasu. Przyjęliby do wiadomości prawdę o swoim pokrewieństwie i tak już by zostało.

A jeśli nie?

Rawls zacisnął pięści, wbijając paznokcie w ciało, i ponuro spoglądał na mały, zagracony salonik, gdzie doświadczył tyle ciepła i miłości. Nie, już tamtej pierwszej nocy nie był w stanie się wycofać. Zbyt pociągała go ta mała, niezależna kobieta, o pięknym ciele i pięknej duszy. Była doskonała w każdym calu; była tym, do czego doszła własnymi siłami, nie znając swego dziedzictwa.

I niczego w świecie tak nie pragnął, jak być z nią. Wszystko jedno, jeśli nie może wziąć Bree za żonę,

niech będzie jego siostrą, jego najlepszą przyjaciółką. Boże, byle tylko mógł ją jeszcze spotkać! Matka nie przeżyłaby, gdyby wiedziała, co zaszło między nimi. Tym razem będzie musiał ją okłamać. Na użytek jej znajomych ogłosi o zerwaniu zaręczyn - a potem ustalą z Bree, jak dalej ma się układać ich znajomość.
Nic nie ustalisz, jeśli jej nie znajdziesz, upomniał się w duchu. Nagle naszła go myśl, by nie szukać Bree, by pozwolić zaszyć się jej gdzieś daleko i lizać rany. Oboje otrzymali okrutny cios i potrzebowali czasu, żeby dojść do siebie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bree przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Odgłosy dobiegające z sypialni na górze nie dawały jej spokoju. Jak długo jej ciało zdoła znosić pamięć tego, co wydarzyło się całe tygodnie temu? W dzień jakoś dawała sobie radę. Nie miała wyjścia. Nie mogła dopuścić, by Herbert znów nabrał ochoty na flirty. Interesy Lindy były w fatalnym stanie. Z trudem wystarczało im na podatki.

Na szczęście małżonkowie po raz pierwszy od dawna żyli w zgodzie. Znając Herberta, Bree bała się jednak, że lada chwila znudzi mu się szczęście małżeńskie, toteż postanowiła zawczasu się zabezpieczyć. Tego dnia specjalnie odczekała, aż Linda wyjdzie, by załatwić sprawy nowych zamówień. Chciała swobodnie porozmawiać z Herbertem.

Zastała go w garażu. Dorabiał przewody do głośników. Długie włosy zwisały w nieładzie wokół szczupłej twarzy.

- Podaj mi tę lutownicę, kotku - zawołał na jej widok.

- Sam sobie ją podaj i przestań się przymilać, babiarzu! Jeśli kiedykolwiek dotkniesz mnie choć palcem, opowiem Lindzie takie rzeczy o jej kochanym mężusiu, których nie widziała nawet w najgorszych snach. Wyobraź sobie, że przypadkiem wiem, dlaczego Pendersonowie w pośpiechu wysłali córkę do szkoły na drugi koniec kraju. I wiem, że...

- Och, Bree, zmieniłem się od tego czasu.
- Tak. jasne - parsknęła kpiąco. - Dlatego ciągle zapominasz, w którym pokoju masz spać! Zapamiętaj sobie: Linda była przyjaciółką mojej matki, kiedy ty jeszcze byłeś pryszczatym smarkaczem. Jak się wreszcie opamięta i wystawi twoje walizki za drzwi, ja zostanę i będę ją pocieszać. Niestety, na razie jesteś tu i nie dajesz złamanego grosza na utrzymanie tego domu!
- A co, może ty dajesz, naciągaczko?
- Jak śmiesz! - Bree zakipiała oburzeniem. -Gdybym nie napracowała się nad jej księgami, dawno już miałaby na głowie urząd podatkowy. I nie raczyłeś też zauważyć, że organizuję jej dostawy i pomagam w prowadzeniu domu. Zresztą, lada chwila będę miała pieniądze ze sprzedaży domu i zapłacę wam za wynajęcie pokoju. A potem wyniosę się stąd jak najszybciej.
- A idźże z Bogiem! Nikt cię tu nie trzyma. Linda świetnie da sobie radę bez twojej pomocy.
- Da sobię radę? Co ty w ogóle wiesz! Nie masz pojęcia, jak bliska była załamania, kiedy odszedłeś. A wiesz, jak ją wykorzystują odbiorcy? Ona nie ma pojęcia, ile naprawdę warte są jej rękodzieła!
Bree miała dosyć. Wybiegła z domu i ruszyła wąską ścieżką, pnącą się na skaliste zbocze. Jeszcze jeden dzień do przeżycia. Już niedługo będzie mogła poszukać sobie innego pokoju. O ile go znajdzie… Kłopot polegał na tym, że tu, w okolicy Glades Road, w samym sercu artystycznej wspólnoty Gatlinburga, było bardzo trudno o jakiekolwiek lokum. Zaś na wynajęcie czegoś w mieście nie byłoby jej stać.

195

Dixie Browning

Linda wspominała co prawda o jakiejś kobiecie z Buckhorn, która ma wolny pokój, ale na razie Bree nie mogła jej zastać.

Musi wytrzymać, mówiła sobie, pnąc się po stromej ścieżce. Rozsądek podpowiadał jej, że każdy dzień zbliża ją do upragnionego zapomnienia.

Niestety, serce miało na ten temat inne zdanie.

Rawls próbował rzucić się w wir pracy, by zapomnieć. Ostatnio zaniedbał firmę i niemal doprowadził ją do upadku. Jeśli funkcjonowała, to tylko dzięki Linie. Pracownicy w terenie nawet nie próbowali już kontaktować się z szefem.

Napisał list do Bree i wysłał na stary adres. Liczył, że poczta prześle go do nowego miejsca jej zamieszkania.

Było mu bardzo trudno wyrazić słowami to, co czuł. Chciał, żeby wiedziała, że rozumie wszystko i nie będzie nalegał na spotkanie, ale nie traci nadziei.

Ich sytuacja była pod każdym względem fatalna, choć Rawls był całkowicie przekonany, że oboje nie są niczemu winni. Wtedy kochali się tak szczerze i głęboko, jak rzadko zdarza się kobiecie i mężczyźnie. Ale teraz...

Teraz przeszłość musi pozostać wyłącznie wspomnieniem. Mają przed sobą całe życie i nikt nie zabroni im dzielić go wspólnie, ale w inny sposób. Taka miłość nie może umrzeć; może po prostu zmienić się w inny rodzaj uczucia.

- Twoja matka znów dzwoniła. Wybiera się tu na zakupy i chciałaby, żebyś zjadł z nią kolację.

Rawls z trudem kojarzył, co mówi do niego Lina.

Jego myśli błądziły po prywatnym piekle, które znajdowało się gdzieś pomiędzy Atlantą, Chattanoogą, a Tenneessee.
- Poczekaj, Lina... Czy masz ją jeszcze na linii?
- Nie. Prosiła, żeby ci przekazać, że czeka na ciebie u Hugo, o szóstej trzydzieści. Jeśli wypiłbyś więcej niż jeden drink, masz wziąć taksówkę.
Rawls westchnął i pokornie kiwnął głową. Jak te kobiety go znają!
Rebecca przyjechała do miasta na trzy dni, uznawszy, że dobro syna jest ważniejsze niż przyszłość Partridge Textiles. Rawls wiedział, że matka dopnie swego i kiedy się spotkają, powie jej więcej, niż zamierzał.
Wzięli steki, do których Rebecca zamówiła jeszcze sałatki i przekąski. Rawls biernie obserwował te poczynania. Najwidoczniej doszła do wniosku, że jeśli go nie dożywi, kalorie będzie czerpał jedynie z alkoholu.
- Jedz, synu. Co wybierasz na deser? Placek z jeżynami? - zachęcała, choć jeszcze nie uporał się ze stekiem.
- Mamo, przestań! Mam trzydzieści cztery lata i nie trzeba mnie już karmić łyżeczką.
- Ktoś musi cię przypilnować - stwierdziła stanowczo Rebecca, wkładając białe, koronkowe rękawiczki i sięgając po torbę. - Skoro nie chcesz już jeść, proponuję, żebyśmy przenieśli się teraz do ciebie i tam porozmawiali sobie spokojnie, wypiwszy drinka w sposób cywilizowany. Martwi mnie twój tryb życia, Rawls. Lina mówiła, że...
- Czy mogłabyś nie dyskutować o moich sprawach osobistych z pracownikami? - burknął, ponuro przewidując, że nie ominie go pranie mózgu.

- Dobrze, pomówmy o tej dziewczynie. Szczerze mówiąc, synu. uważam, że zachowuje się dziwacznie. Nikt. kto ma choć trochę rozumu, nie zrobiłby czegoś takiego. Przynajmniej nikt z naszej rodziny.
Wsiedli do samochodu i Rebecca na razie zamilkła, ale Rawls czuł się tak, jakby wiózł na przednim siedzeniu niebezpieczny ładunek wybuchowy, dla niepoznaki zamaskowany miłym uśmiechem i słodką wonią fiołkowych perfum.
Prowadząc zerkał co chwila na szlachetny profil starszej kobiety i czuł tępe ukłucia w dołku. Czyżby miał nabawić się przez nią wrzodów? Miał ochotę powiedzieć tej upartej kobiecie, żeby zostawiła go wreszcie w spokoju, ale wiedział, że nic nie wskóra. Gdyby zaszła potrzeba, zdolna była nawet wynająć prywatnych detektywów, by go pilnowali.
- Mamo, posłuchaj... - zaczął, gdy stanęli pod domem.
- Wolałabym, żebyś nie przemawiał do mnie takim tonem, Rawls. Kiedy mój jedyny syn oznajmia mi, że się żeni, a potem jednym tchem dodaje, że jego słodka panienka uciekła w siną dal, to...
- Ja nie powiedziałem, że Bree uciekła! - wrzasnął oburzony.
- Lina powiedziała.
- Ta cholerna Lina! Nie płacę jej za rozprowadzanie plotek o mnie w trzech stanach!
- W dwóch, gwoli ścisłości. A Lina przejmuje się tobą niemal tak jak ja. Może zaprosiłbyś mnie wreszcie na małego drinka, co?
- No dobrze, synu, kim ona jest? - zaczęła Rebecca, obracając w palcach szklaneczkę wody z odrobiną whisky. - Wiem już, jak się nazywa, ile ma lat

i jakiego koloru są jej włosy, ale nie usłyszałam jeszcze niczego na temat jej rodziny. I dlaczego nabrała nagle ochoty do ucieczki, kiedy okazało się, że chcę się z nią spotkać?
- Całkiem możliwe - przytaknął z ponurym uśmiechem. - Jane musiała jej wiele opowiadać o tobie.
- Synowa, która ucieka przed teściową, nim zdąży ją poznać, jest niewiele warta. Ja nie uciekałam przed swoją, a trzeba przyznać, że mamusia Briana nie była aniołem. A ja, nie chwaląc się, jestem znakomitą teściową. Nawet ci nieudacznicy, którzy pożenili się z twoimi siostrami, ochoczo to poświadczą - stwierdziła skromnie.
Rawls kończył już drugiego drinka, zastanawiając się, czy zdoła przetrzymać to nieustające natarcie, kiedy nagle zadzwonił telefon.
Pochwycił słuchawkę jak tonący koło ratunkowe.
- Smith? Tu Kagan. Żona ciągle mówiła coś o niejakim Rawsmithie, aż wreszcie skojarzyłem. Na Boga, synu, czy wiesz, że otworzyłeś prawdziwą puszkę Pandory?
- Doktorze Kagan - westchnął Rawls ze znużeniem - sam nie wiem, jak to panu powiedzieć. Czy wiadomo panu o...
Przerwał mu podekscytowany szept matki.
- To Frank Kagan? Co on ma z tym wszystkim wspólnego? Daj mi go na chwilę.
Rawls bez oporu oddał jej słuchawkę. Było mu już wszystko jedno.
- Frank? Tu Rebecca Massengail... Tak, tak, wdowa po Brianie. Jasne, że cię pamiętam. Ty pierwszy padłeś pod stół na naszym weselu. Owszem, cztery córki. I Rawlsa.

Zapadła długa cisza. Teraz Rebecca słuchała, z coraz większym skupieniem i z dziwnym uśmieszkiem na wargach. Rawls z niepokojem obserwował matkę.
Kagan mówił nieznośnie długo. Ból w okolicach żołądka znów zaczął dawać się Rawlsowi we znaki. Wreszcie Rebecca odłożyła słuchawkę. Już się nie uśmiechała. Kiedy popatrzyła na niego, oblał się zimnym potem.
- Na litość Boską, mamo, o co chodzi?
- Spokojnie, zaraz ci wszystko wyjaśnię, tylko nalej mi małego drinka. Nie jest łatwo po latach wracać do tych spraw.
Rawls wstał i drżącymi rękami zmieszał jej whisky z solidną porcją wody i lodu.
- Poczekaj, niech usiądę - powiedział słabym głosem. - Nie wiem, ile jeszcze zdołam znieść.
- Myślę, że zniesiesz to lepiej, niż myślisz, choć wiadomość będzie szokująca. Otóż, nie jesteś dzieckiem Briana, synu. Ani moim - dodała szybko, widząc osłupiałą minę Rawlsa. - Przynajmniej w tym sensie, że nie wyszedłeś z mojego łona. Ale poza tym, Rawls, zawsze byłeś mi tak drogi, jakbym nosiła cię pod sercem przez dziewięć miesięcy. Tak bardzo chciałam mieć syna...
Głos jej się załamał. Rawls z wysiłkiem przełknął ślinę. Wszystkiego się spodziewał, ale nie takiego obrotu sprawy.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spojrzał na nią z wyrzutem.
- Chciałam, wiele razy, ale za każdym razem powstrzymywała mnie obawa, że opuścisz mnie i zaczniesz szukać prawdziwej matki. Muszę być szczera - najpierw chciałam mieć ciebie, żeby nie zawieść Briana. Bardzo cierpiał, że nie udało mu się spłodzić

syna. Kiedy jednak pielęgniarka podała mi cię, rozpaczliwie płaczącego, a ty ucichłeś w moich ramionach i uśmiechnąłeś się do mnie, pokochałam cię jak własne dziecko. I wiem. że gdybym nawet urodziła potem innych chłopców, ty zawsze byłbyś najukochańszy.
- Wątpię, czy los by nas zetknął, gdybyś mogła rodzić synów - powiedział gorzko.
Grymas bólu ściągnął twarz Rebeki.
- Wiem, co myślisz, Rawls, ale to była moja wina. Miałam dwa poronienia - to miały być dziewczynki. Brian w rozpaczy powiedział mi kiedyś szczerze, co... nie, dajmy temu spokój. W pół roku później Frank Kagan przysposobił nam ciebie. Zawsze myślałam o tobie jak o swoim jedynym synu, ale musisz zrozumieć, Rawls, jak bardzo się bałam powiedzieć ci prawdę. Teraz też cię ranię, ale w tej sytuacji nie widzę innego wyjścia.
- Akurat nie ma jej w domu - powiedziała Linda Redd do przystojnego, wysokiego mężczyzny o podkrążonych oczach. - Może... poczeka pan tu na nią? - zaproponowała niepewnie.
- Nie wie pani, na jak długo wyszła? I gdzie może być? - nalegał. Szkoda mu było każdej chwili.
- Ostatnio pomaga mi prowadzić księgi podatkowe i od czasu do czasu robi sobie przerwę na mały spacer. Widzi pan tę kamienistą ścieżkę za szosą? Przeważnie chodzi tamtędy.
Rawls podziękował jej pośpiesznie i zostawiwszy samochód w bocznej uliczce, ruszył wąskim szlakiem w las otaczający wzgórza. Nawet teraz nie mógł uwierzyć, że wreszcie zbliża się moment, na który czekał przez trzy straszne tygodnie.

204

Dixie Browning

Drobne kamyki pryskały mu spod nóg. Zwarte rzędy pni zasłaniały widok. Przez moment miał ochotę zawołać, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Bał się, że Bree znowu ucieknie.

U stóp wzgórza ścieżka rozdzielała się. Rawls instynktownie wybrał odnogę skręcającą ku wijącemu się wśród skał strumykowi. Po kilku krokach zobaczył ją.

Leżała na plecach, z rękami pod głową i przymkniętymi oczami. Miała na sobie te same jasnoniebieskie dżinsy, które dostała w Atlancie, i workowaty sweter, o którym wyrażała się z dumą jako o swoim pierwszym dziele. Od razu spostrzegł, że bardzo wychudła. Była też dużo bledsza - i tylko włosy zachowały ten sam złotorudy odcień.

- Brianna... - wyszeptał, zatrzymawszy się nieśmiało w odległości kilkunastu kroków.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bree zerwała się jak spłoszona sarna, rzucając przez ramię spojrzenie, które zatrzymało go w miejscu. Przez moment zasłoniła się ręką, po czym szalonym biegiem ruszyła w las, roztrącając gałęzie i skacząc przez zwalone pnie.

- Bree! Stój! Wszystko ci wytłumaczę!

Rzucił się w pogoń, ale zyskała już nad nim przewagę. Eleganckie pantofle i garnitur nie nadawały się do biegów po lesie. Zręczna, drobna sylwetka w dżinsach i miękkich botkach błyskawicznie znikała mu z oczu.

- Bree, do licha, nie uciekaj ode mnie! - zawołał rozpaczliwie. - Wszystko się wyjaśniło!

Wiedział, że musiała go słyszeć. Echo niosło jego głos wśród pni i skał. Stanął ciężko dysząc i z ogromną ulgą zobaczył, że zrobiła to samo.

- Rawls, po co tu przyjechałeś? - zawołała płaczliwie. - Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Bał się zrobić najmniejszy ruch. Powoli usiadł na kamieniu, otaczając kolana ramionami i czekał, aż uspokoi się zdyszany oddech. Przeklinał swój brak kondycji. Dały o sobie znać lata pracy za biurkiem - a teraz jeszcze nerwy, bezsenne noce i wieczory spędzane przy niezliczonych drinkach.

- Bree, nie jesteś moją siostrą! - zawołał na cały głos.

Podeszła bliżej i usiadła, oddzielona od niego siatką drobnych gałązek.
- Skąd wiesz? - zapytała nieufnie.
- Posłuchaj, jestem tak wykończony, że nie mam siły dalej krzyczeć do ciebie. Obiecasz, że nie zaczniesz uciekać, kiedy przysunę się bliżej? - zapytał, z trudem zmuszając się do uśmiechu, który miał ją uspokoić.
Przytaknęła. Wstał i zwolna zaczął iść ku niej, ostrożnie stąpając po wystających korzeniach. Patrzyła czujnie jak dzikie zwierzątko, ale w jej oczach nie było już lęku. To spostrzeżenie podniosło go na duchu. Ośmielił się postąpić jeszcze krok naprzód.
- Zaufaj mi, Bree - powiedział łagodnie. - Nic już cię nie zrani.
W jasnych, szarozielonych oczach pojawił się nowy wyraz. Czujność i nieufność zaczęły znikać, ustępując miejsca rodzącemu się zrozumieniu.
- Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę - wyszeptała z wahaniem.
Przykucnął i leciutko dotknął jej policzka. Już nie chciała uciekać.
- Wiem, wiem, najukochańsza. Ja też omal nie popadłem w obłęd. Kiedy dostałem twój list...
- Nie miałam zamiaru pisać, ale bałam się, że będziesz się martwił.
- Mój Boże!
- A potem przyszedł twój list... - teraz już mówiła jak w transie, nie spuszczając z niego wzroku, jakby bała się, że rozwieje się czar.
Zaczęli sobie opowiadać tygodnie rozłąki - szybko, urywanymi zdaniami. Słowa stawały się coraz mniej ważne, liczyły się już tylko ich ciepłe spojrzenia. Nad

doliną powiał wiatr. Bree skrzyżowała zziębnięte ręce.
- Gdzie masz kurtkę? - zapytał z troską.
- Kiedy wychodziłam, było słońce - wymamrotała, chłonąc każdy szczegół jego wyglądu. Teraz sprawiał wrażenie starszego. Opalenizna zszarzała, policzki zapadły się, a koło zgorzkniałych ust pojawiły się głębokie bruzdy. Wiedziona impulsem uniosła dłoń i powiodła po nich opuszkiem palca. Ten drobny gest przełamał napięcie, które nie pozwalało im zbliżyć się do siebie.
- O, Boże, Bree, nigdy nie rób…
- Ty też! Och, Rawls, myślałam, że tego nie przeżyję!
Z głośnym okrzykiem rzucił się ku niej, objął ją i uniósł do góry, jak zawsze, gdy chciał ją pocałować.
Minęły wieki, nim opuścił ją na ziemię. Stali naprzeciwko siebie, skupieni, bez uśmiechu. Ich twarze nosiły jeszcze wyraźne ślady niszczącego rozstania. Bree nawet nie próbowała powstrzymać łez, które popłynęły jej strumieniem.
Łzy Rawlsa przyszły później. Długo torowały sobie ujście wśród budowanych przez lata barier ochronnych. Ale kiedy wreszcie zapłakał, nie wstydził się ich.
Oprzytomniał dopiero, kiedy poczuł lodowaty powiew na mokrym policzku. W tej samej chwili Bree znów sięgnęła ku jego twarzy, by osuszyć wilgotne smużki. Pochwycił jej rękę i żarliwie scałowywał z niej własne łzy.
- Moja kochana, jedyna, teraz nie pozwolę ci odejść ani na krok - wyszeptał.
- Nie pozwoliłabym ci nawet puścić mnie. Nie mogę bez ciebie żyć, Rawls. Ale jesteś pewien? Skąd właściwie wiesz?

- O mnie… czy o tobie?
Konwulsyjnie zacisnęła mu palce na ramieniu.
- O nas! O jednym i o drugim. Rawls, jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? Opowiedz mi to ze szczegółami.
Rozejrzał się wokół, a gdy dostrzegł czysty krąg trawy, zdjął płaszcz i otulił nim Bree, zapraszając, by usiadła.
- Wszystko jest w porządku, moja droga. Naprawdę. - Zamaszystym gestem odgarnął włosy z czoła, ale znów opadły mu na oczy. - Od którego momentu mam zacząć? Ty naprawdę jesteś córką Briana, tylko że on nie był moim ojcem.
- Chcesz powiedzieć, że twoja matka…? Potrząsnął głową z niewesołym uśmiechem.
- Nie. Bogu dzięki przynajmniej za to. Ja zostałem po prostu adoptowany. Natomiast Brian i Anna rzeczywiście mieli romans. Ty jesteś jego owocem.
- Och, Rawls, tak mi przykro. Biedna twoja matka! Czule odgarnął jej zmierzwione włosy z czoła i pocałował blady policzek.
- Jestem prawie pewien, że ich związek nie trwał długo, jeśli to stanowi dla ciebie jakieś pocieszenie - odparł. Trzymał teraz Bree w ramionach tak, jakby nigdy nie miał jej wypuścić.
- Ale jak możesz być pewien?
Dziwne, ale najbardziej troszczyła się w tej chwili o pamięć Anny. Jak gdyby podświadomie buntowała się przeciwko przewrotnemu losowi, który sprawił, że zawdzięcza swoje szczęście tragedii matki sprzed ćwierć wieku.
- Niedobrze się stało, że zdradził własną żonę. A jeśli chodzi o Annę… cóż, myślę, że uległa chwilowej słabości. Ale nigdy się naprawdę nie dowiemy.

- Czy to jest takie ważne, kochana? - zapytał miękko, doskonale wiedząc, że się myli. W tej dziwnej, zawikłanej sytuacji nawet najmniejszy element miał swoją wymowę. Ze wzruszeniem przyglądał się delikatnemu trzepotaniu długich rzęs, rzucających cień na wychudłe policzki.
- Możemy tylko zgadywać, co czuli do siebie. Widziałem zdjęcie Anny w twoim domu. Była taka jak ty, więc nie wierzę, by jej nie pokochał.
- Skąd masz pewność, że nie była jedną z jego wielu kochanek? Rawls, nie chcę już wracać do tego tematu, ale zrozum, muszę wiedzieć, czy przypadek mojej matki był inny, czy była naprawdę kochana. Może to głupie, ale chyba mam do tego prawo?
- Nie, Bree, to jest zupełnie zrozumiałe. Jeszcze długo po tym, kiedy dowiedziałem się, że zostałem adoptowany, nie mogłem przestać myśleć o moich rodzicach, których nigdy nie poznam. Teraz dopiero zaczynam rozumieć, co musiałaś czuć przez te wszystkie lata, choć znałaś przecież jedno z rodziców.
- A ty znałeś drugie.
- Chcesz wiedzieć, jaki był twój tatuś? - zapytał nie bez ironii. - Cóż, był zimny i inteligentny. I twardy jak skała. Matka zawsze mówiła, że jest taki sam, jak jego ojciec, a pewnie również dziadek i pradziadek. Pomimo tej twardości i bezwzględności miał swoje zasady. Jestem pewien, że romans z Anną nie był błahą przygodą. Zbyt szanował swoją żonę i musiał mieć bardzo ważny powód, by ryzykować narażanie jej na cierpienie.
- A jednak ciągle nie mogę uwierzyć, że Anna była jedyna - mruknęła Bree bez przekonania. Nadal miała niejasne przeczucie, że mowa jest o ojcu Rawlsa, a nie jej własnym.

- Kochana, sama wiesz, że nigdy nie uważałem go za ideał, ale podwójna gra nie była w jego stylu. Oczywiście, jeśli nie liczyć kombinacji podatkowych. - Tym razem powiedział to bez ironii, a raczej tonem świadczącym o niechętnej akceptacji człowieka, który nie mógł mu już zaszkodzić. - On miał to, co nazywa się męskim honorem - podsumował z obojętnym wzruszeniem ramion. - Chcę wierzyć, że owa duma kazała mu działać tak, jak to uczynił. W obu przypadkach.
- Mógł przecież...
- Nie, skarbie, nie mógł. Nie z rodziną i pozycją, na którą pracowały pokolenia jego rodu. Myślę, że pewnie kochał je obie - na tyle, na ile był zdolny do uczuć. Moja matka tak słabo zna się na ludziach. Przecież powinna coś zauważyć. Nie, cholera, ona wiedziała!
Zamilkł na chwilę, trawiąc w myślach domysły, ale nie puszczał Bree z objęć.
- Tak, teraz jestem pewien, że musiała się domyślać. Inaczej nie dążyłaby z taką determinacją do sprzedania wszystkiego w Chattanoodze - powiedział wreszcie.
- Ona musi mnie nienawidzieć, Rawls - wyszeptała Bree, czując, że znów dopadają ją zmory. - Teraz, kiedy wie, kim jestem, nie będę mogła stanąć przed nią twarzą w twarz.
Rawls potrząsnął głową, z uśmiechem tuląc twarz do jej włosów. Delikatna woń szamponu mieszała się z zapachem wiatru i suchej trawy.
- Nie, nie, kochana - szeptał, kołysząc ją lekko w ramionach. - Ona nie będzie cię obwiniać. Jestem pewien, że nie obwinia nawet Anny za to, co się stało. Po prostu... nieszczęśliwy traf.

- Wszystko jedno. Rawls, i tak będę się czuła okropnie. I nawet teraz, kiedy wiem, że Brian jest moim ojcem, nie mogę wykrzesać do niego odrobiny uczucia. Zbyt wielu ludzi ucierpiało przez jego dumę.
Rawls pogładził ramię kurczowo obejmujące go za szyję, dostrzegając jego szczupłość. Najwyraźniej straciła apetyt, podobnie jak on. Ciało miała zimne. Wiosenne słońce było jeszcze zbyt słabe, by ogrzać przemarzniętą ziemię.
Ale przynajmniej byli sami.
Oparł ją na kolanach, tak jak lubiła. Wtuliła głowę pod jego podbródek.
- Ja też go nie cierpiałem, Bree. I nawet dobrze nie znałem. Kiedy byłem mały, starałem się go unikać. A potem, kiedy dorosłem...
Urwał, nawet w tym momencie dławiony gniewem, który musiał tłumić w sobie od lat.
- Nie cierpiałem go i czułem się tak cholernie winny z tego powodu, wiesz? Zwłaszcza że wszyscy wokół wmawiali mi, jaki to jestem cudowny i jaki powinienem być szczęśliwy, mając takiego tatusia. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego nie dał mi kolejnego numeru, przysługującego wspaniałym Par-tridge'om. Nieszczęsny stary dureń. Pewnie miał nadzieję, że w końcu uda mu się spłodzić dziedzica numer IV.
- I dlatego nawiązał romans z moją matką - powiedziała w zamyśleniu Bree.
- Uhm, pewnie dlatego.
- Do licha, ale dlaczego w takim razie zgodził się na adopcję? - zapytała, ogarniając go opiekuńczym spojrzeniem. Teraz sprawiał na niej wrażenie małego chłopca, który nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec odrzucał go niemal od dnia jego urodzenia.

- Jak to mówią, lepszy rydz niż nic - pogardliwie wzruszył ramionami. Bree wtuliła głowę w jego pierś. - Cztery córki, jedna po drugiej - to musiała być klęska dla takiego męskiego szowinisty jak on. Matka wyznała mi wczoraj, że załatwiła adopcję bez porozumienia z nim. To był prywatny układ między nią a Kaganem, ale władze przymknęły oczy. Zresztą z punktu widzenia prawa wszystko było w porządku. Nie dotrzymano jedynie wymaganego okresu oczekiwania.
- Dlaczego nigdy ci o tym nie powiedziała? Przybrani rodzice w dzisiejszych czasach nie kryją tego przed dziećmi.
- Znów zawinił Brian i jego przeklęta duma. Zgodził się na syna ze względów prestiżowych, ale kazał jej przysiąc, że nigdy nie powie nikomu, że jestem adoptowany. Za nic by się nie przyznał, że nie jest w stanie dać światu męskiego potomka.
- Ten... ten...! - Bree nie była w stanie wymyślić wystarczająco obraźliwego słowa na określenie człowieka, który przez swoją pychę unieszczęśliwił dwie rodziny. - On nie zasługiwał na ciebie. Rawls kolistymi ruchami pocierał jej plecy, drżące od chłodu.
- Na ciebie również nie zasługiwał - powiedział, unosząc wzrok ku koronom drzew, rysującym się na tle jasnobłękitnego niebie. - Zresztą, to już nie ma znaczenia. Zaś bez względu na to, jaki był, zawdzięczamy mu coś ogromnie ważnego. Gdyby nie on, nie bylibyśmy razem, prawda?
- A gdybym ja okazała się chłopcem...
- ...mielibyśmy ogromne kłopoty przy przedstawianiu cię mojej mamie, nie mówiąc już o ślubie -zachichotał.

- Albo raczej mojej mamie. Nie uważasz, że gdybym była chłopcem, Brian porzuciłby twoją matkę dla Anny?
- Tego się nigdy nie dowiemy, Bree - spoważniał nagle. - Dajmy już spokój tym rozważaniom.
- Coraz silniej wieje. Zastanawiam się, czy masz w samochodzie ten swój piękny płaszcz? Wiesz, że zawsze ci go zazdrościłam?
- Kupimy dla ciebie podobny.
- Ale duży, Rawls. Lubię rzeczy, w których jest dużo miejsca.
- Zauważyłem - uśmiechnął się.
- Rawls, czy twoja matka wiedziała o dziecku, czy tylko o romansie z Anną?
Zesztywniał nagle.
- Kochana, kiedy przyjdzie czas, odpowiem ci na wszystkie pytania, ale teraz marzę tylko, żeby stąd wreszcie iść. Mam już dosyć tego wiatru i twardej ziemi. A poza tym, kiedy mam cię przy sobie, wcale nie pragnę roztrząsać dawnych historii.
- Możemy tylko wrócić do domu Lindy - powiedziała bez entuzjazmu. - Nie mam tu własnego miejsca, a Chattanooga jest za daleko.
- Podobnie jak Atlanta. Zresztą dałbym głowę, że moja matka okopała się w mieszkaniu i czyha na nas.
Bree wsunęła palce pod kołnierzyk jego czarnej koszuli, ciesząc się ciepłem jego ciała.
- Mój samochód, czy twój? - zapytała z błyskiem w oku. - W moim jest więcej miejsca.
- Jeśli myślisz, że zgodzę się na miłosne zapasy w zardzewiałym pudle twojej furgonetki, to się głęboko mylisz, moja księżniczko. Choć nie twierdzę, że w moim nie będzie nam ciasno.

- Dobrze. Najważniejsze, żebyśmy wreszcie stąd poszli. Prawie już zapomniałam, czego mnie nauczyłeś. Obawiam się, że będziemy musieli zaczynać od pierwszej lekcji.
- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani - zapewnił z wielce obiecującym uśmiechem.
- I po mojej, drogi panie. Aż tak wiele nie zapomniałam - bezwstydnie ocierała się o niego biodrami. - Wiesz, jest tu śmieszny hotel, praktycznie zbudowany okrakiem na rzeczce Pigeon. Wygląda na drogi, ale po sezonie są zniżkowe ceny. Myślę, że dostaniemy pokój.

Do hotelu dotarli dopiero późnym popołudniem, głodni i zmęczeni, ale szczęśliwi. Najgorszą sprawą okazało się wytłumaczenie Lindzie, że Bree się wyprowadza.
- Och, Bree, nie dam sobie rady bez ciebie - jęczała.
- Przynajmniej masz teraz w porządku księgi i nie grozi ci urząd podatkowy. A później mogłabyś namówić Herberta, żeby nauczył się je prowadzić. Choć raz zrobiłby dla ciebie coś pożytecznego.

Spojrzenie, jakim odpowiedziała jej Linda, zniechęciło Bree do dalszych dobrych rad. Przyjaciółka była niereformowalna. Herbert przesłaniał jej świat i nie było na to rady.
- Co zrobisz ze swoimi rzeczami? Co z pudłami w szopie?
- Och, Lindo, na razie nie wiem. Rawls, jak myślisz, co mam zrobić?

Jego wysoka postać zdawała się rozsadzać zagraconą kuchnię Reddów. Z rozczuleniem spojrzał na rudowłosą główkę, przytuloną do jego ramienia.
- Ty mnie pytasz o radę? Absolutny precedens.

Lindo, czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby ta kobieta prosiła kogoś o radę?
- Rzeczywiście, to niesłychane... - mruknęła skonfundowana Linda.
- Właśnie. Przyjmuję to za dobry omen. A co do rzeczy, byłoby cudownie, gdybyś zechciała je jeszcze trochę przechować. Przyjadę po nie, jak tylko wrócimy z podróży poślubnej.
- Dokąd się wybieracie?
- Gdzieś, gdzie jest dużo, dużo wody - odparła wymijająco Bree.
- Najlepsze byłyby Wyspy Wielkanocne - uśmiechnęła się Linda, a Rawls przytaknął z poważną miną.
Przed drzwiami porwał Bree w ramiona i nie zważając na znaczący uśmieszek hotelowego boya, przeniósł ją przez próg.
- Taka jest tradycja, prawda? - powiedział tonem usprawiedliwienia.
Opuścił ją na indiański dywan przed kominkiem. Z przyjemnością rozglądali się po przytulnym pokoiku, wyłożonym cedrową boazerią, urządzonym w tradycyjnym, miejscowym stylu. Chłopak złożył ich bagaże na półce i dyskretnie ulotnił się, po drodze licząc palcami napiwek w kieszeni. Rawls obrócił się ku Bree, która podziwiała widok za oknem, wyraźnie omijając wzrokiem szerokie, iście królewskie łoże.
- Co, boisz się, że znów się pogubimy? - zażartował. - Na wszelki wypadek będę cię trzymał za rękę.
Bree sięgnęła nerwowo po swój mały koszyk, po czym odstawiła go na miejsce.
- Gdyby Linda wiedziała, że wcale nie wyjechaliśmy z Gatlinburga...

- Gdyby moja matka wiedziała, że w końcu cię znalazłem...
- Rawls, ja naprawdę boję się spotkania z nią. Jak zareagowała, kiedy dowiedziała się, kogo zamierzasz poślubić?
Nie odpowiedział, zajęty myszkowaniem w skromnych bagażach. Wreszcie wyciągnął nocną koszulę i uniósł ją w górę, zmarszczywszy brwi.
- Czy to jest najlepsza koszula z twojej wyprawy ślubnej? - zapytał z komicznym grymasem.
- Jest ciepła - odparła niepewnie.
- Hm, chyba ci się nie przyda - mruknął.
- Nie dałeś mi wiele czasu na skompletowanie wyprawy ślubnej - powiedziała, przysiadając na krawędzi łoża. Dopiero teraz zaczęła sobie uświadamiać, że są sami w tym bezosobowym, hotelowym pokoju.
- I tak jesteś w lepszej sytuacji. Ja nie zabrałem nawet przyborów do golenia, wyjeżdżając z Atlanty. A między nami mówiąc, mamy tylko jedną nocną koszulę, jedną szczoteczkę do zębów i to, co zapewnia hotel. Jak myślisz, poradzimy sobie?
Bree zaczęła się wreszcie odprężać. Komizm sytuacji bawił ją, ale myśl o spotkaniu z przyszłą teściową uparcie psuła jej humor.
- Rawls, co ona o tym sądzi?
Cisnął koszulę na krzesło i przysiadł na łóżku obok Bree. Była wyraźnie napięta. Rawls zrozumiał, że nie da się tak łatwo zapomnieć o przeszłości.
- Kochana, daj jej szansę, żeby mogła cię poznać. Rebecca nie jest potworem. Pamiętasz, mówiłem ci już, że pod wieloma względami wydajecie mi się podobne. Teraz razem z Jane pracują pilnie nad planem zabezpieczenia finansowego na resztę jej życia. Myślę, że matka nie jest wcale zachwycona faktem,

że została przemysłową potentatką. Zresztą wierz mi, nie ma w niej nic drapieżnego ani bezdusznego. Na pewno przywita cię uprzejmie i życzliwie.
Bree, nadal nieprzekonana, nerwowo skubała palcami gors jego koszuli.
- Wcale nie jestem do niej uprzedzona - mruknęła. - Zastanawiam się tylko, ile kobiet byłoby w stanie zaakceptować hm...
- Pozamałżeńskie dziecko własnego męża, tak?
- Tak, i na dodatek przyjąć je do rodziny.
- Przyznaję, że niewiele, ale historia zna takie przypadki.
- Dajmy spokój historii. Mówię o sobie. I nie muszę ci chyba mówić, Rawls, że jestem coraz bardziej przerażona.
Jej ręka znalazła wreszcie dojście do piersi pod koszulą i przywarła do serca, wyczuwając jego równe, spokojne uderzenia, które dziwnie szybko zaczęły nagle przyśpieszać.
- Ty przynajmniej wiesz, kim są twoi rodzice -stwierdził tonem pocieszenia. - Ja nie mogę ręczyć za swoje pochodzenie.
Bree rozchyliła mu koszulę i obejrzała go krytycznie od stop do głów.
- No, nie wiem. Wygląda na to. że wyposażono cię w świetne geny. Białe zęby, regularne rysy, proporcjonalna budowa ciała, wyraziste oczy... najwyżej trochę przekrwione, ale usprawiedliwiają cię okoliczności.
Rozbawiony, pchnął ją na materac.
- Teraz, kiedy już wiesz, że należysz do rodzinki z arystokratycznym zadęciem, wyraźnie nabrałaś tupetu, moja mała. A skoro już mowa o okolicznościach, to powiedz, ile masz dzisiaj na sobie warstw,

co? - zapytał, ściągając z niej luźny sweter i odsłaniając kwiecistą koszulkę od Jane.
- Cierpliwości; niedługo będziesz mógł zedrzeć ze mnie skórę.
Kiedy wreszcie dotarł do spranego, cienkiego stanika, oboje byli już bez tchu. Bree wzdrygnęła się, widząc swoje okryte gęsią skórką ramiona.
- Stale mi zimno - westchnęła. - Ciekawe, czy jest tu grzejnik, czy trzeba będzie rozpalić w kominku.
- Przecież sama wybrałaś taki hotel, który stoi właściwie na wodzie.
- Skąd miałam wiedzieć, że skały do tego stopnia przepuszczają wilgoć? Mieszkałam tylko w prostym domku z piecem olejowym.
- Oho, zaczynają się narzekania. Tak to bywa, kiedy księżniczka poślubia żabę - zaśmiał się, troskliwie otulając ją swoją koszulą, jeszcze ciepłą od dotyku ciała. - Ale proszę się nie martwić, wasza wysokość, zaraz napalę w kominku.
Bree usiadła na łożu z podkulonymi nogami i rozkochanym wzrokiem patrzyła na szerokie bary mężczyzny, pochylającego się nad paleniskiem. Polana były już ułożone; wystarczyło tylko przytknąć zapałkę.
- Jak ty to ładnie robisz - zagruchała.
- My, ludzie z gminu, mamy swoje sposoby -stwierdził, prostując się na całą wysokość. Odblask ognia pełgał po jego muskularnym ciele. - Myślisz, że teraz będzie ci ciepło? Bo jeśli nie, mogę rozpalić jeszcze inny ogień.
- Hmm, to brzmi obiecująco.
W dwóch skokach znalazł się na łóżku i uklęknął przy niej.
- Zamówię kolację do pokoju na... no, na którą?

Może na siódmą? A skoro już mowa o kolacji, warto od razu zamówić śniadanie.
- Tylko nie na siódmą!
Z leniwym uśmiechem przebiegł spojrzeniem po jej na wpół nagiej postaci.
- A teraz, skoro mamy czekać, aż pokój się na-grzeje, proponuję, żebyśmy nie tracili czasu i skorzystali z rewelacyjnej wanny, którą zachwalał nam ten chłopak. Myślę, że byłby rozczarowany, gdybyśmy nie spróbowali jednej z miejscowych atrakcji.
- Rawls, poznałam już wszystkie możliwe miejscowe atrakcje. Możesz mi chyba teraz powiedzieć, co ona o tym sądzi. To znaczy, co myśli o mnie.
Rawls poszedł do łazienki i odkręcił krany nad wanną. Wróciwszy, usiadł przy niej i z powagą położył jej ręce na ramionach.
- Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką spotkałem w życiu. Prawdę mówiąc, zaczynam podejrzewać, że odziedziczyłaś to po tatusiu.
- O, rany, czyżby było aż tak źle?
Tłumiąc wesołość ogarnął spojrzeniem drobną postać w wąskich dżinsach i staniku. Nic w jej rysach nie wskazywało na podobieństwo do Briana - ale śmiałe, zdecydowane spojrzenie i ukryta pod miękkim zarysem podbródka twardość były wyraźnie silniej zaznaczone niż u matki.
- Bo ja wiem, mogło być gorzej - stwierdził. -W końcu, gdybyś była córką Rebekki, zapewne przy-łożyłabyś mi kamieniem w głowę i ukryła w lesie.
- Och, straszne. Ale co dokładnie powiedziała o mnie, Rawls? Lepiej od razu powiedz mi prawdę, bo
i tak wreszcie do niej dojdę - otwarcie, z naciskiem popatrzyła mu w oczy. Na szczęście jej uwaga rozproszyła się wyraźnie, kiedy zaczął rozpinać pasek.

- O ile dobrze pamiętam, jej ostatnie stwierdzenie na twój temat było takie: „Cóż, my przynajmniej wiemy, że ona pochodzi z porządnej rodziny, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, co powiedzą wasze dzieci, kiedy zaczną się doszukiwać swoich korzeni".
Zanosząc się śmiechem padła mu w ramiona. Rawls zdążył zakręcić krany, nim woda przelała się z gigantycznej marmurowej wanny. Szybko zrzucili resztę ubrań i wskoczyli do pachnącej kąpieli.
W kilka godzin później Bree z apetytem zlizała stopione masło z palców i odstawiła tacę z resztkami homara na stolik przy łóżku.
- Wiesz, chyba zaczynam lubić tę kobietę - powiedziała, odwracając się do Rawlsa.
- Którą kobietę? - Rawls, nagi, szedł ku niej przez pokój ze świeżo napełnionymi kieliszkami szampana.
- Jak to którą? Żonę mojego ojca i matkę mojego kochanka.